

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza
Wydział Nauk Społecznych
Instytut Socjologii

Grzegorz Kmita – Patyczak

PALENIE MARIHUANY A KONTROLA SPOŁECZNA W POLSCE LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH

Próba spojrzenia z perspektywy reakcji społecznej

Praca magisterska
napisana pod kierunkiem
prof. dra hab. Marka Ziółkowskiego

SPIS TREŚCI

WSTĘP

ROZDZIAŁ I. PRZEGLĄD SOCJOLOGICZNYCH TEORII ZACHOWAŃ DEWIACYJNYCH

1. Teorie etiologiczne
 - A. Orientacja strukturalna
 - B. Orientacja kulturowa
 - C. Kierunek kontroli społecznej
2. Perspektywa reakcji społecznej

ROZDZIAŁ II. STUDIUM PALACZY MARIHUANY HOWARDA S. BECKERA

1. Zostawanie użytkownikiem marihuany – wyrabianie motywów dewiacyjnych
2. Palenie marihuany a kontrola społeczna

ROZDZIAŁ III. CHARAKTERYSTYKA MARIHUANY I SPOŁECZNEGO TŁA JEJ UŻYWANIA

1. Marihuana i jej działanie
2. Prawne i społeczne uwarunkowania używania marihuany w USA lat pięćdziesiątych
3. Sytuacja prawna i uwarunkowania społeczne w Polsce lat dziewięćdziesiątych – tło badań

ROZDZIAŁ IV. METODOLOGIA BADANIA

1. Studium Howarda S. Beckera jako punkt odniesienia
2. Założenia i cel badań
3. Badanie interakcjonistyczne: socjologia czy etnografia?
4. Charakterystyka próby i przebieg badań

ROZDZIAŁ V. ANALIZA WYWIADÓW

1. Wyrabianie motywu dewiacyjnego
2. Użytkownicy marihuany wobec kontroli społecznej w Polsce lat 90-tych
 - A. Pokonywanie przeszkód w dostępności i unikanie sankcji prawnych
 - B. Zachowywanie tajemnicy i unikanie sankcji nieformalnych

C. Neutralizacja stereotypowych przekonań

- a. uzależnienie: palacz marihuany to narkoman
- b. palenie marihuany to wstęp do twardych narkotyków
- c. palenie marihuany to ucieczka od rzeczywistości

ROZDZIAŁ VI. POLSCY UŻYTKOWNICY MARIHUANY NA TLE TRANSFORMACJI

USTROJOWEJ

ZAKOŃCZENIE

WYKAZ CYTOWANYCH ŹRÓDEŁ

PRZYPISY

Miły Czytelniku! Przede wszystkim dziękuję, że zechciałeś przeczytać tę pracę – zainteresowanie, z jakim spotkałem się ze strony bardzo wielu osób w trakcie trzech lat jej przygotowywania, niezmiernie mi pomogło w jej ukończeniu. Myśl o tym, że nie spocznie ona na półce – który to los spotyka pewnie większość prac magisterskich – lecz powędruje między ludźmi, dodawała mi sił, by ją wreszcie ukończyć.

Zeszyt, który trzymasz w ręku, to pomniejszona, lecz nie zmieniona wersja pracy magisterskiej, którą właśnie obroniłem – po trzech latach walki ze stertą literatury i z ponad pięciuset stronami wywiadów z palaczami marihuany, które przeprowadziłem na potrzeby tej właśnie pracy. Postanowiłem ją wydać w tej właśnie formie w skromnym nakładzie, by mogły ją otrzymać wszystkie osoby, które udzieliły mi wywiadów oraz inni zainteresowani. Zanim przejdziemy do właściwej części pracy, chcę poruszyć jeszcze jedną kwestię, która wywołać może niepotrzebne nieporozumienia. Chodzi o traktowanie palenia marihuany jako dewiacji społecznej, co może wywołać zdziwienie albo i oburzenie niektórych Czytelników. Pragnę więc zaznaczyć, że w teorii socjologicznej, w ramach której będziemy się poruszać, dewiacje to po prostu wszelkie zachowania, które naruszają przyjęte normy społeczne – prawne czy obyczajowe. Takie pojmowanie dewiacji nie jest związane z jakąkolwiek oceną tych zachowań, a sam termin nie ma żadnego zabarwienia emocjonalnego – jest tylko prostym stwierdzeniem faktu, że dane zachowanie odbiega od powszechnie uznawanej normy.

Będę wdzięczny za wszelkie uwagi i spostrzeżenia na temat niniejszej pracy, szczególnie te krytyczne – adres znajduje się na końcu. Życzę miłej lektury!

WSTĘP

Prezentowana tutaj praca stanowi próbę spojrzenia na środowisko polskich palaczy marihuany z perspektywy teorii reakcji społecznej. Uznałem takie zamierzenie za interesujące, gdyż w polskiej literaturze naukowej na ten temat dominuje „tradycyjne” podejście, w którym używanie narkotyków z założenia traktowane jest jak dewiacja społeczna i w takich kategoriach opisywane. Inspiracją dla przeprowadzonych na potrzeby niniejszej pracy badań było studium jednego z czołowych przedstawicieli teorii reakcji społecznej, Howarda S. Beckera, na temat użytkowników marihuany, powstałe w Stanach Zjednoczonych w latach 50-tych. Traktując je jako pewien punkt odniesienia, postanowiłem przeanalizować, jak polscy użytkownicy marihuany radzą sobie z kontrolą społeczną, dotyczącą ich zachowania, definiowanego – przynajmniej przez prawo – jako dewiantyjne, a także dokonać próby charakterystyki społecznego funkcjonowania pewnej normy – zakazu używania narkotyków, w tym marihuany – właśnie z perspektywy „dewiantów”, na podstawie odczuwanej przez nich reakcji społecznej na jej łamanie. Zabieg ten, choć może nieco ryzykowny, jest interesujący także z tego względu, że badanie odbywało się na tle dokonujących się w naszym kraju intensywnych zmian społecznych, związanych z transformacją ustrojową – próba ujęcia omawianego zjawiska także w kategoriach czasowych może okazać się ciekawą obserwacją, jak procesy

makrospołeczne odbijają się wewnątrz stosunkowo niewielkiej grupy, w pewnym sensie wyjętej poza nawias społecznej „normalności”. Będzie to więc także przyczynek do ogólnej charakterystyki badanego środowiska.

Nietypowość prezentowanego tu ujęcia polega także na tym, że w literaturze dotyczącej używania narkotyków nieczęsto napotkać można spojrzenie na to zjawisko oczami samych zainteresowanych. Jeśli nie liczyć beletrystyki czy pamiętników, które nie mają przecież charakteru naukowych analiz, przeważnie mamy do czynienia z oglądem z perspektywy różnego autoramentu specjalistów w dziedzinie uzależnień, którzy, co jest niezmiernie istotne, kształtują swój obraz tego zjawiska przede wszystkim na podstawie kontaktów z osobami uzależnionymi -użytkownikami silnie uzależniających narkotyków, bardzo zaawansowanymi w swym nałogu. Jeśli zaś chodzi o dostępne źródła socjologiczne, to w znakomitej większości są to statystyczne analizy, dokonywane w oparciu o badania ankietowe lub urzędowe rejestry – policji, szpitali, poradni i ośrodków leczenia osób uzależnionych oraz innych instytucji. Nie wnikając w wiarygodność tych danych pragnę jedynie zaznaczyć, że istotnym niedostatkim tego typu analiz jest brak „rozumiejącego” ujęcia problemu. Uwzględnienie „współczynnika humanistycznego”, próba spojrzenia na badane zjawisko z perspektywy samych jego uczestników – oto kolejna przyczyna, uzasadniająca przyjęta tu perspektywę reakcji społecznej, w dużej mierze osadzoną w paradygmacie socjologii humanistycznej, która najbardziej sobie ceni właśnie „rozumiejący”, jakościowy opis zjawisk społecznych, zamiast poprzestawania na ujmowaniu ich w sztywne ramy statystyk.

Zanim przejdę do analizy przeprowadzonych badań oraz, wcześniej, prezentacji przyjętej perspektywy teoretycznej i towarzyszącego badanym zjawiskom szerszego tła społecznego, pragnę podziękować panu profesorowi Markowi Ziółkowskiemu – nie tylko za sprawowanie naukowej pieczy nad powstawaniem tej pracy, ale też za cierpliwość i wyrozumiałość – oraz innym pracownikom Instytutu Socjologii UAM, z których pomocy niejednokrotnie miałem potrzebę i okazję korzystać. Stokrotne dzięki należą się wszystkim moim informatorom – oprócz tego, że poświęcili mi swój czas i uwagę, to obdarzyli mnie przecież dużym zaufaniem, zdradzając w swych opowieściach osobiste, nierzadko intymne strony swych przeżyć i doświadczeń. Na koniec chciałbym wyrazić wdzięczność wszystkim, którzy bezinteresownie pomogli mi w inny sposób w ukończeniu podjętego zadania – goszcząc mnie i pomagając w dotarciu do informatorów w innych miastach użyczając dyktafonów i komputerów, czy wreszcie udzielając wsparcia w trudnych chwilach. Szczególnie duże znaczenie miało dla mnie zainteresowanie przyszłymi wynikami tej pracy, z jakim spotykałem się ze strony wielu osób w trakcie jej pisania. Mam nadzieję, że niniejszy tom, skromny efekt zbyt długich, przyznaję, wysiłków i starań, pozwoli mi choć w części spłacić ten dług wdzięczności.

ROZDZIAŁ I

PRZEGLĄD SOCJOLOGICZNYCH TEORII ZACHOWAŃ DEWIACYJNYCH

Pracę niniejszą zaczniemy od krótkiego przeglądu teorii dewiacji społecznej. Teorie te podzielić można na dwie grupy. Pierwsza z nich, to teorie etiologiczne, czyli takie, które poszukują rozmaicie pojmowanych przyczyn zachowań dewiacyjnych. W skład tej perspektywy wchodzi: teorie strukturalne (napięcia motywacyjnego), kulturowe oraz

kontroli społecznej. W opozycji do takiego – można by rzec: tradycyjnego – ujęcia problemu dewiacji, stanęła w latach 60-tych teoria reakcji społecznej, całkowicie przemieszczając akcenty w rozważaniach nad dewiacją i bez mała rewolucjonizując tę dziedzinę socjologii (Siemaszko 1993¹).

Dziś, w ponad 30 lat po tej rewolucji, patrzenie na teorię dewiacji w kategoriach klasyki i awangardy nie wydaje się już tak uzasadnione, jak wtedy, gdy teoria reakcji społecznej stawiała swoje pierwsze kroki. Niemniej jednak taki podział jest o tyle użyteczny, że sprzyja jasnemu i przejrzystemu przedstawieniu dorobku socjologii w tej dziedzinie. Prezentując teorię dewiacji, będę więc trzymał się tego właśnie klucza.

1. TEORIE ETIOLOGICZNE

Omawiając teorie dewiacji społecznej, zacznijmy od spostrzeżeń, jakie poczynił na ten temat jeden z czołowych przedstawicieli socjologicznej klasyki, Emile Durkheim. W interesującej nas dziedzinie uczonego ten uznawany jest za prekursora trzech orientacji na raz: strukturalnej, kontroli społecznej i reakcji społecznej. Jego zasługi dla perspektywy strukturalnej polegają na wprowadzeniu pojęcia anomii oraz na traktowaniu dewiacji jako zjawiska wynikającego wprost ze struktury społecznej. Pojęciem anomii operował później Merton – główny przedstawiciel orientacji strukturalnej. Jeśli chodzi o przyczyny dewiacji, to Durkheim dopatrywał się ich w osłabieniu mechanizmów kontroli społecznej, w wyniku czego dochodzi do głosu egoistyczna, „zwierzęca” natura człowieka. Wizja taka została rozwinięta przez przedstawicieli kierunku kontroli społecznej, którzy zamiast poszukiwać odpowiedzi na pytanie: „dlaczego ludzie łamią normy?”, pytają: „co sprawia, że ich nie łamią?”, i w odpowiedzi wskazują na kontrolę społeczną. Durkheim traktował przestępczość i dewiację jako zjawiska poniekąd normalne i zauważał dużą ich rolę w kształtowaniu i utrwalaniu się świadomości zbiorowej. Dokonał tym samym spostrzeżeń charakterystycznych dla perspektywy reakcji społecznej, rozwiniętych później przez Kaia T. Eriksona.

Oto, jak kształtowały się i rozwijały różne kierunki w rozważaniach nad dewiacją: trzy wymienione wyżej, oraz czwarty – kierunek kulturowy.

A. ORIENTACJA STRUKTURALNA

Za głównego przedstawiciela orientacji strukturalnej, zwanej też strukturalno – funkcjonalną, uważa się Roberta K. Mertona. Dewiacja jest, zdaniem tego uczonego, wynikiem napięcia, jakie występuje między strukturą społeczną (pojmowaną jako „zorganizowany zespół społecznych zależności, w które uwikłani są w różny sposób członkowie społeczeństwa lub grupy”) a strukturą kulturową (rozumianą jako „zespół kierujących zachowaniem wartości normatywnych, wspólnych członkom określonego społeczeństwa czy grupy”). Szczególnie istotne elementy struktury kulturowej, to „rzeczy warte zabiegów”, czyli kulturowo zdefiniowane cele, oraz kulturowo akceptowane środki, służące osiągnięciu tych celów. Problem polega, według Mertona, na tym, że struktura społeczna nie wszystkim członkom społeczeństwa pozwala osiągnąć owe cele za pomocą usankcjonowanych, dopuszczalnych w danej kulturze środków. Stan taki rodzi w strukturze społecznej i kulturowej napięcie, którego rozładowanie następuje poprzez zachowania dewiacyjne. Dewiacja taka nie jest wcale reakcją patologiczną – wręcz przeciwnie, jest zupełnie normalną reakcją normalnych jednostek na nienormalną sytuację, adaptacją do istniejących warunków.

Merton wyróżnił pięć typów adaptacji:

- konformizm (jedyna adaptacja nie-dewiacyjna) – stan, w którym jednostka akceptuje i cele, i środki, jakie „obowiązują” w danej kulturze;
- innowacja – akceptacja celów, ale odrzucenie kulturowo usankcjonowanych środków;
- rytualizm – rezygnacja z celów przy akceptacji środków; swoiste zrytualizowanie czynności;
- wycofanie – rezygnacja i z celów, i ze środków;

– bunt – odrzucenie celów i środków, ale zastąpienie ich nowymi.

Niezwykle pociągająca jasność i klarowność koncepcji Mertona nie uchroniła jej przed krytyką. Zarzucała ona Mertonowi, że zakłada on nieciągłość między konformizmem a dewiacją – z jego koncepcji można by wnioskować, że przejście od jednego do drugiego następuje raptownie; że jest to jakby zerwanie z konformizmem. Jak się ono odbywa – tego Merton nie wyjaśnia. Wiąże się z tym inny zarzut: zbyt indywidualnego traktowania dewiacji i wyrwania jej z kontekstu interakcyjnego; w szczególności wytyka się Mertonowi brak powiązania teorii dewiacji z teorią grup odniesienia.

Krytyce nie oparła się również typologia adaptacji – Mertonowi zarzucano tu brak rozłączności poszczególnych kategorii, niejasność granic między nimi oraz to, że nie obejmuje ona wszystkich możliwych logicznie kombinacji różnego stosunku jednostek do kulturowych celów i środków: akceptacji, odrzucenia i zastąpienia. Usterką mertonowskiej teorii jest także brak jasności co do znaczenia pojęcia „anomalii” – nie wiadomo do końca, czy jest to skutek braku równowagi między celami i środkami kulturowymi, czy też sam brak tej równowagi.

Wszystko to sprawia, że koncepcje Mertona można interpretować na różne sposoby, co jest niewątpliwie jej wadą jako teorii naukowej, ale -paradoksalnie – przyczyniło się również do jej niezwyklej płodności dla rozwoju myśli socjologicznej w dziedzinie dewiacji.

Z niedociągnięć swej teorii Merton zdawał sobie zresztą sprawę, pisząc: „Nie wiem, czy to, co mówimy jest prawdziwe, ale jest to przynajmniej doniosłe” (Merton 1982).

Doniosłość ta polega przede wszystkim na tym, że Merton wykazał, iż dewiacja może być generowana przez strukturę społeczną, a jeśli tak jest -to jest ona zjawiskiem w pewnym sensie normalnym.

B. ORIENTACJA KULTUROWA

Jeżeli dla teorii Mertona charakterystyczna jest wizja społeczeństwa jako struktury niemalże jednorodnej pod względem wyznawanych wartości i norm, to orientacja kulturowa opiera się na odmiennym założeniu -przyjmuje ona, że w obrębie społeczeństwa funkcjonuje wiele systemów norm i wartości. U źródeł dewiacji leży właśnie ta niejednorodność: to, co w jednej kulturze (czy podkulturze) jest normą, w innej uznawane jest za dewiację.

Na takim założeniu oparł swą koncepcję Thorsten Sellin. W jego teorii konfliktu kultur dewiacja wynika ze zderzania się systemów normatywnych – „kodeksów kulturowych” – różnych kultur czy podkultur. Zderzenie takie może odbywać się na kilka sposobów:

- przestrzennie (przez sąsiedztwo dwu różnych kultur);
- przez przeniesienie lub narzucenie jednego kodeksu kulturowego na terenie drugiego (np. prawa europejskiego w koloniach);
- przez migracje całych grup kulturowych.

Sellin postrzega społeczeństwo wręcz jako zbiór podkultur, czemu nie można się dziwić o tyle, że ojczyzna uczonego – Stany Zjednoczone – jest pod tym względem rzeczywiście niezwykle różnorodna: nawet w potocznym języku nazywana jest tygłem kulturowym.

Ważną zasługą Sellina dla teorii dewiacji jest zanegowanie słuszności przyjmowania prawnych, kodeksowych definicji przestępstw za jednostki analizy socjologicznej. Za taką jednostkę Sellin postulował przyjęcie normy zachowania. Wprowadził pojęcie siły normy, a do mierzenia tej siły proponował użyć potencjału sankcji, jakimi dana norma jest obwarowana (potencjał oporu normy). Takie postrzeganie normy – przez pryzmat reakcji społecznej, jaką wywołuje jej złamanie – jest dla nas bardzo interesujące, gdyż, jak się niebawem przekonamy, jest charakterystyczne dla perspektywy reakcji społecznej, która rozwinęła się dopiero w 20 lat później.

Teoria Sellina nie oparła się krytyce – zarzucano jej przede wszystkim przyjęcie zbyt atomistycznego obrazu społeczeństwa, gdy tymczasem jest ono o wiele bardziej jednorodne pod względem aksjonormatywnym. Koncepcja ta ma także dość ograniczone

zastosowanie praktyczne – jej wartość polega przede wszystkim na nowatorskim, jak na owe czasy, ujęciu problematyki dewiacji.

Druga znaczącą koncepcją w ramach perspektywy kulturowej jest teoria zróżnicowanych powiązań Edwina H. Sutherlanda. Badacz ten założył, że zachowanie przestępcze jest wyuczone w procesie interakcji, głównie w grupach pierwotnych, przy czym nauka ta obejmuje zarówno techniki przestępcze, jak i – co jest o wiele istotniejsze – motywacje, dążenia, racjonalizacje i postawy. Uczenie się takich motywacji to wynik definiowania norm prawnych w środowisku, w którym obraca się jednostka – definicje norm mogą sprzyjać bądź ich przestrzeganiu, bądź naruszaniu. Jeśli tych ostatnich jest więcej, to tworzą one „nadwyżkę”, co prowadzi do tego, że jednostka podejmuje niezgodne z prawem działania. Dewiacja jest w tej teorii wynikiem oddziaływania tytułowych zróżnicowanych powiązań (przestępczych i nie-przestępczych), w jakich tkwią jednostki. Teorii Sutherlanda wytykano przede wszystkim słabość psychologiczną: ujęcie osobowości jako biernego obiektu, całkowicie sterowanego przez wpływy z zewnątrz, oraz zbyt ogólnikowe potraktowanie problematyki uczenia się. Sutherland nie zdefiniował ponadto podstawowych w jego teorii pojęć, np. nadwyżki czy definicji norm prawnych, a poza tym, wbrew aspiracjom autora, teoria ta nie wyjaśnia wszystkich rodzajów przestępczości – trudno ją zastosować np. do opisu przestępczości „białych kołnierzyków” („white collar crimes”: defraudacje, malwersacje itp.), do przestępstw popełnionych nieintencjonalnie, pod wpływem afektu lub w wyniku presji sytuacyjnej. Nie jest to jednak powód by całkowicie dyskredytować zasługi Sutherlanda – podkreślając duże znaczenie uczenia się, zwrócił on przecież uwagę na ważne zjawisko socjalizacji przestępczej; ponadto teoria zróżnicowanych powiązań znakomicie nadaje się np. do badania związku przestępczości z wiekiem, płcią lub obszarem.

Przy omawianiu orientacji kulturowej błędem byłoby pominięcie zasługi mistrzów szkoły chicagowskiej, bowiem cała ta orientacja wywodzi się właśnie od nich. Wkład ekologów społecznych z Chicago w teorię dewiacji i przestępczości polegał przede wszystkim na tym, że spojrzeli oni na te zjawiska przez pryzmat ich rozkładu przestrzennego w organizmie miejskim. Ernest W. Burgess wyróżnił w Chicago pięć koncentrycznych stref, różniących się rodzajem zabudowy, pełnionymi funkcjami, składem mieszkańców, oraz właśnie nasileniem przestępczości. Największa przestępczość panowała w tzw. strefie przejściowej, czyli na obszarze, który – w związku z rozrastaniem się miasta – traci już charakter dzielnicy mieszkaniowej, ale jeszcze nie został wchłonięty przez rozbudowujące się centrum przemysłowo – handlowe. Osiedlają się tam ludzie, którzy – według koncepcji darwinizmu społecznego Roberta E. Parka – przegrali ekonomiczną walkę o byt. W związku z panującą w tej strefie dezorganizacją społeczną, występuje tam szczególnie duże nasilenie przestępczości i dewiacji, które maleje wraz ze wzrostem odległości kolejnych dzielnic – stref od centrum miasta. Co ciekawe, nasilenie przestępczości w strefie przejściowej jest niemal niezależne od jej składu etnicznego – badania Clifforda R. Shawa wykazały, że mimo dużej rotacji mieszkańców na przestrzeni czasu, poziom przestępczości pozostawał niezmiennie wysoki, co stanowi silny argument za przestrzennymi, ekologicznymi uwarunkowaniami dewiacji.

Jednak z biegiem czasu, m.in. w wyniku badań przeprowadzonych w innych miastach, przedstawiciele szkoły chicagowskiej docenili także wpływ nie w pełni dotąd dostrzeganych czynników kulturowo – społecznych na występowanie przestępczości. Efektem tego była, stworzona przez Clifforda R. Shawa i Henry McKaya, koncepcja transmisji kulturowej, która kładła nacisk na występowanie w społeczeństwie różnych, konkurencyjnych systemów wartości: konformistycznych i dewiacyjnych. Wątek ten znalazł rozwinięcie w omówionych wcześniej koncepcjach Sellina i Sutherlanda.

C. KIERUNEK KONTROLI SPOŁECZNEJ

W przedstawionych dotychczas orientacjach poszukiwano, ogólnie mówiąc, powodów, dla których ludzie łamią społeczne normy i zachowują się nonkonformistycznie. I tak, w

teorii napięcia motywacyjnego przyczyną zachowań dewiacyjnych była niemożność osiągnięcia kulturowo zdefiniowanych celów za pomocą akceptowanych środków, natomiast teorie kulturowe kładły nacisk na uczenie się wzorów zachowań dewiacyjnych oraz na współwystępowanie i konflikt różnych kodeksów kulturowych. Wspólną cechą obu podejść jest założenie, że „normalnym” stanem społeczeństwa jest powszechny konformizm, a dewiacja to odstępstwo od tej normy.

Odmienne założenie tkwi u podstaw kierunku kontroli społecznej: człowiek jest tu traktowany jako jednostka z natury niemoralna, a tendencje dewiacyjne – jako całkiem naturalne; jeśli udaje się je utrzymać w ryzach, to tylko dzięki sprawnie działającej kontroli społecznej. Podwaliny pod ten kierunek stworzył, jak pamiętamy, Emile Durkheim, kreśląc swą wizję społeczeństwa w „Le Suicide”. Natura człowieka jest, jego zdaniem, dwoista: „homo duplex” to suma tego, co egoistyczne i indywidualne, a z drugiej strony – społeczne i uniwersalne. „Zwierzęca”, antyspołeczna, egoistyczna natura człowieka może być opanowana tylko przez sprawnie działający system kontroli społecznej. System ten jest tym sprawniejszy, im silniejsze są więzi społeczne: silna integracja społeczna jest warunkiem względnego konformizmu, a gdy więzi te słabną, nasila się dewiacja.

Twierdzeniom tym daleko do spójności i precyzji, jaką powinna się charakteryzować teoria naukowa z prawdziwego zdarzenia – zasługa Durkheima polega tu jednak nie na stworzeniu spójnego systemu teoretycznego, lecz na wytyczeniu pewnej drogi w rozważaniach nad dewiacją społeczną. Dopracowanie teorii Durkheim pozostawił swym liczny następcom. Badaniem przestępczości i dewiacji z tej perspektywy zajęli się m.in. Albert J. Reiss, Ivan F. Nye oraz Travis Hirschi.

Reiss podzielił kontrolę społeczną na wewnętrzną („zdolność jednostki do powstrzymywania się od takiego sposobu realizowania potrzeb, który pozostaje w konflikcie z normami i regułami obowiązującymi w społeczeństwie”) i zewnętrzną („zdolność grup społecznych lub instytucji do skutecznego egzekwowania zachowań zgodnych z normami i regułami”). Reiss podkreślał dużą rolę rodziny, jako grupy pierwotnej, która nie tylko sprawuje kontrolę zewnętrzną, ale też ma decydujące znaczenie dla powstania systemu kontroli wewnętrznej, przekazując konformistyczne wzory i wartości. Prawdopodobieństwo dewiacji nasila się, zdaniem Reissa, gdy mechanizmy kontrolne ulegają osłabieniu, gdy brak jest klarownych norm w grupach odniesienia, gdy na jednostkę oddziałują systemy norm pozostające ze sobą w konflikcie, a wreszcie, gdy jednostka nie zinternalizowała norm konformistycznych.

Ivan F. Nye podważył słuszność podziału na kontrolę wewnętrzną i zewnętrzną. Kontrola wewnętrzna, jako wynik socjalizacji i oddziaływania grup odniesienia, jest bowiem tak samo kontrolą zewnętrzną, społeczną, tyle, że sprawowana niejako „od wewnątrz” jednostki. Nye zaproponował w związku z tym inny podział: na kontrolę wewnętrzną (sumienie – wynik internalizacji norm), kontrolę pośrednią (liczenie się z opinią „istotnych innych”), oraz kontrolę bezpośrednią (określone sankcje społeczne, zarówno nieformalne, jak i formalne: od dezaprobaty po więzienie). Nie byłoby w tej teorii właściwie niczego nowego w stosunku do koncepcji Reissa, gdyby nie to, że Nye do trzech rodzajów kontroli dodał element czwarty, quasi-kontrolny: zaspokojenie potrzeb jednostki, jako czynnik, działający na rzecz konformizmu. Im większy jest stopień zaspokojenia tych potrzeb, tym mniejsza staje się, według niego, konieczność działania mechanizmów kontroli społecznej. Podobnie jak Reiss, Nye podkreślał szczególną rolę rodziny, i to podwójną: po pierwsze, w sprawowaniu kontroli społecznej, a po drugie, w zaspokajaniu potrzeb jednostki, co stanowi wspomniany element quasi-kontrolny. Potrzeby te, to pragnienie uczucia, uznania, bezpieczeństwa, i nowych doświadczeń. Są to więc potrzeby o charakterze biologiczno – psychicznym, dość odległe od mertonowskich „kulturowo zdefiniowanych celów”, niemniej jednak, uznając stopień zaspokojenia potrzeb za jedno z uwarunkowań zachowań dewiacyjnych, Nye czyni wyraźny ukłon w stronę Mertona i jego teorii napięcia motywacyjnego.

Na taki teoretyczny kompromis nie zgadza się Travis Hirschi, który przywrócił perspektywę kontroli społecznej, mocno zapomnianą w latach 60-tych, do łask badaczy zjawiska dewiacji. Duże znaczenie miał tu fakt, że Hirschi konstruował swą teorię pod kątem weryfikowalności empirycznej, co – przez częste jej stosowanie w badaniu przestępczości – niewątpliwie przysporzyło jej popularności. Podobnie jak poprzednicy, Hirschi zakłada, że u podłoża zachowań dewiacyjnych leży osłabienie więzi, jakie łączą jednostkę z porządkiem konformistycznym. Więzy te są czworakiego rodzaju:

- przywiązanie – emocjonalne związki z otoczeniem: „co sobie ludzie pomyślą”;
- zaangażowanie – obawa przed konsekwencjami czynu dewiacyjnego: „mam za dużo do stracenia”;
- zaabsorbowanie (w działalność zgodną z normami) – z czym wiąże się sposobność i czas (lub ich brak) by popełnić czyn o charakterze dewiacyjnym;
- przekonanie (o konieczności przestrzegania norm).

Im słabsze jest natężenie któregokolwiek z tych czynników, tym większe prawdopodobieństwo popełnienia czynu dewiacyjnego. Nie występuje tu jednak związek funkcjonalny, tj. natężenie tych czynników nie jest osłabiane celowo, po to, by można było przekroczyć normy.

Innego zdania są Graham M. Sykes i David Matza, przedstawiając swą teorię neutralizacji. Należałoby ją może omówić w podrozdziale poświęconym orientacji kulturowej, autorzy zakładają bowiem, że w każdym społeczeństwie tkwią dwa równoprawne systemy wartości: oficjalny – konformistyczny, oraz nieoficjalny, „podskórny” – w dużej mierze dewiacyjny. Dewiacja, to – w skrócie – realizowanie wartości „podskórnych” w niewłaściwym miejscu i czasie, „wdarcie się” z nimi na teren zarezerwowany dla wartości oficjalnych.

Dla nas jednak o wiele istotniejsza jest część teorii poświęcona neutralizacjom, a ta nosi pewne znamiona charakterystyczne dla kierunku kontroli społecznej. Neutralizacje to mechanizmy, które wykształcają się przed popełnieniem czynu dewiacyjnego i umożliwiają jednostce złamanie normy, jednak bez jej negacji i odrzucenia – jest to więc dość szczególny sposób osłabienia, czy może raczej ominięcia kontroli społecznej. Sykes i

Matza opisują pięć technik neutralizacji:

- kwestionowanie odpowiedzialności – przekonanie samego siebie o braku swego wpływu na popełnienie czynu dewiacyjnego; dzięki temu unika się bezpośredniej konfrontacji z normami: np. popełniony czyn definiujemy jako „wypadek” lub obwiniamy swoje trudne dzieciństwo;
- kwestionowanie szkody – np. zdefiniowanie kradzieży samochodu jako „\’pożyczenia”, lub wojny gangów jako nie dotyczącej nikogo poza samymi zainteresowanymi, a więc nieszkodliwej;
- kwestionowanie ofiary – zanegowanie istnienia ofiary lub jej prawa do określania siebie jako poszkodowanej; przedefiniowanie ofiary tak, by „zasługiwała” na karę („należało mu się”, „sam się prosił”);
- potępienie potępiających – odebranie im prawa do wydawania sądów, przez przypisanie negatywnych motywacji lub uznanie ich za tak samo złych, nieuczciwych i występnych;
- odwołanie się do wyższych racji – poświęcenie norm społecznych na rzecz norm mniejszej grupy (np. subkulturowej) na zasadzie: „wiem, że źle robię, ale inaczej nie mogę”.

Neutralizacja norm nie jest bynajmniej warunkiem koniecznym do ich przekroczenia – istnieją bowiem grupy o systemach wartości tak odległych od dominującego, że ich członkowie nie potrzebują stosować żadnych neutralizacji – ani też warunkiem wystarczającym, gdyż niektórych jednostek neutralizacje nie uwalniają od skrupułów czy poczucia winy. Dobrze, że Sykes i Matza zdawali sobie sprawę z tych ograniczeń,

bowiem założenie, jakie poczynili na początku (że młodociani przestępcy w istocie czują potrzebę przestrzegania norm, a po ich złamaniu mają poczucie winy), wydaje się zbyt daleko idące. Mimo to, teoria ta dość dobrze tłumaczy przede wszystkim jednorazowe wykroczenia przeciw prawu – „młodzieńcze wybryki” oraz popełnienie wykroczenia czy przestępstwa po raz pierwszy – wejście na drogę dewiacji. Omówiliśmy ją tu dość szczegółowo, gdyż pojęcie neutralizacji okaże się użyteczne dla Howarda S. Beckera, gdy będzie on konstruował sekwencyjny model dewiacji, który przynależy już do innego paradygmatu. Przejdźmy więc do charakterystyki kolejnego podejścia do zjawiska dewiacji społecznej.

2. PERSPEKTYWA REAKCJI SPOŁECZNEJ

Perspektywa reakcji społecznej, zapoczątkowana w burzliwych latach 60-tych, stanowiła prawdziwy przewrót w socjologicznej refleksji nad dewiacją społeczną. Omówione dotąd teorie usiłowały wyjaśnić, dlaczego ludzie łamią normy społeczne, i choć każda z orientacji wskazywała na inną przyczynę, to wszystkie były zgodne w pojmowaniu dewiacji jako odstępstwa od normy, która traktowana jest tam jako dana i niepodważalna. Teoria reakcji zamiast poszukiwać innych odpowiedzi, zadaje odmienne pytanie: dlaczego i w jaki sposób ludzie zostają uznani za przekraczających normy, oraz skąd się te normy biorą? O dewiacji decyduje w tej perspektywie nie sam fakt złamania normy, lecz dopiero reakcja społeczna na jej złamanie (stad nazwa orientacji), a dewiant – to nie ten, kto „obiektywnie” łamie normę, lecz ten, kto zostaje za dewianta uznany, niezależnie od tego, czy normę w rzeczywistości złamał, czy nie, i naznaczony dewiacyjną etykietką (z tego powodu perspektywę reakcji społecznej nazywa się również teorią naznaczania, etykietkowania, labellingu lub stygmatyzacji). Sama norma społeczna jest w tej orientacji traktowana jako mocno zrelatywizowana i zależna od szerszego kontekstu sytuacyjnego. Teoria reakcji społecznej przyjmuje wizję świata społecznego rodem z symbolicznego interakcjonizmu, według którego rzeczywistość społeczna nie jest stała, niezmienna i obiektywna, lecz konstruowana niemalże ad hoc. W procesie interakcji między jej uczestnikami. Konformizm, dewiacja i norma społeczna to nie obiektywnie istniejące stany, lecz raczej symbole, którym dopiero przypisuje się znaczenia i społecznie definiuje. Jeden z twórców symbolicznego interakcjonizmu, George Herbert Mead, bywa zresztą czasem uznawany za jednego z prekursorów teorii reakcji społecznej, pisząc bowiem o psychologii kary, zwrócił uwagę na rolę systemu karnego w kształtowaniu osobowości przestępcy – system ten skupia na przestępcy społeczną agresję, a tłumi inne postawy wobec niego, powodując jego wrogość i nieprzejednanie tym bardziej, że wymiar kary zależy nie tylko od popełnionego czynu, ale także od innych okoliczności: miejsca i czasu, a także od urzędników wymiaru sprawiedliwości. W ten sposób system karny zamiast tłumić przestępczość, doprowadza do powstania „klasy przestępczej” (Welch 1985). W opracowaniach na temat teorii naznaczania za jej prekursorów często uważa się także Franka Tannenbauma i Edwina Lemerta. Tannenbaum jako pierwszy pisał o etykietkowaniu (tagging) i znaczeniu etykiety dla stworzenia nowej, dewiacyjnej tożsamości młodocianego przestępcy – proces ten nazwał dramatyzacją zła, chodziło bowiem o proces, w którym drobne, dosyć niewinne wykroczenie zostaje przez otoczenie społeczne – od rodziców po policję i sąd – wyolbrzymione, często nawet w dobrej wierze, i uogólnione na całą osobowość sprawcy: popełniwszy „zły czyn”, sprawca staje się „złym człowiekiem”. Lemert z kolei przedstawił sekwencje zdarzeń, jakie prowadzi od dewiacji pierwotnej – czynu częstokroć przypadkowego i mało znaczącego – do dewiacji wtórnej – wejścia jednostki w dewiacyjną rolę społeczną i utożsamienia się z nią (Traub, Little 1975).

Wątki te zostały później podjęte i rozwinięte w ramach teorii reakcji społecznej, trudno jednak dwóch wyżej wymienionych autorów uznać za reprezentantów tej orientacji. Co prawda zwracali oni uwagę na zjawisko reakcji społecznej, lecz nie było to w ich

rozważaniach pojęcie centralne -dalecy byli od badania dewiacji przez pryzmat reakcji, co – jak się zaraz przekonamy – jest cechą wyróżniającą omawianą tu perspektywę.

Zanim przystąpimy do prezentacji najważniejszych teorii reakcji społecznej, przywołajmy po raz kolejny Emile Durkheima, który w swych „Zasadach metody socjologicznej” (1968) spojrzął na problematykę dewiacji w interesujący nas tutaj sposób. Analizę przestępczości Durkheim przedstawił jako przykład stosowania tytułowych zasad badania zjawisk społecznych. Każde zjawisko należy, według niego, ujmować jako fakt społeczny, czyli zjawisko istniejące obiektywnie, nie redukujące się do przeżyć badacza, badane w drodze obserwacji lub eksperymentu, i należy je rozpatrywać w kontekście funkcji, jaką pełni w systemie społecznym.

Zdaniem Durkheima, przestępczość jest zjawiskiem normalnym, a nawet pożądanym, bowiem jego funkcja polega na tym, że umożliwia społeczne zdefiniowanie tego, co dewiacją nie jest, a więc normy społecznej: wyrzucając dewiację „poza nawias”, społeczeństwo zakreśla tym samym sferę konformizmu i wyznacza granice między jednym a drugim.

Występowanie dewiacji przyczynia się ponadto do zwiększenia integracji i solidarności społecznej oraz do podtrzymania obowiązującego systemu wartości. Co więcej, dewiacja jest niezbędna, by społeczeństwo mogło zmieniać się i ewoluować – oprócz dewiacji negatywnej występuje bowiem także dewiacja pozytywna (dodajmy tu, że o „zbożach nadnormalnych” – czyli dewiantach pozytywnych – pisał także Florian Znaniecki w „Ludziach teraźniejszych i cywilizacji przyszłości”).

Tego rodzaju funkcjonalną teorię dewiacji rozwinął w czasach bardziej nam współczesnych Kai T. Erikson, twierdząc, że dewiacja służy do określania granic przestrzeni kulturowej danej społeczności. Dewiacja jest potrzebna społeczeństwu do tego, by potępiając ją, wyznaczyło tym samym granicę, gdzie kończy się norma.

Decydującą rolę w tym procesie gra „społeczna widowia”, która jednak działa w sposób tak wybiórczy i umowny, że jej działanie stanowić może dla socjologa znacznie ciekawszy przedmiot badań, niż sama dewiacja. To właśnie zakreślaniu kulturowych granic społeczności służyły, zdaniem Eriksona, publiczne egzekucje przed wiekami, a dziś taką rolę pełni sensacyjne doniesienia o przestępstwach, jakich pełno jest na pierwszych stronach gazet. Publiczne potępienie dewianta to bowiem nic innego, jak wspólne, społeczne podtrzymanie definicji dewiacji, a przez to także i normy.

Interesująco w koncepcji Eriksona przedstawiają się instytucje kontroli społecznej. Choć oficjalną, jawną funkcją więzień, aparatu policyjnego czy szpitali psychiatrycznych jest likwidowanie lub minimalizowanie dewiacji, to ich funkcja ukryta jest coś wręcz odwrotnego: utrzymywanie dewiacji na pewnym poziomie i niedopuszczenie do jej zaniku, gdyż – jak mówiliśmy przed chwilą – jest ona społeczeństwu na swój sposób potrzebna. Można by rzec, że instytucje kontroli społecznej realizują społeczne zapotrzebowanie na dewiację, trochę na zasadzie: „jest wyrok, to i człowiek się znajdzie”. Ponadto Erikson zwrócił uwagę na stałość dewiacyjnej roli społecznej i nieodwracalność naznaczania: dewiacyjna etykieta przylega do człowieka właściwie na stałe, praktycznie odcinając mu powrót do „normalnego” społeczeństwa: po odbyciu wyroku nadal należy on do kategorii „karanych”, co np. utrudnia znalezienie pracy.

Swego rodzaju manifestem teorii naznaczania była analiza urzędowych, statystycznych rejestrów zachowań dewiacyjnych, dokonana przez Johna I. Kitsuse i Aarona V. Cicourela. Do tej pory urzędowe dane o przestępczości traktowano jako mniej lub bardziej miarodajny obraz tego zjawiska. Kitsuse i Cicourel stwierdzili natomiast, że oddają one w większej mierze wybiórczy charakter działalności organów ścigania, niż odzwierciedlają rzeczywisty poziom przestępczości. Wpływ na urzędowe statystyki mają bowiem także i takie czynniki, jak np. możliwości aparatu ścigania w danej dziedzinie (jak choćby liczba policjantów zajmujących się danym problemem), uwaga, jaka poświęca się w danym okresie zwalczaniu określonego rodzaju przestępstw, czy wreszcie społeczne stereotypy,

dotyczące pewnych grup społecznych (ten sam czyn może być przez policję uznany za poważne przestępstwo lub puszczony płazem jako młodzieńczy wybryk, w zależności od tego, czy dokonał go np. Murzyn z nizin społecznych, czy biały chłopak z dobrej rodziny. Efekt: rejestrowana przestępczość wśród kolorowych i w klasach niższych jest statystycznie wyższa niż wśród białych przedstawicieli klasy średniej). W związku z tym Kitsuse i Cicourel postulowali, aby przede wszystkim zająć się problemem społecznego określania pewnych zachowań jako dewiacyjnych i zwrócić uwagę na to, jak traktowane są jednostki lub grupy, które takie zachowania przejawiają, w zależności od swego miejsca w strukturze społecznej, a dopiero w dalszej kolejności badać przyczyny tych zachowań.

Wkładem Kitsusego w teorię naznaczania był też postulat ujmowania dewiacji jako procesu składającego się z trzech stadiów: (1) interpretacji danego zachowania jako dewiacyjnego, (2) zdefiniowania jednostki, przejawiającej takie zachowanie, jako dewianta, (3) traktowania tej jednostki jako dewianta. Ważny jest szczególnie ten ostatni warunek, albowiem, jeżeli wobec posadzonej o dewiację jednostki nie stosuje się żadnych sankcji (czyli: jeżeli nie występuje reakcja społeczna), to właściwie nie ma powodu, by jednostkę taką uznawać za dewianta.

Spośród prac, wytyczających nową perspektywę badawczą w dziedzinie dewiacji społecznej, największy oddźwięk wywołała książka „Outsiders. Studies in the Sociology of Deviance” Howarda S. Beckera (1963). Jako, że do koncepcji tego autora odwoływać się będą jeszcze wielokrotnie, poświęćmy jej tu znacznie więcej miejsca, niż dotychczas omówionym teoriom.

Becker rozpoczyna od rozważań na temat samego pojęcia dewiacji społecznej. Do tej pory, pisze on, dewiacja była ujmowana po prostu jako łamanie normy. Jednak przyjmując taką „zdroworozsądkową” definicję

dewiacji, akceptujemy jednocześnie system wartości grupy, która wydaje sąd o tym, co jest dewiacją, a co nią nie jest. Pomijając oczywisty fakt, że tego rodzaju wartościowań nauka powinna się wystrzegać, to takie podejście jest niewłaściwe, gdyż w społeczeństwie istnieje równoległe tak wiele różnorodnych systemów wartości, że to samo zachowanie może być jednocześnie konformistyczne i dewiacyjne, w zależności od tego, jaką „miarę” doń przyłożymy. Każda grupa społeczna ma przecież swój własny system norm, a jednostka, uczestnicząc w wielu grupach na raz, jest narażona na ryzyko złamania norm jednej grupy choćby przez samą tylko wierność kodeksowi innej.

Definiowanie dewiacji jako nieposłuszeństwa wobec norm sprowadza nas więc na manowce. Tym bardziej do niczego nie prowadzi „statystyczne” ujmowanie dewiacji jako odchylenia od jakkolwiek pojmowanej „średniej”, ani też traktowanie jej jako swego rodzaju choroby, czy to w kategoriach medycznych (dewiacja jako wynik psychicznego defektu jednostki), czy to społecznych (jako efektu dezorganizacji społecznej) – a takie podejścia również nie są w literaturze naukowej rzadkością. Ponadto takie traktowanie dewiacji rodzi pokusę, by poszukiwać jakichś szczególnych przyczyn, które skłaniają ludzi do dewiacyjnych zachowań, a także niesie niebezpieczeństwo traktowania „dewiantów” jako homogenicznej pod jakimś względem grupy i poszukiwania domniemanej cechy, która ma odróżniać ich od „normalnych”.

Tymczasem, proponuje Becker, dewiację należy uznać za zjawisko tworzone przez społeczeństwo. Nie chodzi tu bynajmniej o to, że źródła dewiacji tkwią w społecznej sytuacji dewianta lub w innych czynnikach społecznych, o czym pisali przedstawiciele klasycznych orientacji, lecz o to, że „grupy społeczne kreują dewiację poprzez tworzenie reguł, których naruszenie stanowi dewiację, oraz przez stosowanie tych reguł do konkretnych ludzi i naznaczanie ich jako outsiderów”. Konsekwencją przyjęcia takiego punktu widzenia jest twierdzenie, że „dewiacja nie jest właściwością czynu, który popełnia jednostka, lecz raczej wynikiem nałożenia reguł i sankcji na sprawcę. Dewiant to ten,

któremu skutecznie przyczepiono taką etykietkę; zachowanie dewiacyjne – to zachowanie, które ludzie w taki sposób naznaczają” (Becker 1963).

Ten tok rozumowania prowadzi Beckera do utworzenia typologii zachowań i dewiacyjnych, w której opisywany tu wymiar reakcji społecznej jest równie istotny, jak sam fakt „obiektywnego” przekroczenia normy.
typy zachowań dewiacyjnych:

posłuszne wobec reguł:

łamiące reguły:

postrzegane jako dewiacyjne:

falszywie oceniane

czyste dewiacje

nie postrzegane jako dewiacyjne:

konformistyczne

ukryte dewiacje

(źródło: Becker 1963)

Z powstałych w ten sposób czterech kategorii zachowań dewiacyjnych dwie są dość oczywiste (zachowania konformistyczne i czyste dewiacje). W wyniku wprowadzenia wymiaru reakcji społecznej – postrzegania zachowań przez „publiczną widownię” – powstają jednak dwie nowe kategorie, o wiele ciekawsze, a do tej pory nie zauważane i pomijane: zachowania falszywie oceniane i dewiacje ukryte. W przypadku zachowań falszywie ocenianych („falsely accused”) jednostka, mimo, iż jest w istocie konformistyczna, jest społecznie uznana za dewianta ze wszystkimi tego konsekwencjami. Skoro takie pomyłki zdarzają się nawet w procesach sądowych, gdzie oskarżony może się bronić, a winę trzeba udowodnić zgodnie ze ścisłą procedurą, to przypuszczać można, że falszywe oskarżenia o wiele częściej zdarzają się w codziennym życiu, gdzie jednostka nie jest chroniona proceduralnymi zabezpieczeniami.

Równie ciekawe jest zjawisko dewiacji ukrytej – wiele wskazuje na to, że jest ono znacznie bardziej powszechne niż może nam się na co dzień wydawać. Według Beckera, świadczy o tym np. jego oszacowanie liczby nabywców wydawnictw porno – na podstawie przeprowadzonych kalkulacji sądzi on, że fanów pornografii (i to w najbardziej perwersyjnych wersjach) jest o wiele więcej niż ktokolwiek byłby skłonny sądzić, a ukrywaniu dewiacji sprzyja tu gwarancja wydawców, że materiały wysyłane są w zwykłych, nieoznakowanych kopertach. Kategoria dewiacji ukrytych będzie bardzo przydatna w następnym rozdziale, gdy przejdziemy do opublikowanego przez tego badacza studium palaczy marihuany.

Drugim ważnym dokonaniem Beckera było stworzenie sekwencyjnego modelu dewiacji. W dotychczasowych podejściach zakładano jakby „przeskok” od konformizmu do dewiacji. Tymczasem dewiacja (rozumiana tu jako „wynik transakcji między pewną grupą społeczną a tym, kto jest przez tą grupę postrzegany jako łamiący normy”) rozwija się stopniowo, przy czym na każdym stopniu działają odmienne czynniki i inne są przyczyny dewiacyjnego zachowania jednostki. Taki rozwój dewiacji Becker nazywa karierą dewiacyjną; przed jej prezentacją zaznaczymy, że „kariera” jest tu terminem czysto technicznym, pozbawionym potocznego znaczenia wartościującego. Oto jej przebieg.

1. Popęlnienie czynu dewiacyjnego.

Jeśli przyjąć „klasyczny” punkt widzenia, to do popęlnienia czynu dewiacyjnego konieczny byłby motyw dewiacyjny. Becker kwestionuje jednak użyteczność takiego podejścia. Po pierwsze bowiem, popęlnienie czynu dewiacyjnego może nastąpić nieintencjonalnie (np. skutek kulturowo uwarunkowanej niewiedzy o istnieniu normy lub nieumiejętności jej stosowania). Po drugie, motyw zachowania dewiacyjnego może być w istocie konformistyczny (Becker przytacza tu literacki przykład początkującego lekarza,

który wyręcza jednego ze swych starszych kolegów w wykonaniu zabiegu nielegalnej aborcji – musi to zrobić, aby „zaistnieć” w kręgach szanowanych lekarzy. Czyn dewiacyjny jest więc tu etapem na drodze realizacji wartości konformistycznych). Po trzecie wreszcie, dewiacyjne motywacje nie wydają się Beckerowi niczym szczególnym – twierdzi on, że śmiało można założyć, iż „normalni” ludzie także doświadczają impulsów dewiacyjnych, z tą tylko różnicą, że za nimi nie idą. Co ich powstrzymuje? Becker wskazuje tu na zaangażowanie jednostki w konwencjonalne zachowania i instytucje, na związanie z obowiązującym systemem norm. Jeśli ktoś dokonuje czynu dewiacyjnego na tym etapie kariery, to nie dlatego, by miał jakieś specyficzne motywacje. Przyczyną jest raczej słabe zaangażowanie w konwencjonalne instytucje, normy i wartości, co powoduje, że jednostka taka ma. w wypadku ujawnienia jej dewiacji, niewiele do stracenia (kłania się tu Travis Hirschi, którego teoria przedstawiona została w poprzednim podrozdziale). Drugą przyczyną może być umiejętność takiego neutralizowania norm, by nie stanęły na przeszkodzie dewiacji. Neutralizacja ta odbywa się za pomocą technik opisanych przez Sykesa i Matzję (z którymi również zapoznaliśmy przed chwilą).

2. Wytworzenie motywów dewiacyjnych.

O ile motywacje dewiacyjne nie są konieczne w fazie swego rodzaju „eksperymentowania” z dewiacją, a odwoływanie się do nich nie jest potrzebne, by takie próby wyjaśnić, to muszą one zostać wytworzone, by kariera dewiacyjna mogła toczyć się dalej. Motywacje dewiacyjne kształtują się najczęściej w interakcji z dewiantami o dłuższym stażu – świadczyć może o tym wspólny dla dewiantów określonej kategorii słownik motywów, czyli sposób, w jaki opisują oni swoje motywacje. Jak przebiega wytwarzanie motywów dewiacyjnych – tego dowiemy się w następnym rozdziale, poświęconym badaniom palaczy marihuany, jakie przeprowadził Becker.

3. Przyłapanie i naznaczenie jednostki jako dewianta.

Na tym etapie kariery powstaje nowy status społeczny jednostki – od tego momentu postrzegana jest jako „inna” i tak też traktowana. Becker przywołuje tu dwa rozróżnienia, jakich dokonał Everett C. Hughes, jego akademicki nauczyciel. Pierwsze z nich, to rozróżnienie na cechy główne statusu i cechy posiłkowe. Cecha główna to taka, która odróżnia reprezentantów danego statusu od reszty społeczeństwa; towarzyszą jej cechy posiłkowe – w sposób nieformalny, za to bardzo stereotypowy kojarzone z cechą główną, w wyniku czego od posiadacza cechy głównej „odruchowo” oczekuje się, że automatycznie posiadać będzie określone cechy posiłkowe.

Drugie rozróżnienie dotyczy statusu głównego i podporządkowanego. Wśród wielu statusów społecznych, które jednocześnie posiada każdy z nas, jeden wysuwa się na pierwszy plan i przez jego pryzmat jesteśmy postrzegani. Przeważnie jest to status zawodowy, choć np. w przypadku przedstawicieli innych ras jest to kolor skóry – i tak np. lekarz biały jest przede wszystkim lekarzem, ale lekarz czarny będzie „najpierw” Murzynem, a lekarzem – dopiero „potem” (Becker 1963).

Do czego zmierza Becker? Otóż bycie dewiantem, to, według niego, zarówno status główny, jak i cecha główna naznaczonej jednostki. Np. naznaczenie jednostki jako „przestępcy” usuwa w cień jej pozostałe statusy, a ponadto wyposaża ją w cechy posiłkowe, kojarzące się w sposób stereotypowy z określeniem „przestępca”. Jeśli np. w poszukiwaniu pracy zgłosi się znakomity fachowiec z odbytym wyrokiem, to teoretycznie jest to ni mniej ni więcej, tylko dobry fachowiec, tyle, że z wyrokiem – w praktyce jednak będzie to przede wszystkim „karany” (status główny), a dopiero potem dobry fachowiec. W ten sposób dewiant raz naznaczony na całe życie pozostaje „innym”.

4. Samospelniające się proroctwo.

Przez opisane wyżej naznaczenie, na obecnym etapie uniemożliwia się jednostce pełnienie dotychczasowych ról społecznych, choćby sam fakt dewiacji w niczym tu nie przeszkadzał. Dla przykładu, monarowscy „neofici” (osoby wyleczone z nałogu

narkotycznego) skarżą się często, że w nowym miejscu pracy nadal są nazywani „ćpunami” i dyskryminowani przez kolegów, co może nawet zmusić ich do porzucenia pracy (Siczek 1994). Podobnie, przestępca z poprzedniego przykładu może mieć kłopoty ze znalezieniem pracy, mimo, że odbył już swój wyrok – nikt bowiem nie chce zatrudniać „karanych”. Społeczeństwo odcina tu naznaczonej jednostce wszystkie drogi z wyjątkiem jednej – dewiacyjnej.

5. Wejście do zorganizowanej grupy dewiacyjnej.

Jest to ostatni etap kariery dewiacyjnej – naznaczona jednostka, zepchnięta na margines życia społecznego, akceptuje tu swoją dewiacyjną tożsamość, a grupa wydatnie jej w tym pomaga, podsuwając gotowe, wypracowane systemy racjonalizacji własnej dewiacji. Dzięki temu łatwiej jest odrzucić cały „normalny” świat i kontynuować zachowania dewiacyjne. Nie bez znaczenia są tu także „techniczne” możliwości, jakie stwarza grupa – np. lepszy dostęp do narkotyków lub nauka technik złodziejskich.

Tyle Becker. Jego propozycja – jak zresztą wszystkie próby o charakterze pionierskim i nowatorskim – nie jest wolna od wad i niedociągnięć. Dla przykładu, tworząc typologię zachowań dewiacyjnych, Becker twierdził, że wystąpienie reakcji społecznej jest niezbędne, by dany czyn zakwalifikować jako dewiacyjny, ale używając terminu „dewiacja ukryta” milcząco uznał, że dewiacjami są także czyny, które nie wyszły na jaw, a więc w przypadku których nie wystąpiła społeczna reakcja. Można by uszczypliwie powiedzieć, że Becker był mniej radykalny, niż mu się wydawało, choć z drugiej strony to potknięcie – jakby nieudaną negację „obiektywnego” wymiaru dewiacji – można uznać za pewien plus tej koncepcji. Gdyby bowiem być konsekwentnym i ten „normatywny” wymiar dewiacji całkowicie pozbawić znaczenia, to... przestałby istnieć podstawowy przedmiot rozważań – zostałyby tylko reakcja, które to pojęcie w pracach teoretyków naznaczania właściwie nie zostało zdefiniowane.

O ile typologia zachowań dewiacyjnych broni się, mimo wszystko, całkiem dobrze, to sekwencyjny model dewiacji pozostawia o wiele więcej do życzenia. Przede wszystkim Beckerowi zarzucić tu można przejawianie relacji jednostka – społeczeństwo: jednostka niemalże przypadkowo, „na próbę”, popełnia tu czyn dewiacyjny, a społeczeństwo konsekwentnie, krok po kroku, nieuchronnie spycha ją do subkultury dewiacyjnej. W rzeczywistości sytuacja nie przedstawia się tak skrajnie – jednostka może starać się przekonać „społeczną widownię”, że zachowanie dewiacyjne wcale nie miało miejsca, próbować pomniejszyć rozmiary swej winy, a w przypadku niepowodzenia – minimalizować skutki tej porażki. Teoretycy naznaczania dostrzegli zresztą później to przeoczenie i opisali procedury takiego „targowania się”, nazywając je zaczerpniętym z etnometodologii terminem „uzgadnianie rzeczywistości”. Równie ciekawy jest tzw. proces normalizacji, kiedy „społeczna widownia”, zamiast „przyklepać”, stara się „oderwać” etykietkę – np. usiłując normalnie traktować osobę niepełnosprawną i nie dostrzegać jej ułomności, mimo, iż jest ona wyraźnie widoczna.

Becker nie zwrócił także uwagi na zjawisko samonaznaczania, które ma miejsce, gdy ludzie sami, mimo braku społecznej reakcji, przypinają sobie dewiacyjne etykietki. (Najprostszym przykładem: jeśli kradnę, to niezależnie od tego, czy mnie złapią czy nie, mam przecież świadomość, że jestem złodziejem – a tym samym naznaczam sam siebie i żadna reakcja społeczna nie jest do tego potrzebna.) Zdarza się nawet, że tacy „dewiacjanci z samonaznaczenia” sami starają się przekonać „społeczną widownię” o swej inności i wywołać reakcję społeczną – czyni to np. poborowy, udający przed komisją „świra”, by zostać uznanym za niezdolnego do służby wojskowej.

Co więcej, samonaznaczanie bywa czasem wręcz konieczne, by z dewiacji powrócić do „normalności” – szczególnie w przypadku alkoholików i narkomanów jest ono warunkiem rozpoczęcia skutecznej terapii, w myśl zasady, że trzeba sięgnąć dna, by móc się od niego odbić. I tak np. wejście narkomana do ośrodka leczniczo – terapeutycznego „Monaru” odbywa się poprzez klasyczną „ceremonię degradacji statusu” (to kolejne

pojęcie rodem z etnometodologii): „nowy pacjent zostaje pozbawiony prywatności i wszelkich praw, często jest, w swoim mniemaniu, upokarzany i obrażany. Traci wszystkie swoje role i staje się elementem grupy” (Lignowska 1987). Dopiero w miarę postępów terapii zyskuje coraz więcej praw, tworząc jednocześnie swą nową tożsamość.

Szczególnie ciekawym przypadkiem samonaznaczania jest zjawisko „samonaznaczania nonkonformistycznego”. Kariera dewiacyjna jest tu jakby odwrócona: zaczyna się od tego, że jednostka czuje się „inna”, świadomie kwestionuje ogólnie przyjęte normy i wartości, budując na negacji swą tożsamość. Często wiąże się to z przynależnością do większej grupy (dobry przykład: subkultury czy kontrkultury młodzieżowe). Jednostka określa swój status główny (np. „jestem punk”), a następnie za pomocą rozmaitych środków – ekstrawagancki wygląd, prowokujące zachowanie – stara się wywołać negatywną reakcję społeczną. Jeśli się to uda, to status „innego” zostaje tym samym społecznie potwierdzony.

Do zagospodarowania obszarów zdobytych przez teorię naznaczania ze szczególną ochotą przystąpili przedstawiciele wspomnianej już etnometodologii. O ile dla symbolicznych interakcjonistów norma społeczna, choć pozbawiona dominującej roli, stanowiła wciąż ważny punkt odniesienia w rozważaniach nad dewiacją, o tyle dla etnometodologów jest ona wysoce abstrakcyjnym i dosyć nieokreślonym konstruktem funkcjonującym gdzieś w przestrzeni społecznej. Norma nie wytycza reguł postępowania, lecz służy przede wszystkim jako podstawa uzasadnienia czy wyjaśnienia własnego działania, jako „upiękuszony obraz jego motywów” (Tittenbrun 1981). W praktyce działaniem ludzkim rządzą bowiem nie tyle normatywne wytyczne, co mniej lub bardziej przypadkowe okoliczności, a za pomocą normy można to działanie przekonująco uzasadnić, ale zazwyczaj już po fakcie, o ile w ogóle zajdzie taka potrzeba – twierdzą etnometodologowie. Normy dostarczają, ich zdaniem, pewnego poczucia czy pozoru porządku społecznego. Jak to poczucie jest tworzone? – oto, co najbardziej ich ciekawi. W centrum ich zainteresowania leżą właśnie procedury, za pomocą których ludzie czynią swoje codzienne zachowania opisywalnymi i wyjaśnialnymi. W naszym przypadku chodzi o procesy tworzenia takich definicji rzeczywistości, które uzasadniają klasyfikowanie pewnych zachowań jako dewiacyjnych, i – co za tym idzie – odpowiednie ich traktowanie. Etnometodologiczny charakter miała analiza zasad tworzenia rejestrów przestępczości dokonana przez znanych nam już Kitsusego i Cicourela. Inni reprezentanci tej orientacji badali np. procedury, jakimi posługują się psychiatrzy wojskowi diagnozując poborowych jako homoseksualistów, czy też czynniki, jakie wpływają na urzędowe zaklasyfikowanie śmiertelnego wypadku jako samobójstwa (Welcz 1985). Nie byłoby w takich badaniach nic oryginalnego, gdyby nie to, że nie chodzi tu bynajmniej o procedury natury formalnej – wręcz przeciwnie: przedmiotem badań są procedury niesformalizowane, często nawet nieświadomiane przez tych, którzy je stosują, a w dodatku niekoniecznie zgodne z oficjalnymi zaleceniami. W praktyce bowiem każdy przypadek jest swego rodzaju wyjątkiem; norma (tu: urzędowa procedura) może więc służyć jedynie jako pewna wytyczna, której interpretacja należy do tych, którzy ją stosują. Etnometodologia stara się dociec, wedle jakich zasad dokonuje się takich interpretacji.

Kończąc analizę teorii naznaczania oddajmy ponownie głos krytyce. Najpoważniejsze wysuwane przez nią zarzuty dotyczyły tego, że teoria reakcji społecznej nie jest w istocie teorią, lecz jedynie dość luźnym opisem zjawiska dewiacji – wiele z podstawowych pojęć pozostało niezdefiniowanych, a działanie reakcji społecznej niewystarczająco dokładnie opisane. Czyja reakcja?, kto wchodzi w skład „społecznej widowni”?, jak ma wyglądać reakcja, aby można było mówić o dewiacji?, jaka jest różnica między etykietkowaniem a innego rodzaju kwalifikowaniem ludzi? – to przykładowe pytania na które teoria naznaczania nie udzieliła zadowalających odpowiedzi (Pawłowska 1985).

Inny, często spotykany zarzut, dotyczy zbytniego zrelatywizowania dewiacji i sprowadzenia jej do występowania reakcji społecznej. Wydaje mi się jednak, że tu teoria

reakcji broni się całkiem dobrze, gdyż większość autorów (spójrzmy choćby na typologię Beckera) nie neguje „obiektywnego” wymiaru dewiacji, lecz jedynie proponuje, by analizować ją poprzez pryzmat jej drugiego wymiaru, czyli reakcji społecznej. Jak pisze Becker w artykule pt. „Labelling Theory Reconsidered” (1973), w teorii tej chodziło o to, by „powiększyć przestrzeń, braną pod uwagę w badaniu zjawisk dewiacyjnych, o włączenie w nią działań innych osób, nie tylko domniemanego dewianta”. W artykule tym Becker proponuje nazwać perspektywę reakcji „interakcjonistyczną teorią dewiacji”, bowiem nazwy takie jak „teoria naznaczania” czy „reakcji społecznej” sugerują skupienie się wyłącznie na naznaczaniu właśnie, podczas, gdy w rzeczywistości zakres i ambicje tej teorii były o wiele szersze. Sam Becker na przykład zajmował się także procesami powstawania norm społecznych, a nie tylko reakcja na ich łamanie².

Teorii reakcji społecznej zarzucano także zbyt determinizm i nieodwracalność procesów naznaczania oraz pominięcie istotnego problemu samonaznaczania. Z tymi zarzutami teoretycy reakcji poradzi sobie, przynajmniej częściowo, z biegiem czasu, rozwijając teorię i opisując różnego rodzaju mechanizmy naznaczania, z których część tutaj scharakteryzowaliśmy. (Warto tu zaznaczyć, że koncepcja naznaczania kształtowała się na przestrzeni około 10 lat intensywnych polemik i dyskusji, zarówno wewnętrznych, jak i w odpowiedzi na silną krytykę „z zewnątrz”, ze strony przedstawicieli innych orientacji, którzy w ten sposób mimowolnie także przyczynili się do jej rozwoju.)

Jeśli zaś chodzi o wątpliwy status tej perspektywy jako teorii, to jej twórcy bronią się tutaj, mówiąc, że... wcale nie twierdzili, iż jest to teoria, a jedynie pewna próba spojrzenia na problem dewiacji od innej strony, tak, by „skupić uwagę na tym, w jaki sposób naznaczanie umiejscawia człowieka w okolicznościach, które utrudniają mu dalsze prowadzenie normalnego, codziennego życia i przez to prowokują do „nienormalnych” działań” (Becker 1973). Krytykując więc koncepcję naznaczania jako teorię w pełnym tego słowa znaczeniu, oponenti ganią ją za to, czym w istocie nie była – broni się Becker. Rękawicę rzucona przez krytykę zdecydował się natomiast podjąć J. Dittton, który usiłował stworzyć teorię dewiacji sensu stricto. Efektem jego pracy jest tzw. model fal kontroli, który tłumaczy, jak reakcja społeczna wpływa na cykliczne zwiększanie się i zmniejszanie rozmiarów zjawisk dewiacyjnych. Rozmiar dewiacji i siła reakcji ujmowane są tu jako czynniki wzajemnie na siebie oddziałujące (Zamecka 1987).

Mimo, iż, jak widzimy, perspektywa reakcji społecznej nie zakończyła się na dokonaniach Eriksona, Kitsusego i Cicourela czy Beckera, a wręcz przeciwnie, intensywnie się rozwijała, to z biegiem lat utraciła popularność, którą cieszyła się na początku, a którą przyniosło jej, przynajmniej, nie tylko nowatorskie ujęcie problematyki dewiacji, ale także fakt, że utrafiła ona w radykalne nastroje swej epoki. Wraz z kryminologią krytyczną, antypsychiatrią i psychologią radykalna włączyła się ona w żywy w latach 60-tych nurt krytyki panujących stosunków społecznych, podważając podstawy istnienia instytucji totalnych – od więzień po szpitale psychiatryczne (Welcz 1985). O ile przedstawiciele klasycznych teorii dewiacji traktowali dewiantów co najwyżej z pewną wyrozumiałością, to radykałowie z kręgów teorii naznaczania darzą ich, zdaje się, nieukrywaną sympatią, jako nonkonformistów, którzy przeciwstawiają się zastanemu porządkowi lub są ofiarą społecznej niesprawiedliwości (Łoś 1976). Krytyce została poddana także nauka, w tym i socjologia, która, zamiast zachować niezależność, by poddawać stosunki społeczne krytycznej analizie, dała się zaprząć w służbę państwa i jego instytucji, działając na rzecz utrzymania niesprawiedliwego status quo (Mucha 1983).

Lata 60-te należały więc do teorii naznaczania, lecz później w rozważaniach nad dewiacją znów wzięły górę prądy bardziej konserwatywne, przede wszystkim kierunek kontroli. Niemniej jednak najbardziej istotne „odkrycia” dokonane w ramach perspektywy naznaczania na stałe weszły do kanonu teorii socjologicznej i trudno dziś sobie wyobrazić poważną analizę zjawiska dewiacji bez uwzględnienia czynnika reakcji społecznej.

Na tym zakończymy przegląd socjologicznych teorii zachowań dewiacyjnych – choć bardzo skrótowy, był on tu konieczny, gdyż trudno byłoby przedstawić pracę Beckera na temat palaczy marihuany bez osadzenia jej w szerszym kontekście jego koncepcji oraz całej perspektywy reakcji społecznej, ta natomiast – by w pełni zrozumieć jej sens i znaczenie -wymagała przedstawienia zarysu orientacji tradycyjnych, jako tła, do którego pozostaje w kontraście.

W następnym rozdziale zobaczymy, jak Becker praktycznie zilustrował swą koncepcję. Oto teoria naznaczania w działaniu.

ROZDZIAŁ II

STUDIUM PALACZY MARIHUANY HOWARDA S. BECKERA

Zamieszczone w „Outsiders” Beckera (1963) studium palaczy marihuany stanowiło ilustrację przebiegu kariery dewiacyjnej, a ściślej mówiąc – jej początkowych etapów. Studium to zawiera wiele elementów, które posłużą jako punkty odniesienia w przeprowadzonych przeze mnie, opisanych w dalszej części niniejszej pracy badaniach. Studium Beckera jest dwuczęściowe. Pierwsza część, zatytułowana „Zostawanie użytkownikiem marihuany”, stanowiąca trzeci rozdział „Outsiders” opisuje przebieg drugiego etapu kariery dewiacyjnej, czyli wyrabianie motywów dewiacyjnych. Część druga, zamieszczona w rozdziale czwartym książki - „Używanie marihuany a kontrola społeczna” – poświęcona jest temu, jak sobie radzą palacze z formalnymi i nieformalnymi środkami kontroli społecznej, a patrząc pod kątem przebiegu kariery dewiacyjnej – co robią, by nie przejść do etapu trzeciego, czyli: jak palić by „nie dać się złapać” i uniknąć naznaczenia. Część z palaczy, których badał Becker, tkwi w swego rodzaju subkulturowych gettach (w tym wypadku jest to środowisko muzyków rozrywkowych, wśród których palenie marihuany jest bardzo powszechne i uznawane za normalne), jednakże innym udaje się prowadzić „normalne” życie i nie wypadać z pełnionych ról społecznych. Jak się przekonamy, pozostawanie takim „dewiantem ukrytym” może być z socjologicznego punktu widzenia nawet bardziej interesujące niż funkcjonowanie w dewiacyjnej subkulturze.

1. ZOSTAWANIE UŻYTKOWNIKIEM MARIHUANY – WYRABIANIE MOTYWÓW DEWIACYJNYCH

Nad poszukiwaniem przyczyn, dla których ludzie sięgają po marihuanę i inne środki psychoaktywne od lat pracują naukowcy różnych specjalności. Poszukiwania takie to przede wszystkim domena psychologów, którzy co rusz wysuwają takie czy inne koncepcje na ten temat. Jednak nawet, jeżeli takie przyczyny uda się znaleźć, to nie wyjaśnia to, zdaniem Beckera, dwóch istotnych kwestii:

1. postępowania tych użytkowników, u których nie doszukano się tych przyczyn (np. cech psychicznych) – a okazuje się że takich „normalnych” użytkowników jest w każdej badanej grupie stosunkowo wielu;

2. bardzo dużej zmienności postaw jednostki wobec narkotyku na przestrzeni czasu. Psychologiczne wyjaśnianie palenia marihuany okazuje się więc, według Beckera, niewystarczające, a może i w ogóle niepotrzebne, bowiem powyższe problemy można rozwiązać następująco:

ad 1. palenie marihuany, a ściślej: czerpanie zeń przyjemności, wyjaśniamy jako czynność wyuczona, gdzie podłoże psychiczne nie gra szczególnej roli, a tym samym „normalni”, nie posiadający określonej cechy psychicznej użytkownicy nie stanowią problemu;

ad 2. zmiany zachowań staną się zrozumiałe, jeżeli uznamy je za efekt zmian w koncepcji jednostki na temat narkotyku, jakie dokonują się na przestrzeni czasu, a które zależą od etapu kariery, na którym znajduje się użytkownik.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że marihuana nie wywołuje uzależnienia fizycznego, nie może więc być mowy o nałogu, czyli paleniu w celu uniknięcia przykrych konsekwencji braku narkotyku – tzw. objawów abstynencyjnych (więcej na ten temat dowiemy się w rozdziale III). Palenie – zakłada Becker – odbywa się dla przyjemności i ma charakter nieprzymusowy.

Ponadto, jak pamiętamy z charakterystyki pierwszego etapu kariery dewiacyjnej, nawet, jeśli domniemany motyw rzeczywiście istnieje, to nie ma co zaprzętać sobie nim głowy, gdyż jest on nieistotny, nie różnicuje bowiem tych, którzy dokonują czynu dewiacyjnego, od tych, którzy tego nie robią, gdyż ci drudzy także mogą odczuwać taką pokusę.

Przejdźmy do konkretów. „Kandydat na palacza” wie, że inni palą, żeby być „on high”, czyli mieć „odlot” lub „odjazd” – „upalić się”³, ale nie wie, co to konkretnie oznacza. Jest ciekawy nowego doświadczenia, ale nie wie, jakie się ono okaże, a nawet trochę się boi, że będzie to coś więcej, niż oczekiwał. Nowicjusz taki próbuje marihuany, lecz – ku swojemu zaskoczeniu – nie upala się wcale. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że pali w niewłaściwy sposób – wchłania niewystarczającą ilość środka, by nastąpiła intoksykacja. Nowicjusz musi więc nauczyć się palić.

Krok 1. Nauka techniki palenia.

Cześć osób, które pierwszy raz palą marihuanę, nie paliła wcześniej także papierosów, jednak nawet palacze tytoniu mogą tu mieć pewne problemy. Oto, jak jeden z informatorów Beckera opowiada o swym pierwszym doświadczeniu: „Paliłem ją tak, jak pali się normalnego papierosa. Kolega powiedział: \’Nie, nie tak\’. Powiedział: \’Zassaj ją, wiesz, wciągnij i trzymaj w płucach aż... na jakiś czas\’. Inny mówi o początkujących palaczach: „Problem z takimi ludźmi jest taki, że oni nie palą jej dobrze. Albo nie trzymają wystarczająco długo, albo biorą za dużo powietrza, a za mało dymu (...). Mnóstwo ludzi nie pali jej tak jak trzeba, więc naturalnie nic się nie dzieje”⁴.

Nauka techniki palenia odbywa się poprzez instrukcje otrzymywane od doświadczonych palaczy lub poprzez naśladownictwo. Jest koniecznym warunkiem postrzegania marihuany jako źródła przyjemności, co nie znaczy, że warunkiem wystarczającym. Bywa bowiem tak, że nowicjusz, choć pali prawidłowo, nadal nie czuje efektów. Przed nim następnym krok.

Krok 2. Nauka dostrzegania efektów.

Nie mogący się upalić nowicjusz może dojść do wniosku, że jest odporny na działanie marihuany, albo nawet, że cała rzecz jest mistyfikacją, a obserwowani przez niego palacze po prostu udają lub przesadzają. Rezygnuje wtedy z dalszych prób. Jeżeli jest bardziej uparty to pali dalej, usiłując dostrzec efekty poprzez obserwację innych palaczy lub rozmowy z nimi: pyta ich o oznaki upalenia i próbuje odnieść je do siebie -odnaleźć wśród swych własnych doznań.

Problemy z dostrzeganiem efektów występują zresztą nie tylko u początkujących palaczy. Kłopoty takie mają także na przykład nałogowi konsumenci alkoholu, heroiny lub środków uspokajających, którzy przestają palić marihuanę, gdyż jej działanie przesłonięte jest przez pozostałe środki; nie umieją oni wyróżnić działania marihuany spośród wpływu innych substancji. Podobnie jest z palaczami marihuany, którzy palą non-stop i są cały czas upaleni: brak „punktu odniesienia” – normalnego stanu świadomości – sprawia, że przeważnie zaprzestają oni na jakiś czas palenia, by ponownie móc odczuć różnicę.

Jednak umiejętność dostrzegania efektów, choć konieczna, by dalej palić, także nie wystarcza, bowiem pierwsze odczuwane efekty są dość nieokreślone, jeśli chodzi o przyjemność, bądź wręcz nieprzyjemne, nawet bardzo: „Zaczęła działać i nie wiedziałem, co się dzieje; wiesz, było mi bardzo niedobrze. Chodziłem po pokoju, próbując się wydostać, wiesz, przeraziło mnie to, wiesz”. Inny palacz opisuje: „Czułem, że wariuję, wiesz (...). Nie mogłem podtrzymać rozmowy, a moje myśli błędziły, cały czas myślałem, och, nie wiem, dziwne rzeczy, słyszałem muzykę inaczej... Miałem uczucie, że nie mogę rozmawiać z nikim. Że zgłupieje całkowicie.” Oprócz takich doznań, nowicjusz może także czuć męczące pragnienie, mrowienie, mdłości, może też tracić orientację w czasie i przestrzeni.

Jeżeli nie chce w tym momencie dać za wygraną i zrezygnować z dalszych prób, to musi uczynić kolejny krok.

Krok 3. Nauka cieszenia się efektami.

Nowicjusz musi tu zredefiniować swe doznania, czyli zdecydować, że efekty odczuwane dotąd jako nieokreślone lub wręcz niemiłe, sprawiają mu przyjemność. Podobnie jak poprzednie kroki, także i ten dokonuje się w interakcji z doświadczonymi palaczami – odbywa się to poprzez zminimalizowanie odczuć negatywnych i podkreślenie, że są one tymczasowe, przy jednoczesnym zwracaniu uwagi na przyjemne strony osiągniętych stanów. Jeden ze „starych” palaczy mówi o tym tak: „Trzeba ich upewniać, tłumaczyć, że nie wariują ani nic takiego, że wszystko będzie w porządku. Musisz im mówić, żeby się nie bali (...) I opowiedz jakąś swoją historię, wiesz: 'To samo działo się ze mną. Polubisz to za chwilę.' Poza tym, widza, że ty robisz to samo, i nic okropnego ci się nie dzieje, i to daje im więcej pewności.” Inny palacz, widząc, że nowicjuszka jest bliska histerii, gdyż wydaje jej się, że jest w połowie w pokoju, a w połowie na zewnątrz, mówi: „(...) Dałbym wszystko, by się tak upalić. Nie upaliłem się tak od lat.” – i w ten sposób pomaga jej zredefiniować doznania.

Tak zwane „negatywne odjazdy” sprawiają czasem problemy nawet doświadczonym palaczom. Przeważnie przypisują oni wtedy winę zbyt dużej ilości wypalanej marihuany lub jej nadspodziewanie dobrej jakości i są na przyszłość ostrożniejsi, lecz jeśli problem negatywnych doznań powraca, a palacz nie umie poradzić sobie z nimi, to może to prowadzić do zaniechania palenia.

Jeśli nowicjusz pomyślnie przejdzie wszystkie opisane stopnie, to umie już czerpać przyjemność z palenia marihuany – motyw dewiacyjny został wyrobiony. O ile jednak wyrabianie motywu dewiacyjnego może być w przypadku eksperymentów z marihuaną dość pociągające, to kolejny etap „kariery dewiacyjnej” – przyłapanie i naznaczenie dewiacyjną etykietką – jest już znacznie mniej atrakcyjny i większość „dewiantów” (na razie – „ukrytych”) pragnęłaby go za wszelką cenę uniknąć. Części z nich nie udaje się to i kończą swą „karierę” w subkulturowych, dewiacyjnych gettach, lecz wielu udaje się pozostać w ukryciu – im właśnie Becker poświęca szczególną uwagę. Oto jak sobie radzą.

2. PALENIE MARIHUANY A KONTROLA SPOŁECZNA

Poprzedni podrozdział zakończyliśmy w momencie, gdy eksperymentujący z marihuaną nowicjusz nauczył się czerpać przyjemność z jej palenia. To jednak nie wystarczy, by dalej palić. Trzeba bowiem przeciwstawić się kontroli społecznej, czemu poświęcony jest niniejszy podrozdział. Poznamy w nim „sekwencję zdarzeń i doświadczeń, przez które osoba staje się zdolna do dalszego używania marihuany, pomimo wypracowanej kontroli społecznej, która działa, by zapobiec takiemu zachowaniu”. Inaczej mówiąc, chodzi tu o to, jak palić marihuanę w sytuacji, gdy jest to nielegalne i powszechnie uznawane za złe, a mimo to robić to dalej i czerpać z tego przyjemność.

Droga palacza marihuany składa się, zdaniem Beckera, z trzech etapów:

1. początkujący (beginner) – ten, który dopiero zaczyna palić i uczy się czerpać z tego przyjemność;
2. palacz okazjonalny (occasional user) – pali sporadycznie, w zależności od możliwości lub nadarzającej się okazji;
3. palacz regularny (regular user) – pali stale i systematycznie; często jest to jego codzienny zwyczaj.

Przejsie od pierwszego do drugiego, a następnie do trzeciego etapu, wiąże się z wyraźną zmianą postawy wobec norm społecznych, a szerzej – z umiejętnością unikania środków kontroli społecznej. Środki te Becker dzieli na trzy grupy:

1. ograniczenia dostępu do marihuany oraz ryzyko wiążące się z jej zakupem, wynikające z nielegalności tego środka;
2. konieczność zachowania tajemnicy przed niepalącymi z najbliższego otoczenia;
3. społeczna definicja palenia marihuany jako niemoralnego i złego.

Oto, jak działa ta trojakiemu rodzaju kontrola w praktyce, i jak palacze radzą sobie w tej sytuacji.

1. Kontrola przez utrudnioną dostępność.

Marihuana, jako środek nielegalny, nie jest łatwo i powszechnie dostępna – aby uzyskać dostęp, trzeba mieć wyrobione „dojścia”. Najszybciej można je wyrobić poprzez kontakty z innymi palaczami i osadzenie się w ich środowisku. To właśnie grupa umożliwia zwykle pierwsze spróbowanie marihuany (stadium: palacz początkujący) oraz przejście do częstszego palenia (stadium: użytkownik okazjonalny). O ile palacz okazjonalny może jeszcze zdać się na przypadek i okazję, to aby zostać użytkownikiem regularnym, trzeba nauczyć się samemu zdobywać marihuanę, a najlepiej – mieć do niej stały dostęp. Kluczowym momentem jest tu dokonanie pierwszego zakupu, co wiąże się z przełamaniem strachu przed kupowaniem oraz posiadaniem marihuany. Nie wszyscy umieją to zrobić – ci nigdy nie zostają regularnymi palaczami. Jednak pierwszy zakup (o ile, oczywiście, jest udany) powoduje zazwyczaj rewizję poglądów na temat ryzyka: okazuje się, że jeśli zachowane są podstawowe środki ostrożności, to kupowanie marihuany nie niesie z sobą tak dużego zagrożenia, jak mogło się wcześniej wydawać, a jakiegokolwiek problemy zdarzają się rzadko i polegają przeważnie na utracie źródła zaopatrzenia (aresztowanie dealera). Trzeba wtedy wyrobić sobie inny kontakt – przedstawia to tym mniejsze trudności, im bardziej palacz osadzony jest w szerszej grupie użytkowników.

2. Kontrola przez konieczność zachowania tajemnicy.

O ile kupowanie i posiadanie marihuany może pociągnąć za sobą konsekwencje prawne, to fakt jej palenia naraża także na sankcje -formalne lub nie – ze strony niepalącego otoczenia. Becker opisuje ten proces w kategoriach wyposażenia palacza (przez rodzinę, przyjaciół, zwierzchników czy kolegów z pracy) w cechy positkowe, kojarzone z cechą główną jaką jest używanie narkotyków. Cechy takie to np. nieodpowiedzialność, niemożność kontroli własnego zachowania, a nawet niepoczytalność. Efektem może być ostracyzm ze strony środowiska, zwolnienie z pracy, utrata miłości i przyjaźni osób bliskich.

Na poziomie początkującego, palenie wiąże się jedynie z koniecznością przełamania oporu. Pomaga w tym kontakt z innymi palaczami – nowicjusz widzi, że palą, nawet regularnie, bez żadnych konsekwencji – a z pomocą przychodzą tu mechanizmy neutralizacji. Stadium palenia okazjonalnego także nie niesie zbyt dużych problemów – tajemnicę zachować nietrudno, ponieważ palenie ogranicza się tylko do spotkań z innymi palaczami, na tym etapie niezbyt jeszcze częstych. Poważniejsze przeszkody wyrastają dopiero przy wkraczaniu w stadium palenia regularnego.

Aby zostać palaczem regularnym, użytkownik marihuany ma do wyboru dwie drogi. Może ograniczyć do minimum kontakty z niepalącymi, czyli zamknąć się w subkulturze palaczy, jak jeden z informatorów Beckera, który mówi: „Nie ożeniłbym się z osobą, która byłaby

przeciwna mojemu paleniu, wiesz, mam na myśli to, że nie poślubiłbym kobiety, która byłaby tak nieufna, że bałaby się, że coś zrobię... że na przykład okaleczę się lub będę próbował okaleczyć kogoś.” Gdy regularny palacz wiąże się z osobą niepalącą, to przeważnie wraca do palenia okazjonalnego.

Jest jednak inna droga: są palacze, którym udaje się palić, a mimo to normalnie funkcjonować w środowisku niepalących (choć w większym stopniu dotyczy to otoczenia zawodowego niż rodziny). Mogą tak postępować dzięki temu, że przekonali się, iż można palić niemal „pod nosem” niepalących, i wcale nie musi to być widoczne, jeśli tylko umie się kontrolować efekty. By zdobyć taką pewność, zazwyczaj wystarcza jedno pozytywne doświadczenie: „W nocy byłem na dość ostrej imprezie. Upaliłem się mocno (...) Tak mocno, że gdy szedłem do pracy, to ciągle byłem upalony, a miałem do wykonania bardzo ważną pracę. Musiałem być właściwie doskonały – chodziło o sprzęt precyzyjny. Szef przygotowywał mnie od wielu dni, wyjaśniając, co i jak (...) Mniej więcej za kwadrans czwarta odlot mi się wreszcie skończył i pomyślałem: \ 'Jezu! Co ja robię?\' Poszedłem do domu. Nie spałem prawie całą noc, martwiąc się, czy spieprzyłem tą robotę, czy nie. Następnego dnia przeszedłem do pracy i okazało się, że tą pieprzoną robotę wykonałem perfekcyjnie. Od tamtej pory się więcej nie martwię – parę razy przyszedłem do pracy całkiem bez głowy. Nie mam żadnych kłopotów.”

Aby uniknąć ostracyzmu, niekoniecznie trzeba umieć kontrolować efekty działania marihuany. Niektórzy palacze nie mają po prostu takiej potrzeby: „Oni nigdy nie zauważają, że jestem upalony. Zwykle jestem, ale oni nie wiedzą. Zawsze miałem reputację, przez całą szkołę średnią, takiego trochę dziwaka, więc czego bym nie zrobił, to nikt nie zwróci za bardzo uwagi. Więc mogę być upalony właściwie wszędzie.”

3. Kontrola poprzez zinternalizowane normy społeczne.

Zdaniem Beckera, podstawowe „imperatywy moralne”, które w powszechnym mniemaniu narusza palacz marihuany, to odpowiedzialność jednostki za swoje dobro oraz konieczność racjonalnego kontrolowania swego zachowania. Stereotyp narkomana przeczy jednemu i drugiemu, zakładając ponadto zniewolenie przez narkotyczny nałóg. Palacz marihuany musi wyzwolić się spod presji takich stereotypów. Aby je zneutralizować, stosuje szereg usprawiedliwień i racjonalizacji, przy czym na każdym etapie wyglądają one inaczej. Strategia stosowana tu przez palaczy polega na tym, że odrzuca się konwencjonalne, stereotypowe poglądy, uznając je za opinie niedoinformowanych outsiderów, i zastępuje je własnymi przekonaniem, wyrobionymi dzięki swemu własnemu doświadczeniu i w drodze kontaktów z innymi palaczami. Są to właściwie gotowe racjonalizacje, wypracowane i podsuwane przez grupę.

Na poziomie początkującego wystarczy pewne „poluzowanie” obowiązujących stereotypów, tak, aby wydawały się „nie całkiem” lub „nie do końca” słuszne. Dzięki temu można w ogóle spróbować zapalić.

Aby przejść do stadium palenia okazjonalnego, użytkownik marihuany stosuje następujące racjonalizacje:

– inni (niepalący) robią rzeczy, które są znacznie bardziej szkodliwe (np. piją alkohol) i jest to powszechnie akceptowane, podczas, gdy palenie marihuany jest w rzeczywistości zdrowsze;

– efekty palenia nie są szkodliwe, a wręcz przeciwnie: korzystne („powodowało to, że czułem się pełen wigoru; daje to także duży apetyt. Powoduje, że jesteś bardzo głodny. To jest chyba dobre dla ludzi, którzy mają niedowagę.” – mówi jeden z badanych Beckera)

– palenie jest kontrolowane: jest czas, kiedy dobrze jest zapalić, i jest czas, kiedy nie należy tego robić. Takie trzymanie się „planu” pozwala palaczowi tkwić w przekonaniu, że nie jest niewolnikiem narkotyku (niezależnie od tego, jak częste palenie zakłada ów „plan”)

Ogólnie rzecz biorąc, na tym etapie społeczne stereotypy dotyczące narkotyków są interpretowane w ten sposób, że nie dotyczą marihuany, szczególnie wtedy, gdy nie używa się jej za dużo.

Inaczej jest na kolejnym stopniu – użytkownika regularnego, dla którego palenie jest systematycznym, a nierzadko i codziennym zwyczajem. Użytkownik taki niebezpiecznie zbliża się w oczach swoich i innych ludzi -do wizerunku zwyczajnego narkomana, „cpuna”. Aby oddalić te przykre skojarzenia, racjonalizuje swoje palenie następująco: – aby przekonać siebie samego, że nie jest „narkomanem”, robi przerwy w paleniu. Brak przykrych konsekwencji odstawienia, a takowe przeważnie nie występują, gdyż marihuana nie uzależnia fizycznie, uprawnia go do stwierdzenia, że nie jest uzależniony: „Paliłem przez cały czas, potem przestałem na cały tydzień, by zobaczyć, co się będzie działo. Nic się nie stało. Więc wiedziałem, że wszystko jest ze mną w porządku. Od tamtej pory palę, ile chce. (...)”

– regularny palacz wie, że marihuana, w powszechnej opinii, to pierwszy krok do ciężkich narkotyków. Uważa jednak, że sama świadomość takiego niebezpieczeństwa wystarcza, by się przed nim obronić;

– palacz twierdzi, że nie dotyczą go stereotypy (lub nawet naukowe teorie), w świetle których zażywanie narkotyków jest efektem jakiegoś psychicznego defektu czy słabości, gdyż uważa, że sam pali w innym celu, niż ucieczka od rzeczywistości: „Więc uważam, że ludzie, którzy wchodzi w twarde narkotyki i alkohol, jakieś stymulanty tego rodzaju, prawdopodobnie szukają ucieczki od poważniejszych warunków, niż mniej lub bardziej okazjonalny palacz. Ja nie czuję, bym uciekał przed czymkolwiek. Myślę, nawet zdaję sobie sprawę, że mam jeszcze wiele do osiągnięcia, by się lepiej dostosować (...)”.

Podsumowując: użytkownik marihuany może angażować się w palenie tylko w takim stopniu, w jakim jest w stanie poradzić sobie z konwencjonalnymi sadami na ten temat, uznając je za nieuprawnione poglądy wyrażane przez ludzi z zewnątrz, i zastępując je własną perspektywą, zdobytą w drodze doświadczenia i kontaktów z grupą.

ROZDZIAŁ III

CHARAKTERYSTYKA MARIHUANY I SPOŁECZNEGO TŁA JEJ UŻYWANIA

Po dokonaniu przeglądu socjologicznych teorii dewiacji społecznej oraz przedstawieniu koncepcji „kariery dewiacyjnej” Howarda S. Beckera pozostało nam scharakteryzowanie społecznego tła używania marihuany w miejscu i czasie, w którym prowadził swe badania Becker – w USA lat 50-tych⁵ – oraz w Polsce lat 90-tych, kiedy prowadzone były badania analizowane w niniejszej pracy. Wcześniej jednak zapoznamy się z samą marihuana i jej działaniem na ludzki organizm, uznałem bowiem, że pewna wiedza na ten temat pozwoli na pełniejsze zrozumienie także społecznych elementów specyfiki używania tego środka.

1. MARIHUANA I JEJ DZIAŁANIE

Marihuana – wśród użytkowników występująca także pod wieloma innymi nazwami, jak np. grass, trawa lub trawka, ganja, ziele, marycha, by wymienić tylko kilka najpopularniejszych – to suszone liście lub kwiatostany konopi indyjskiej (*cannabis indica*), w szczególności żeńskich osobników tej rośliny. Oprócz konopi indyjskiej znana jest odmiana siewna (*cannabis sativa*), uprawiana wyłącznie w celach przemysłowych, zawiera bowiem śladowe tylko ilości substancji psychoaktywnych.

Konopie pochodzą ze środkowej Azji. Jak wykazują badania archeologiczne, znane są ludziom od ok. 10 000 lat. Opisywane były w najstarszych zabytkach literatury staroindyjskiej, „Rigvedach”, pochodzących z XV – VIII w. p.n.e., wiadomo również, że znane były Asyryjczykom, Scytom, a także w Chinach i Tybecie. Konopie używane były dla celów rytualnych i religijnych oraz przemysłowych: do produkcji płótna, lin, papieru oraz oleju. W VII w. n.e. za sprawą Arabów konopie rozprzestrzeniły się na rejon wschodniośroziemnomorski, skąd przeniknęły do Afryki. Do Europy dotarły w XV – XVIII w., a wraz z kolonizatorami i murzyńskimi niewolnikami przedostały się do obu Ameryk. W naszym kręgu kulturowym dużą popularność zdobyły konopie siewne, uprawiane głównie dla włókna, natomiast konopie indyjskie i ich przetwory używane były przede wszystkim w kręgach cyganerii artystycznej XIX-wiecznej Europy (w 1843 r. w Paryżu powstał Klub Haszyszystów, skupiający wybitnych ludzi pióra), ponadto były szeroko wykorzystywane w medycynie, szczególnie w USA, jako lekarstwo na cały szereg rozmaitych schorzeń. Obecnie konopie siewne nadal uprawiane są – także w Polsce – dla celów przemysłowych, natomiast konopi indyjskich używa się głównie w celach umownie zwanych rekreacyjnymi czy relaksacyjnymi, choć prowadzone są także badania nad ich wykorzystaniem w medycynie, o czym będzie jeszcze mowa.

W literaturze stosuje się bardzo wiele klasyfikacji środków psychoaktywnych – właściwie w każdym podręczniku spotkać się można z innym podziałem, w zależności od przyjętego przez autora kryterium: budowy chemicznej, działania fizjologicznego czy wywoływanych efektów psychicznych. Ogólnie i skrótowo rzecz ujmując, substancje te podzielić można na trzy grupy:

- stymulanty – środki pobudzające ośrodkowy układ nerwowy: zalicza się tu np. amfetaminę, kokainę, a także kofeinę i nikotynę;
- depresanty – środki hamujące aktywność układu nerwowego: znajdujemy tu farmakologiczne środki nasenne i uspokajające, opiaty -morfinę i heroinę, a także alkohol; środki halucynogenne, zwane też – ze względu na swe właściwości „ukazywania duszy”, „rozszerzania umysłu” i powodowania głębokiego wglądu w psychikę – psychodelicznymi (nie: psychodelicznymi)⁶, albo też psychomimetycznymi, w dużych dawkach wywołując bowiem mogą efekty przypominające objawy psychoz: halucynacje, poczucie depersonalizacji, utratę kontaktu z otaczającą rzeczywistością.

Marihuana jest dość kłopotliwa do zaklasyfikowania, gdyż jej działanie na system nerwowy jest wciąż słabo poznane, budowa chemiczna aktywnego składnika – tetrahydrokannabinolu (w skrócie: THC) -zdecydowanie inna, niż pozostałych substancji psychoaktywnych, a działanie bardzo zróżnicowane, w zależności od proporcji różnych odmian THC zawartych w roślinie (gest ich kilkadziesiąt), sposobu zażywania, osobistego nastawienia użytkownika oraz otaczających go warunków zewnętrznych. Stąd wielu autorów opisuje marihuanę zupełnie oddzielnie, choć inni zaliczają ją do środków psychodelicznych, przy czym niektórzy badacze uznają ją za „mały psychedelik”, gdyż jej działanie jest słabsze i łatwiejsze do kontrolowania niż „dużych psychedelików”, takich, jak LSD, meskalina, psylocybina czy DMT.

Innej natury podziałem jest rozgraniczenie na narkotyki „miękkie” i „twarde” czy też „lekkie” i „ciężkie”. Spotykamy się z nim przede wszystkim przy okazji żywej ostatnimi czasy społecznej dyskusji na temat legalizacji narkotyków. Do narkotyków „ciężkich” zalicza się substancje silnie uzależniające (heroina, kokaina), do „lekkich” – głównie marihuanę i haszysz.⁷

Jak twierdzą zwolennicy legalizacji, ze społecznego punktu widzenia korzystnie byłoby uznać taki podział, gdyż szkodliwość, zarówno indywidualna, jak i społeczna, środków „lekkich” jest niezmiernie niska w porównaniu do „ciężkich”, czego prawodawstwo większości krajów w ogóle nie uwzględnia. Postulaty legalizacji narkotyków dotyczą przede wszystkim właśnie „miękkich” środków – dyskusje przeważnie koncentrują się na

marihuanie i haszyszu, choć radykalny postulat legalizacji wszystkich narkotyków także znajduje zwolenników.

Najpopularniejszym sposobem zażywania marihuany, a także innego przetworu konopi – haszyszu, czyli wysuszonej i sprasowanej żywicy, jest palenie w różnego rodzaju fajkach (od szklanych cygarniczek do papierosów, przez zwykłe fajki, po wyrafinowane fajki wodne lub ziemne o orientalnym rodowodzie; lub w postaci ręcznie skręcanych papierosów, tzw. jointów (w tym przypadku haszysz najczęściej miesza się z tytoniem). O wiele rzadziej spotykane jest przyjmowanie przez przewód pokarmowy – w postaci naparów, nalewek alkoholowych lub ciastek z dodatkiem marihuany albo haszyszu. Fizyczne efekty działania marihuany to przede wszystkim uczucie suchości w ustach, zaczerwienienie oczu i przyspieszone tętno. Najczęściej wymieniane efekty psychiczne to dobry nastrój, niepohamowana wesołość i euforia, uczucie spokoju, zadowolenia i optymizmu, odczucie wolniejszego upływu czasu zwiększona empatia i wgląd w siebie, rozszerzenie percepcji, silniejsza koncentracja na wybranych aspektach rzeczywistości, wzmożone odczuwanie bodźców zmysłowych – intensywniejsze widzenie barw, głębsze słyszenie muzyki, silniejsze doznania smakowe, zwiększona przyjemność płynąca z seksu. Niektórzy stan taki nazywają „fenomenologicznym” postrzeganiem rzeczywistości, widzeniem świata „na nowo” i odczuwaniem go „tu i teraz”, bez filtra tworzonego przez codzienne przyzwyczajenie (Corry, Cimboic 1985). Po spożyciu marihuany mogą także wystąpić efekty znacznie mniej przyjemne: zawroty głowy, oszołomienie, drgawki, osłabienie, zaburzenia sprawności motorycznej i koordynacji ruchów, stany lękowe, zamknięcie w sobie, niekontrolowany potok myśli, nerwowość, poczucie depersonalizacji. Takie objawy wiążą się przeważnie ze spożyciem zbyt dużej, ponadprzecietnej dawki THC, trzeba tu jednak zaznaczyć, że o skutkach działania marihuany trudno powiedzieć cokolwiek pewnego i jednoznacznego, w każdym poszczególnym przypadku zależą one bowiem od bardzo wielu czynników: ilości, jakości i składu chemicznego marihuany i haszyszu oraz proporcji różnych rodzajów zawartych w nich kannabinoli, sposobu zażywania (marihuana palona działa prawie natychmiast, a wchłaniana przez przewód pokarmowy – z pewnym opóźnieniem, ale za to dłużej); niebagatelne znaczenie mają też „set” i „setting”, czyli osobiste nastawienie i stan psychiczny osoby przyjmującej środek oraz otoczenie (towarzystwo, sytuacja) w którym się ona w danej chwili znajduje: „narkotyk sam w sobie nie jest najważniejszym czynnikiem w powstawaniu i treści doznań (...) On jedynie rozpoczyna reakcję łańcuchową psychicznych wrażeń, które zależą od cech osobowości i środowiska (...) Zazwyczaj są to doznania w skali od bardzo przyjemnych do wyjątkowo przerażających i nieprzyjemnych” (Petrovic 1988). W skrócie powiedzieć można, że marihuana potęguje już istniejący psychiczny stan jednostki i działa w charakterze „wyzwalacza” jej nastrojów i emocji, często stłumionych i nieuświadomianych.

Jeśli chodzi o wpływ długotrwałego palenia marihuany na organizm, to generalnie uznaje się ją za środek o niewielkiej szkodliwości, szczególnie w porównaniu np. z silnie uzależniającymi opłatami (morfina, heroina) czy nawet z alkoholem. Niektóre opracowania, jak np. raport amerykańskiej National Academy of Sciences z 1985 r., podają, że nie ma „żadnych dowodów na to, że marihuana powoduje trwałe szkody dla zdrowia, prowadzi do cięższych narkotyków, wpływa na strukturę mózgu lub powoduje uszkodzenia płodu” (Stafford 1983), autorzy innego studium – „Ganja in Jamaica”, opracowanego przez Center for Studies in Narcotic and Drug Abuse w 1975 r., nie wykryli „żadnych znaczących różnic klinicznych (psychiatrycznych, psychologicznych, medycznych) między palącymi a grupą kontrolną” (Stafford 1983); podobnie ocenia marihanę wiele innych raportów powstałych na zamówienia rządowe, np. raport kanadyjskiej Komisji Le Daina z 1972 r., lub brytyjski raport Wootton z roku 1968. Światowe statystyki nie notują ani jednego przypadku śmiertelnego zatrucia marihuaną – dawka śmiertelna jest ok. 40 000 razy większa od tzw. dawki efektywnej (czyli

wywołującej pożądane rezultaty) a więc w praktyce niemal niemożliwa do spożycia (Gossop 1993).

Naukowcy zgodni są co do faktu, że marihuana nie uzależnia fizycznie – jej odstawienie nie wywołuje narkotycznego głodu, może natomiast przez pewien czas powodować nerwowość, niepokój, lek lub zakłócenia snu. Można więc mówić o uzależnieniu psychicznym. Jeśli chodzi o inne efekty psychiczne długotrwałego używania marihuany, to może ono negatywnie wpływać na pamięć, a i osób o wrażliwej lub zachwianej psychice może powodować zaburzenia, np. uruchamiać ukryte psychozy endogenne. Jako efekt długotrwałego palenia często wymieniany jest tzw. syndrom amotywacyjny, czyli stan apatii, bierności, lenistwa i braku zainteresowania czymkolwiek innym poza paleniem. Tu jednak napotkać można różne opinie – wielu badaczy neguje istnienie związku palenia z poziomem motywacji (Gossop 1993).

Niektórzy autorzy, godząc się z tym, że marihuana jest środkiem stosunkowo łagodnym i mało szkodliwym pod względem psychologicznym czy fizjologicznym, twierdzą, że niesie ona niebezpieczeństwa natury społeczno – kulturowej, gdyż jest środkiem obcym naszej kulturze i nie zintegrowanym z nią: „Dla Chińczyka czy Indianina alkohol jest bardziej zgubny niż opium czy morfina, natomiast odwrotnie jest w przypadku Europejczyka czy mieszkańca Ameryki Północnej. (...) Sięganie po narkotyki nie odpowiadające duchowi cywilizacji jest bardziej niebezpieczne, gdyż nie stymuluje podstawowych cech człowieka o danej mentalności, lecz prowokuje nowe, obce.” (Petrovic 1988) – tezę tę, choć nieudokumentowaną, uznałem za warta przytoczenia, gdyż tak szeroka, niemal antropologiczna perspektywa jest dość rzadko spotykana w rozważaniach na ten temat. Innym zarzutem natury społecznej jest twierdzenie, że marihuana, choć sama nie uzależnia, jest narkotykiem inicjacyjnym, pierwszym krokiem do innych, „cięższych” środków, gdyż wrażenia dzięki niej uzyskiwane szybko przestają użytkownikowi wystarczać i poszukuje on nowych, silniejszych doznań. Jest to tzw. „teoria eskalacji” (Gossop 1993), której przeciwnicy twierdzą, że nie jest ona przekonująco udokumentowana, a ponadto zarzucają jej zwolennikom logiczny błąd w rozumowaniu: wiadomo, że większość narkomanów rzeczywiście zaczynała od „miękkich” środków, ale nie znaczy to wcale, że wszyscy użytkownicy tychże zawsze posuwają się dalej i zostają narkomanami, podobnie, jak umiarkowane picie alkoholu tylko w nielicznych przypadkach prowadzi do alkoholizmu.

Opisując działanie marihuany i skutki jej długotrwałego zażywania, starałem się korzystać z najbardziej miarodajnych i wiarygodnych źródeł, do jakich udało mi się dotrzeć, a o takie wciąż jest dosyć trudno w coraz większej ilości ukazujących się na ten temat wydawnictw. Problem wszelkiego rodzaju narkotyków wzbudza wiele emocji, a wydawnictwa na ten temat można, oczywiście nieco przejawiając, podzielić na takie, w których narkotyki są traktowane jak całe zło tego świata (duża część antynarkotycznych materiałów propagandowych, niektóre poradniki dla rodziców) oraz takie, według których narkotyki stanowią panaceum na całe zło (tu przodują czasopisma undergroundowe oraz niektóre pozycje literatury psychodelicznej). Każda ze stron podaje informacje, jakie są dla niej wygodne, częstokroć nie odwołując się przy tym do żadnych źródeł. Wciąż trudno o pozycje względnie zrównoważone i przynajmniej w minimalnym stopniu obiektywne, a przede wszystkim rzetelne i wiarygodne, choć trzeba przyznać, że w ostatnich latach sytuacja na naszym rynku wydawniczym poprawiła się. W takich warunkach najlepiej będzie, jeśli każdy sam wyrobi sobie opinię na ten temat, porównując możliwie jak najwięcej polsko- i obcojęzycznych źródeł (patrz: wykaz cytowanej literatury). Skoro jednak mówimy o negatywnych skutkach palenia marihuany, to warto dodać słów kilka o jej pozytywnym oddziaływaniu. Pomijając korzyści, o których mówią jej „rekreacyjni” użytkownicy, oraz szerokie zastosowanie w XIX-wiecznej medycynie, trzeba tu wspomnieć o prowadzonych współcześnie badaniach, z których wynika, że marihuana może być bardzo pomocna w leczeniu astmy i niektórych chorób oczu, łagodzić skurcze

mięśni w stwardnieniu rozsianym, zwalczając nudności, będące skutkiem chemioterapii u pacjentów chorych na raka i AIDS oraz działać antydepresyjnie, co wspomaga leczenie (Corry, Cimbolic 1985; Robson 1997). Obecnie zastosowanie marihuany w medycynie znajduje się – pomijając jednostkowe przypadki – na etapie badań naukowych oraz postulatów i nacisków wywieranych przez środowiska lekarskie na władze. Póki co, marihuana pozostaje w naszym kręgu kulturowym nielegalna, choć posiadanie niewielkich jej ilości „na własny użytek” jest tolerowane (co nie znaczy, że legalne) w coraz większej liczbie państw. Przyjrzyjmy się zatem, jak sytuacja ta prezentowała się w Stanach Zjednoczonych lat 50-tych, a jak wygląda we współczesnej Polsce.

2. PRAWNE I SPOŁECZNE UWARUNKOWANIA UŻYWANIA MARIHUANY W USA LAT PIĘĆDZIESIĄTYCH

Do USA, a ściślej: do południowych stanów, marihuana jako używka dotarła pod koniec XIX wieku wraz z meksykańskimi imigrantami, którzy przybywali na Południe w poszukiwaniu pracy. O wiele szerzej konopie były wówczas znane jako lek na cały szereg schorzeń, od zapalenia oskrzeli przez reumatyzm po histerię i melancholie. Tak samo było zresztą z opium czy kokainą, szeroko stosowanymi jako medykamenty.

Sytuacja ta zaczęła się zmieniać wraz z powstaniem tzw. „progressive movement” – ruchu odbudowy moralnej amerykańskiego społeczeństwa. Najbardziej spektakularnym efektem jego działania było wprowadzenie w 1919 r. 18-tej poprawki do konstytucji – całkowitej prohibicji alkoholu. Był to wyraz przekonania, że w poważnych kwestiach społecznych nie może być mowy o umiarkowaniu, gdyż tej skali narodowe problemy wymagają stosowania radykalnych rozwiązań. Takie przekonanie legło także u podstaw regulacji prawnych dotyczących narkotyków, choć w centrum uwagi znajdowały się wówczas opium i kokaina, co związane było częściowo z ksenofobicznym nastawieniem do mniejszości narodowych (opium jako używka było typowe dla Chińczyków, kokaina – dla Murzynów). W latach 20-tych i 30-tych zakazano niemedycznego stosowania kokainy, opium, morfiny i heroiny, a w większości stanów – także marihuany.

W roku 1933 zakończyła się prohibicja alkoholu. Poniosła całkowitą klęskę: produkcja i handel alkoholem zeszedł do podziemia, przez co urosła w siłę mafia, co było chyba najbardziej widocznym skutkiem prohibicji w USA. W związku z utrudnionym dostępem do alkoholu wzrosła popularność marihuany, która dotarła do innych stanów USA, wciąż jednak pozostając używką mniejszości latynoskiej i murzyńskiej. Cieszyła się także popularnością w środowiskach muzyków jazzowych.

Przełomowym momentem był rok 1930, kiedy w miejsce Biura ds. Prohibicji powołano Federalne Biuro ds. Narkotyków, którego szefem został Harry J. Anslinger. Rozpoczęła się „era Anslingera” – okres intensywnej kampanii antymarihuanowej. Dla Harry’ego Anslingera walka z marihuaną stanowiła jego idee fixe – uruchomiona została ogólnokrajowa akcja propagandowa, ostrzegająca przed marihuaną: „Uwaga! Młodzi i starzy! Papierosa z marihuaną możecie dostać od przyjaźnie nastawionego obcego. Zawiera on zabójczy narkotyk `marihuanę`, w którym kryje się morderstwo! obłąd! śmierć! Uwaga! Handlarze marihuana są przebiegli! Mogą włożyć ten narkotyk do herbaty, koktajlu lub do papierosa” (Corry, Cimbolic 1985); „Zarówno długotrwałe używanie dużych dawek przez nałogowców, jak i pojedyncza dawka zażyta przez nowicjusza mogą powodować maniackalne czyny przestępcze. Co więcej, nawet małe ilości mogą zniszczyć siłę woli oraz zdolność do kontroli myśli i działania, uwalniając wszelkie złe skłonności” (Stafford 1983) – alarmowały rządowe plakaty. Sensacyjny ton wypowiedzi Anslingera podchwyciła prasa, namiętnie relacjonując historie o przestępstwach popełnionych rzekomo pod wpływem marihuany: „Cała rodzina została zamordowana przez młodego narkomana na Florydzie. Policjanci zastali go miotającego się w ludzkiej rzeźni. Zabił siekierą swego ojca, matkę, dwóch braci i siostrę. Wyglądał jak w obłądnie. (...) Policjanci znali go jako normalnego, raczej spokojnego młodego człowieka; teraz był

w godnym pożałowania szaleństwie. Znaleźli powód. Chłopak powiedział, że był w nałogu palenia czegoś, co jego młodzi przyjaciele nazywali „muggles” – jest to dziecięca nazwa marihuany” – pisały amerykańskie gazety (Becker 1963).

W 1937 roku uchwalono Marihuana Tax Act – ustawę, mocą której marihuana została zdelegalizowana na szczeblu federalnym, a jej używanie lub rozprowadzanie groziło surowymi karami: 5-10 lat więzienia za pierwsze przestępstwo, 10 – 40 lat za drugie. W 1941 r. konopie zostały wykreślone także z amerykańskiej farmakopei. Mając po swojej stronie prawo, Anslinger skierował swą uwagę na użytkowników zakazanego środka, przede wszystkim na kręgi muzyków jazzowych, rozpoczynając kampanię przeciwko nim. Nieprzejednane stanowisko w kwestii narkotyków zachował aż do końca urzędowania na swym stanowisku (po 1960 r. kontynuował działalność na forum ONZ), ignorując wyniki przedstawianych mu opracowań naukowych, np. raportu Komisji La Guardia z 1944 r., który na podstawie szczegółowych badań przeprowadzonych wśród palaczy w Nowym Jorku stwierdzał, że nie ma przekonujących dowodów na fizyczną, psychiczną ani społeczną (agresja, przestępczość) szkodliwość marihuany (Robson 1997). W międzyczasie, w 1951 i 1956 r., Kongres USA uchwalił kolejne, najostrzejsze w historii Stanów Zjednoczonych prawa dotyczące narkotyków. Choć powodem był wzrost popularności heroiny, to prawa te dotyczyły wszystkich narkotyków, a więc także marihuany (Hamowy 1990).

Gwałtowny wzrost popularności marihuany także wśród białej młodzieży, pojawienie się na masową skalę LSD i innych psychedelików oraz pierwsze ruchy społeczne na rzecz legalizacji narkotyków to kwestia dopiero lat 60-tych – ruchu hippisowskiego i psychodelicznej rewolucji „dzieci – kwiatów”. Ten okres nas już jednak nie interesuje – celem naszym było bowiem rozeznanie sytuacji, jaka panowała w czasie badań Howarda Beckera.

Jak się przekonaliśmy, marihuana była wówczas środkiem używanym niemal wyłącznie wśród czarnej i latynoskiej mniejszości oraz w kręgach muzyków jazzowych, a społeczne przekonania na jej temat zostały ukształtowane przez oszczerczą, zafalszowaną kampanię propagandową, odwołującą się do strachu i ksenofobii. Ukształtował się wówczas amerykański „mit ćpuna” – użytkownika marihuany jako człowieka agresywnego i niebezpiecznego, nieobliczalnego w swych skłonnościach i zachowaniach.

Nic dziwnego, że w takiej sytuacji zdobywanie marihuany wiązało się z dużymi trudnościami i wymagało posiadania odpowiednich „dojść”, a jej użytkownicy zamykali się w subkulturowych gettach – jeśli zaś funkcjonowali w „normalnym” środowisku, to zmuszeni byli trzymać swój zwyczaj w ścisłej tajemnicy.

3. SYTUACJA PRAWNA I UWARUNKOWANIA SPOŁECZNE W POLSCE W LATACH DZIEWIĘDZIESIĄTYCH – TŁO BADAŃ

Jeśli nie liczyć narkotycznych eksperymentów bohemy artystycznej okresu międzywojennego, a także charakterystycznych dla tamtego okresu zjawisk: uzależnienia od morfiny, częstokroć wynikłego ze stosowania jej w terapii medycznej, oraz rozpowszechnionego wśród uczniów i studentów wdychania eteru (Bielewicz 1988), to z początkami zażywania narkotyków jako zjawiska społecznego o kształcie przypominającym dzisiejszy mamy do czynienia pod koniec lat 60-tych. Wówczas ograniczone było ono jednak do środowisk o charakterze subkulturowym, głównie hippisów. Narkomania jako zjawisko masowe zaistniała pod koniec lat 70-tych – przełomowe znaczenie miało tu opracowanie krajowych, domowych metod przetwarzania maku i produkcji „polskiej heroiny” (Staszewski, Borucka 1990), a największe jej nasilenie wystąpiło wraz z nastaniem kolejnej dekady. Polska narkomania była zjawiskiem bardzo specyficznym: ponad 90% osób uzależnionych stanowili użytkownicy opiatów rodzimej produkcji, wytwarzanych domowymi sposobami ze słomy makowej (Chruściel, Korozs 1988). Poza tym używano głównie farmaceutycznych środków odurzających i

psychotropowych, nierzadko pochodzących z włamań do aptek, oraz środków wziewnych (kleje, rozpuszczalniki).

W latach 80-tych zjawisko narkomanii znalazło szeroki oddźwięk w mass-mediach oraz w społeczeństwie – powstały organizacje, mające za cel przeciwdziałanie i zwalczanie narkomanii: „Monar”, Towarzystwo Zapobiegania Narkomanii, Towarzystwo Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych „Powrót z U”, Katolicki Ruch Antynarkotykowy „Karan”. Jednak aż do połowy lat 80-tych brak było w zasadzie regulacji prawnych, dotyczących narkotyków, nie licząc kilku paragrafów ustawy o środkach narkotycznych i odurzających z roku 1951, cenzury nałożonej w 1981 r. na publikacje propagujące narkotyki lub mogące służyć jako instruktaż do ich używania, i wydanego w 1983 r. rozporządzenia Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Wodnej, dotyczącego rejestracji upraw maku i wykupu słomy makowej (Chruściel, Korozs 1988). Ponieważ nieprzystające do wymogów sytuacji prawo sprzyjało rozwojowi narkomanii, konieczne stało się pilne uregulowanie tej kwestii.

W dniu 31. I 1985 r. Sejm uchwalił Ustawę o Zapobieganiu Narkomanii (Dz. U. z dn. 12. II 1985, Nr 4, poz. 15; pełny tekst ustawy wraz z komentarzem i objaśnieniami: Chruściel, Korozs 1988). Ustawa ta została skonstruowana w oparciu o koncepcje profilaktyczno – leczniczą zapobiegania narkomanii: nie karała posiadania, używania ani zakupu narkotyków, natomiast nakładała dosyć surowe sankcje za ich wytwarzanie, sprzedaż oraz przywóz z zagranicy, szczególnie jeśli w grę wchodziły duże ilości środków oraz materialna korzyść osoby popełniającej przestępstwo. Ścisłej rejestracji i kontroli została poddana uprawa maku i konopi dla celów przemysłowych, aby uniemożliwić wykorzystanie ich jako surowców do produkcji narkotyków.

Ostrze ustawy było więc wymierzone przede wszystkim w producentów i handlarzy, jeśli zaś chodzi o osoby uzależnione, to nacisk położono na ich leczenie i rehabilitację, a nie karanie, jak również na działania profilaktyczne i wychowawcze, zapobiegające rozwojowi narkomanii.

Na wady tej ustawy skarżyła się przede wszystkim policja – aby udowodnić handel lub produkcję narkotyków, trzeba było bowiem złapać przestępcę na gorącym uczynku, co jest niezwykle trudne. Posiadanie nawet dużych ilości nielegalnych środków nie niosło ze sobą żadnych konsekwencji poza ich konfiskatą.

W okresie obowiązywania tej ustawy całkowicie zmieniła się struktura spożycia narkotyków: o ile w latach 80-tych dominowały rodzimej produkcji przetwory maku, to wraz z nadejściem lat 90-tych gwałtownie wzrosła popularność innych środków, przede wszystkim amfetaminy oraz marihuany, choć także środków psychodelicznych, jak LSD czy ecstasy. Było to związ, me przede wszystkim z otwarciem granic oraz relatywnym spadkiem cen sprowadzanych z zachodu towarów. O ile dawniej wytwarzany z maku „kompot” można było kupić na tzw. „bajzlach” – zwyczajowo określonych miejscach w wielkich miastach, tak obecnie dealerzy sprowadzanych z zachodu produktów wkroczyli ze swą oferta do klubów, pubów i szkół. Zjawisko zażywania środków psychoaktywnych nabrało znacznie bardziej masowego charakteru – w badaniach prowadzonych w 1991 r. w warszawskich szkołach ponadpodstawowych, 9% uczniów przyznało się do kontaktu z marihuaną lub haszyszem (przy czym wśród uczniów liceów ogólnokształcących – aż 13%), 4,5% – z amfetaminą, 1,5 % – ze środkami halucynogennymi (psychodelicznymi) (Zieliński 1992). Tendencja jest wzrastająca: w badaniach z 1995 r. marihuany próbowało już 21% uczniów klas pierwszych i 33% uczniów klas trzecich warszawskich szkół ponadpodstawowych, amfetaminy odpowiednio: 8,5 i 13%, LSD – 7 i 9% (Sierosławski 1996). Jeszcze wyższe jest spożycie wśród studentów: w 1994 r. do próbowania marihuany przyznała się ponad połowa badanych studentów wydziałów humanistycznych Warszawy, przy czym ok. 1/3 paliła ją okazjonalnie lub regularnie. Co dziesiąty student okazjonalnie lub regularnie używał halucynogenów, a co dwudziesty – „speedów” (głównie amfetaminy) (Zieliński 1996).

Choć w Warszawie wskaźniki te są 2 – 4 razy wyższe niż w reszcie kraju, to tu i tam wyraźna jest ogólna tendencja: wzrost zainteresowania środkami psychoaktywnymi, szczególnie marihuana, amfetaminą i halucynogenami, a także coraz powszechniejsza akceptacja używania ich jako wzoru kulturowego (Sierosławski 1996). Szczególnie dotyczy to marihuany, której używanie 1994 r. potępiła tylko 1/3 warszawskich studentów (Zieliński 1996). Jeżeli zaś chodzi o „starą”, „makową” narkomanię, to liczba uzależnionych od opiatów ustabilizowała się: od kilku lat jest względnie stała i wynosi 30 – 40 tyś. osób w skali kraju.

Zjawiska wzrostu popularności środków psychoaktywnych nie można rozpatrywać w oderwaniu od zmiany struktury ich spożycia – ma ona zasadnicze znaczenie, gdyż w przeciwieństwie do przetworów maku, które szybko uzależniają fizycznie i w krótkim czasie mogą doprowadzić do fizycznej i społecznej degeneracji jednostki, marihuana i psychedeliki nie mają tak silnego potencjału uzależniającego i nie prowadzą (a jeśli już, to o wiele rzadziej i nie w takim tempie) do wypadania użytkownika z dotychczasowych ról społecznych, z kolei amfetamina, jako środek stymulujący, może wręcz korzystnie wpłynąć na efektywne funkcjonowanie użytkownika, ułatwiając uczenie się, nocną pracę czy intensywny wysiłek intelektualny.

Zażywanie narkotyków w latach 90-tych to już całkiem inne zjawisko, niż „ćpanie”, jakie dominowało w poprzedniej dekadzie. Jego charakter, masowość oraz bezradność organów ścigania (a także, w dużej mierze, całego społeczeństwa), spowodowały konieczność zmiany obowiązujących przepisów. Przez kilka lat toczyła się na ten temat społeczna debata z udziałem polityków, naukowców różnych specjalności, policjantów, specjalistów zajmujących się leczeniem osób uzależnionych, organizacji społecznych, muzyków rockowych, szeroko relacjonowana w mediach. Pojawiały się zarówno propozycje zaostrzenia represji aż do karania za samo posiadanie nawet małych ilości narkotyków, z drugiej strony – postulowano legalizację „miękkich” środków. Dyskusja ta miała podobny charakter, jak w innych krajach: zwolennicy legalizacji powoływali się przede wszystkim na nieskuteczność represyjnych przepisów i ślepą uliczkę, w jakiej znalazło się dotychczasowe prawodawstwo, na stosunkową nieszkodliwość „miękkich” narkotyków oraz na niekonsekwencję prawa, skoro bowiem legalna jest sprzedaż alkoholu, to dlaczego zakazywać sprzedaży haszyszu czy marihuany? Zwolennicy zaostrzenia przepisów twierdzą z kolei, że nawet, jeśli sama marihuana jest środkiem rzeczywiście dość mało szkodliwym, to często prowadzi do używania „twardych” narkotyków (wspomniana już „teoria eskalacji”), jest środkiem kulturowo nam obcym, a więc niebezpiecznym, a legalizacja spowodowałaby wydatny wzrost jej spożycia, a w ślad za nią – także innych specyfików, szczególnie przez młodzież ⁸.

W 1994 r. do Sejmu wpłynęły trzy niezależne projekty nowej ustawy: Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz projekt poselski („społeczny”). Dopiero jednak 24. IV 1997 r. Sejm uchwalił nową Ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii, która weszła w życie 15. X 1997 r. (Dz. U. z dn. 14. VII 1997, Nr 75, póź. 468). Od dotychczas obowiązującej różni się ona głównie tym, że w jej świetle karalne jest również posiadanie narkotyków, choć odstępuje się od karania za posiadanie nieznacznych ilości na własny użytek, przy czym ilości tych nie precyzuje się, pozostawiając to kompetencji sadu i jego decyzji w każdym indywidualnym przypadku. Wydaje się, że na ocenę tej ustawy z punktu widzenia jej skuteczności i wpływu na środowiska użytkowników środków psychoaktywnych jest jeszcze za wcześnie; nie jest to poza tym przedmiotem naszych rozważań, tym bardziej, że wywiady wykorzystane w niniejszej pracy prowadzone były jeszcze przed jej uchwaleniem, w okresie obowiązywania przepisów z 1985 r.

Podsumujmy więc: najważniejsze, związane z używaniem marihuany, społeczne uwarunkowania, w jakich prowadzone były analizowane w niniejszej pracy badania, to wyraźny na przestrzeni kilku lat wzrost zainteresowania środkami mało wcześniej

popularnymi, szczególnie marihuaną i haszyszem oraz amfetaminą i psychodelikami przy stabilizacji „starej” narkomanii opiatowej, zwiększenie dostępności wszelkich środków dla przeciętnego ucznia czy studenta, dosyć liberalne prawo oraz atmosfera społecznej dyskusji wokół nowej ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii.

Na ile odmienne uwarunkowania prawne i społeczne wpływają na zachowania i przekonania użytkowników marihuany i jak różnicują się one w różnych środowiskach – o tym przekonamy się w empirycznej części opracowania.

ROZDZIAŁ IV

METODOLOGIA BADANIA

Po omówieniu teoretycznego dorobku socjologii w dziedzinie dewiacji społecznej, ze szczególnym uwzględnieniem prac Howarda S. Beckera, oraz dokonaniu charakterystyki szeroko rozumianych uwarunkowań społecznych, w jakich prowadzone były badania, przejdźmy wreszcie do prezentacji ich celów, założeń oraz podstaw metodologicznych. Ponieważ studium Howarda S. Beckera służyć nam tu będzie za punkt odniesienia, powróćmy doń raz jeszcze – jest to wskazane, gdyż przeprowadzając prezentowane tu badania zastosowałem podobną metodę i technikę, a w empirycznej części pracy wyniki analizy będą często porównywane do ustaleń Beckera.

1. STUDIUM HOWARDA S. BECKERA JAKO PUNKT ODNIESIENIA

Jak pamiętamy, studium Beckera na temat palaczy marihuany składało się z dwóch części. Część pierwsza dotyczyła procesu wyrabiania motywacji dewiacyjnych, który, zdaniem autora, przebiega trójstopniowo -wyróżnione przez niego etapy, to: nauka techniki palenia, nauka odczuwania efektów, a wreszcie nauka definiowania ich jako przyjemnych, czyli czerpania przyjemności z palenia. Część druga studium dotyczyła tego, jak palacze marihuany radzą sobie ze środkami kontroli społecznej, by móc regularnie używać marihuanę, ale uniknąć dewiacyjnego naznaczenia. Jak twierdzi Becker, zarówno wyrabianie motywacji dewiacyjnych, jak i nauka technik unikania kontroli społecznej, przebiega w procesie interakcji z innymi, zazwyczaj starszymi stażem palaczami.

Badanie to miało potwierdzać tezę Beckera, że nie można wyjaśniać dewiacji działaniem jednej tylko przyczyny, gdyż na każdym szczeblu kariery dewiacyjnej działają odmienne czynniki. I tak, okazało się, że podczas wyrabiania motywu dewiacyjnego mamy do czynienia z czynnikami natury biologiczno-psychicznej, chodzi bowiem o to, by odczuć wpływ wchłanianej substancji na swój organizm, a następnie uznać zauważone efekty za przyjemne. Na kolejnym etapie kariery – przy przechodzeniu od palenia okazjonalnego do regularnego – dominuje z kolei wpływ czynników natury społecznej, w postaci rozmaitych środków kontroli. O ile bowiem na pierwszym etapie palacz musi pokonać opór swojego ciała i psychiki, to później ma do czynienia z przeszkodami zewnętrznymi – presją społeczną.

Wnioski swoje Becker wysnuł na podstawie 50 wywiadów, które przeprowadził z palaczami marihuany. Połowa z jego badanych to muzycy rozrywkowi – do nich było mu najłatwiej dotrzeć, ponieważ sam przez pewien czas pracował jako muzyk. Drugą połowę stanowili reprezentanci szerokiego wachlarza innych profesji i środowisk. Jak zaznacza Becker, taka próba nie może oczywiście być traktowana jako losowa – dobór takiej jest tu niemożliwy z tej przyczyny, że nie ma żadnych danych na temat ogółu populacji palaczy marihuany, z której taką próbę należałoby dobrać. Analizując wywiady, Becker

zastosował metodę indukcji analitycznej, która wymaga, by „każdy zbadany przypadek potwierdzał hipotezę. Jeśli napotka się choćby jeden przypadek, który jej nie potwierdza, to badacz powinien zmienić hipotezę, tak, by pasowała również do przypadku, który dowiódł, że pierwotna idea była błędna” (Becker 1963).

Było to więc badanie o charakterze jakościowym. Jest to zresztą typowe dla kierunku reakcji społecznej. Perspektywa ta, oprócz tego, że była przełomowa pod względem teoretycznym, miała także duże znaczenie dla metodologii badań nad dewiacją, odkrywając na nowo i przywracając do łask jakościowe metody i techniki badawcze, dość mocno wtedy zapomniane: obserwację uczestniczącą, studium przypadku czy właśnie pogłębiony, swobodny wywiad (Siemaszko 1993). Miało to związek z szerszym zjawiskiem renesansu symbolicznego interakcjonizmu, jaki nastąpił na przełomie lat 50-tych i 60-tych. Symboliczny interakcjonizm, z którego w dużej mierze wywodzi się teoria naznaczania, jest orientacją zaliczającą się do socjologii humanistycznej, preferuje więc jakościowe, „rozumiejące” badanie rzeczywistości społecznej. O ile do tej pory symboliczny interakcjonizm pozostawał w cieniu pozytywistycznie nastawionego funkcjonalizmu, to w latach 60-tych – czyli wraz z powstaniem teorii naznaczania – zdecydowanie zatriumfował, do dziś zajmując poczesne miejsce wśród głównych nurtów światowej socjologii (Ziółkowski 1981).

Warto tu zaznaczyć, że pierwsze wydanie „Outsiders” Beckera ukazało się w roku 1963, ale interesujące nas rozdziały na temat palaczy marihuany zostały opublikowane już dziesięć lat wcześniej na łamach amerykańskich czasopism socjologicznych. Becker prowadził więc swoje badania w czasach, gdy symboliczny interakcjonizm był zepchnięty do defensywy przez funkcjonalizm i dopiero przygotowywał się do kontrataku. Becker szedł więc pod prąd panującym wówczas tendencjom, choć w Chicago, gdzie pracował, symboliczny interakcjonizm zawsze trzymał się dość mocno.

2. ZAŁOŻENIA I CEL BADAŃ

Opisywane tu moje badanie także podzieliłem na dwie części. W pierwszej starałem się zweryfikować wnioski Beckera dotyczące wyrabiania motywacji dewiacyjnych – wzbudziły one moją ciekawość, ale też pewne podejrzenia, gdyż moje własne obserwacje (choć, przyznam, pobieżne) zdają się czasem przeczyć jego ustaleniom o konieczności stopniowej nauki czerpania przyjemności z palenia marihuany. Postanowiłem potraktować moje badanie jako kontynuację indukcji analitycznej, jaką prowadził Becker – mam bowiem wrażenie, że bardziej zależało mu tutaj na zgrabnym zilustrowaniu swej teorii, niż na tym, by jej twierdzenia rzeczywiście odzwierciedlały fakty.

Jeśli chodzi o drugą, część badań, to studium Beckera posłużyło mi już tylko jako inspiracja i punkt wyjścia. O ile bowiem na etapie wyrabiania motywacji dewiacyjnych w przypadku palenia marihuany uwarunkowania zewnętrzne, makrospołeczne, zdają się nie grać istotnej roli, to na kolejnym etapie kariery palacza mają znaczenie podstawowe. Inne były środki kontroli społecznej – choćby prawne – z jakimi musieli się borykać użytkownicy marihuany w USA na początku lat 50-tych, z innymi mają do czynienia polscy palacze w latach 90-tych. Weryfikacja wniosków Beckera nie miałyby więc żadnego sensu – można jedynie potraktować jego badania jako punkt odniesienia, by zbadać różnice w sposobach unikania kontroli społecznej przez użytkowników marihuany w dwóch różnych miejscach i momentach historycznych. Postanowiłem dokonać tu próby opisu normy społecznej na podstawie reakcji na jej łamanie. Jak pamiętamy, pierwszy rodzaj kontroli społecznej, w obliczu której stoi palacz marihuany, dotyczył ograniczeń w dostępności do tego środka, związanych z prawnym zakazem jego sprzedaży, i – co za tym idzie – z koniecznością posiadania odpowiednich kontaktów oraz podejmowania pewnych środków ostrożności przy jej kupowaniu, gdyż było to ryzykowne. Drugi rodzaj kontroli dotyczył konieczności zachowania tajemnicy przed niepalącymi – porażka groziła tu nieformalnymi sankcjami ze strony niepalącego otoczenia, czego użytkownicy marihuany starają się uniknąć, szczególnie kiedy pełnią

„normalne” (nie dewiacyjne) role społeczne, np. zawodowe. Z tego, jak wyglądają realne możliwości zaopatrzenia się w marihuanę mimo jej formalnej nielegalności, jakie jest ryzyko związane z jej kupowaniem, uprawą, posiadaniem i paleniem, jakie środki ostrożności podejmują palacze, czy z paleniem kryją się przed niepalącymi, a jeśli tak, to przed kim i w jaki sposób – można będzie, jak sadzę, wyciągnąć pewne wnioski na temat usytuowania normy dotyczącej palenia marihuany w naszym społeczeństwie.

Wnioskowanie o istnieniu, usytuowaniu i sile normy na podstawie reakcji, jaką wywołuje jej naruszenie, jest z punktu widzenia teorii reakcji społecznej, w obrębie której cały czas się poruszamy, zabiegiem całkowicie uprawnionym. „Można bowiem przyjąć (słuszność takiego założenia została dostatecznie potwierdzona na gruncie zrealizowanych badań socjologiczno prawnych), że istnieje ścisła zależność między stopniem potępienia danego zachowania a stopniem ważności określonej normy czy wartości, która to zachowanie reguluje” – piszą polscy teoretycy reakcji społecznej, Jerzy Kwaśniewski i Andrzej Kojder (1974). W dalszej części cytowanego tu artykułu przedstawiają nawet konkretną strategię badawczą do wnioskowania o normie na podstawie reakcji społecznej – niestety, jest ona dla nas mało użyteczna, ponieważ zakłada badanie normy społecznej poprzez reakcję deklarowaną przez społeczną widownię, podczas, gdy my będziemy się tu zajmować reakcją (lub jej groźbą) odczuwaną przez naznaczonych (lub przez „kandydatów do naznaczenia”).

Napisałem powyżej, że chcę tu wyciągnąć wnioski na temat funkcjonowania normy, dotyczącej palenia marihuany, w naszym społeczeństwie. Ścisłej rzecz biorąc, chodzić będzie o usytuowanie tej normy w konkretnych grupach społecznych i środowiskach, w których obracają się badani. Z tej samej przyczyny, co próba Beckera, także i moja nie jest reprezentatywna, nie ma więc podstaw do uogólniania wyników badań – co najwyżej można będzie wysnuć ostrożne wnioski na temat zróżnicowania aksjonormatywnego naszego społeczeństwa pod tym względem. Zresztą już teraz można wyrazić przypuszczenie, że nasze społeczeństwo nie jest tu jednomyślne – świadczyć o tym może choćby zreferowana w poprzednim rozdziale społeczna dyskusja na temat nowych prawnych regulacji problemu narkotyków.

Trzeci rodzaj kontroli społecznej – kontrola poprzez społeczne określenie zażywania narkotyków jako czynności złej i niemoralnej – ma zupełnie inny charakter niż bariery techniczno – prawne czy groźba nieformalnych sankcji ze strony niepalących. O ile w wyżej omówionych przypadkach mamy do czynienia z uwarunkowaniami zewnętrznymi, z którymi palacz musi borykać się za pomocą konkretnych działań, to tutaj użytkownik marihuany staje w obliczu pewnych, dotyczących go, społecznych przekonań, które musi zneutralizować.

Powstaje tu pytanie: skąd wiadomo, że palacz marihuany w ogóle narusza jakąkolwiek normę? – czyli: na jakiej podstawie zdecydowałem się przyjąć, że mamy do czynienia z dewiacją?

Becker zakłada tu, że użytkownik narkotyków narusza – w odczuciu społecznym – trzy podstawowe amerykańskie wartości: etykę protestancką, nakazującą jednostce pełną odpowiedzialność za własne czyny i los (gdyż pod wpływem narkotyku jednostka traci przecież nad sobą kontrolę), pragmatyzm i utilitaryzm (gdyż zażywanie narkotyków to działanie o charakterze czysto hedonistycznym), oraz humanitaryzm (ponieważ jednostka staje się niewolnikiem narkotyku). Wartości te legły, zdaniem Beckera, u podstaw prohibicji alkoholowej w USA, oraz późniejszej delegalizacji marihuany. Na podstawie takich właśnie założeń Becker sformułował „zarzuty” czy też „oskarżenia”, z którymi konfrontował badanych.

Z oczywistych względów – odmiennej tradycji, religii i kultury – nie mogłem podobnych założeń przyjąć w niniejszych badaniach. Postanowiłem więc nie sięgać tak głęboko i odwołać się po prostu do normy prawnej, która zakazuje uprawy i handlu konopią; nie zakazuje co prawda jej posiadania i palenia, lecz – jak pamiętamy z rozdziału III – wynika

to z profilaktycznej -lecniczej koncepcji ustawy, a nie z akceptacji tych zachowań przez prawodawcę). Wybór taki jest oczywiście dosyć arbitralny i budzić może wątpliwości – szczególnie w ramach perspektywy naznaczania, która przecież podważa normę prawną jako podstawę socjologicznej analizy dewiacji. Jednakże badając dewiację z perspektywy reakcji społecznej, za każdym razem mamy do czynienia z tego rodzaju „błędnym kołem”: nie możemy określić danego zachowania jako dewiacyjnego, zanim nie stwierdzimy występowania negatywnej reakcji społecznej; z kolei, aby zbadać ową reakcję, musimy a priori założyć, że zachowanie to jest dewiacyjne, posiłkując się potocznym doświadczeniem i tzw. zdrowym rozsądkiem, a w najlepszym razie definicją prawną – co właśnie zdecydowałem się tu uczynić. Wybór ten uzasadnić można dodatkowo faktem, że polskie społeczeństwo w zdecydowanej większości potępia narkomanię oraz uznaje ją za jedno z najbardziej szkodliwych i groźnych zjawisk społecznych (CBOS 1973, 1983, cyt. za: „Brać albo być” 1985). Według najnowszych badań (Zieliński 1996), nawet w środowiskach studenckich, gdzie marihuana cieszy się sporą popularnością, jej palenie jest nadal często potępiane przez niepalących. Wciąż jednak nie wiadomo, jakie przekonania miałiby neutralizować badani przez mnie palacze marihuany. W przeciwieństwie do Beckera, który odwołał się do historii i tradycji, postanowiłem rozwiązać ten problem bardziej praktycznie. Dokonawszy przeglądu dzienników, czasopism oraz literatury naukowej i popularnej, wybrałem następujące twierdzenia, z którymi pragnę skonfrontować badanych:

1. palacz marihuany to osoba uzależniona;
2. marihuana jest pierwszym krokiem do „twardych” narkotyków;
3. przyczyną palenia marihuany jest chęć ucieczki od rzeczywistości;

Nie będziemy w tym miejscu roztrząsać, na ile powyższe sądy są prawdziwe, a na ile są tylko stereotypowymi, obiegowymi poglądami lub propagandowymi mitami – dość, że często można je napotkać szczególnie w wydawnictwach popularnych i czy popularnonaukowych, propagandowych oraz w prasie, skąd przenikają do myślenia potocznego.

Jeżeli chodzi o uzależnienie od marihuany, to kwestia ta jest dosyć jasna: choć wśród piszących na ten temat autorów panuje względna zgoda co do tego, że marihuana nie uzależnia fizycznie, to często pisze się o wywoływanym przez nią uzależnieniu psychicznym. Kolejny problem -marihuana jako „narkotyk inicjacyjny”, pierwszy krok do twardych narkotyków – został już poruszony, gdy w rozdziale III omawiana była „teoria eskalacji”. „Według Jagody Władoń, pełnomocnika Monaru ds. profilaktyki i rehabilitacji (...), przejście od narkotyków miękkich do twardych to naturalna kolej rzeczy. Uzależnienie jest ciągłą podróżą w poszukiwaniu lepszych wrażeń, nowych emocji” (Brzuszkiewicz 1995) – to dość typowy przykład tego poglądu, który pojawia się niemal za każdym razem, gdy mowa jest o marihuanie, a ostatnio – szczególnie często w kontekście dyskusji o legalizacji narkotyków „miękkich”.

Kwestia narkotyków jako ucieczki od rzeczywistości zasługuje na nieco szersze omówienie, gdyż sama w sobie stanowi ciekawe zagadnienie. „Ucieczka”, a szczególnie „ucieczka od rzeczywistości”, to najczęstszy chyba motyw lub przyczyna zażywania narkotyków, jaką podaje literatura – i to zarówno popularna jak i naukowa. Sformułowanie to niczym refren pojawia się, gdy tylko mowa jest o narkotykach: „(...)tą drogą na pewno nie można uciec od rzeczywistości, która istnieje”, „Najsłabsze [jednostki] szukają ucieczki w niebyt”, „Jest w tym straszna destrukcja i ucieczka – od świata, od rzeczywistości, od własnej świadomości”, „Narkoman nazywany jest czasem podwójnym uciekinierem”, „Czy nie powinno bić się na alarm, że wśród tych mizernych możliwości (...) nie ma ani jednej propozycji, która stwarzałaby młodym ludziom szansę wyjścia z tego osaczenia zamiast ucieczki donikąd?”, „Uciec. Uciec od tego wszystkiego. Jak? W bezwład. W zatracenie. W Pasaż Śródmiejski. W prochy. W alkohol. W ćpanie.” – to kilka cytatów z Magazynu Monar '85 „Brać albo być” (1985). „Ucieczka od problemów

zewnątrznych” i „ucieczka od problemów wewnętrznych” to dwie z sześciu przyczyn sięgania po narkotyki, jakie wymieniają autorzy poradnika dla rodziców (Dimoff, Carper 1993). Z kolei w anarchistycznej ulotce „Ulica” czytamy: „Mogłoby się bowiem okazać, że ktoś sięga po narkotyki by uciec od rzeczywistości walki o kasę i nadmiaru ingerencji rządu w nasze życie”. Podobne sformułowania spotkać można w literaturze naukowej: „Jeśli przyjmiemy, że wspólnym mianownikiem- [różnych rodzajów narkomanii] jest szukanie ucieczki poprzez narkotyzowanie się...” – piszą Maria Latoszek, Piotr Ochman i Iwona Koziół – Bielska (1981) w artykule pt. „Socjologiczne aspekty narkomanii”, analizując to zjawisko jako formę „ucieczki od konfliktów społecznych”. W myśleniu nie tylko potocznym skojarzenie to jest tak powszechne, że np. Zbigniew Thille w książce „Toksykomanie” (Thille, Zgirski 1976) pisze, że choć motywy zażywania narkotyków mogą być bardzo różne – ciekawość, zaspokojenie potrzeb poznawczych lub twórczych i inne – to nawet te z pozoru „nieucieczkowe” można ująć jako „pogoń za czymś”, a taka pogoń jest jednocześnie ucieczką, tyle, że „ucieczką ku...”, a nie „ucieczką od...”. W ten sposób wszystkie przyczyny zażywania narkotyków można właściwie sprowadzić do „ucieczki”, która, tak pojmowana, staje się w ten sposób pojęciem pustym, a raczej przepelnionym, gdyż właściwie wszystkie dążenia i działania jakie podejmuje człowiek, możnaby opisać jako „ucieczkę od...” lub „ku...” czemuś. Dałoby się chyba napisać na ten temat całkiem ciekawą pracę – np. pod tytułem „Narkotyki jako ucieczka od rzeczywistości w literaturze naukowej, publikacjach prasowych i myśleniu potocznym”.

Czym spowodowana jest tak wielka popularność tego wyrażenia? Wydaje mi się, że przyczyną jest dominujący aż do niedawna model zażywania narkotyków w Polsce – „ćpanie” twardych narkotyków („kompotu”) lub farmakologicznych środków odurzających. I jedno, i drugie działają hamująco i tłumiąco na układ nerwowy, zapewniając określony, „ucieczkowy” rodzaj doznań, w przeciwieństwie do marihuany, psychedelików i środków psychostymulujących, których popularność wzrosła w ostatnich latach.

Na jakiej podstawie zamierzam odnieść twierdzenia dotyczące osób uzależnionych od „twardych” narkotyków także do użytkowników marihuany – o tym za chwilę. Teraz zaznaczmy, że ucieczka od rzeczywistości oraz inne tego typu powody, jak np. nie radzenie sobie i nieprzystosowanie to oczywiście nie jedyne przyczyny brania narkotyków, jakie znaleźć można w literaturze tematu. Zarówno w wydawnictwach popularnych, jak i w piśmiennictwie naukowym, wymienia się także np. zaspokojenie ciekawości, poczucie przynależności do grupy, poszukiwanie nowych doznań i przeżyć, wyrażenie swej niezależności, uzyskanie lepszego „rozumienia” lub poprawy własnej twórczości, odprężenie i odpoczynek -by wymienić tylko kilka (Chruściel, Korozs 1988). Czemu w takim razie wybrałem ucieczkę od rzeczywistości jako stereotyp, z którym zamierzam skonfrontować badanych? Otóż w odróżnieniu od większości pozostałych, sąd ten ma charakter dosyć pejoratywny i zagraża pozytywnej samoocenie osób, do których się odnosi. Mówiąc w kategoriach psychologicznych, wywołuje dysonans poznawczy, który trzeba zredukować, aby zachować dobrą samoocenę i obronić swoje ego (Aronson 1994), a ujmując to w kategoriach naszej teorii – wymaga zastosowania neutralizacji przez osobę, której dotyczy.

Skoro nawet długotrwałe używanie marihuany nie powoduje uzależnienia fizycznego, a kwestia uzależnienia psychicznego także nie jest całkiem jasna, to nazywanie użytkownika marihuany narkomanem jest co najmniej problematyczne. A przecież tak go tu traktujemy, twierdząc, że twierdzenia na temat ucieczki, nie radzenia sobie i niedostosowania dotyczą także i jego. Dotykamy tu kolejnej kwestii, która mogłaby stanowić osobny przedmiot badań – chodzi o zjawisko, które nazwałbym polskim „mitem ćpuna”. W rozdziale o sytuacji palaczy marihuany w USA mówiliśmy o amerykańskim „micie ćpuna” – negatywnym wizerunku palacza marihuany, wykreowanym przez propagandę ery Anslingera. Polski „mit ćpuna” ma zupełnie inny rodowód i polega na

postrzeganiu osób używających wszelkiego rodzaju środków psychoaktywnych, nawet okazjonalnie – jako narkomanów, lub w najlepszym razie – osoby zagrożone uzależnieniem.

Jak pamiętamy z rozdziału III, problem narkomanii w Polsce był od początku istnienia tego zjawiska problemem „twardych” narkotyków, przede wszystkim „kompotu” – „polskiej heroiny”. Środek ten niezwykle szybko wywołuje uzależnienie fizyczne, a ponadto – głównie ze względu na zanieczyszczenia – doprowadza do wyniszczenia organizmu. W latach 70-tych, gdy zaczynało się mówić o problemie narkomanii w Polsce, i w 80-tych, kiedy problem ten stał się szczególnie głośny, używanie innych narkotyków prócz „kompotu”, środków farmakologicznych i „wączania kleju” – było zjawiskiem właściwie marginalnym, ograniczonym do dość wąskich środowisk. Propaganda antynarkotykowa, i w ogóle mówienie i pisanie na temat narkotyków, dotyczyło przede wszystkim uzależnienia od „kompotu”, i przez taki pryzmat patrzono na wszystkie narkotyki. Polski „mit ćpuna” to mit użytkownika jakichkolwiek narkotyków jako wycieńczonego, ślaniającego się na nogach i chorego na AIDS osobnika wstrzykującego sobie w żyłę „kompot” lub wączającego klej.

„Mit ćpuna” dotyczy nie tylko myślenia potocznego – obecny jest również w naukowej literaturze dotyczącej problemu uzależnień – już w połowie lat 70-tych Zbigniew Thille (Thille, Zgirski 1976) zwrócił uwagę, że dominująca u nas narkomania opiatowa rzutuje na teoretyczny opis zjawiska zażywania narkotyków w ogóle. Niewiele zmieniło się w latach 80-tych. I tak np. autorzy cytowanego już artykułu pt. „Socjologiczne aspekty narkomanii” piszą: „Wyrażamy (...) pogląd, że rodzaj środka narkotycznego nie determinuje istoty zjawiska [narkomanii] w rozumieniu socjologicznym. Przyjmujemy bowiem, że niezależnie od rodzaju środka odurzającego, jeżeli zostaną spełnione pewne warunki (częstotliwość zażywania i wysokość dawek), powstają określone skutki w postaci zachowań negatywnie dewiacyjnych, połączonych z wypadaniem z ról społecznych” (Latoszek, Ochman, Koziół – Bielska 1981). Z kolei Izabela Lignowska (1987) wyróżnia trzy fazy narkomanii, w socjologii rozumianej jako proces: zagrożenie, przyzwyczajenie i nałóg, po czym dodaje: „Ponieważ różnice [między poszczególnymi stadiami] są nieostre i płynne, pojęcie narkomanii może więc być stosowane na oznaczenie wielokrotnego używania środków odurzających w celach niemedycznych”. Podobnie zdefiniowana jest narkomania w obowiązującej w czasie prowadzenia badań Ustawie o zapobieganiu narkomanii z 1985 r. – jako „stałe lub okresowe przyjmowanie w celach niemedycznych środków odurzających lub psychotropowych albo środków zastępczych, w wyniku czego może powstać lub powstała zależność” (Chruściel, Korozs 1988); definicję tę w identycznym brzmieniu znajdujemy także w nowej ustawie z 1997 r. Z takiego punktu widzenia okazjonalny palacz marihuany jest tak samo narkomanem jak nałogowy użytkownik „kompotu” – obraz „ćpuna” zostaje z rozpędu uogólniony na użytkowników wszystkich innych środków.⁹

W ciągu ostatnich lat struktura spożycia narkotyków uległa bardzo znacznym przemianom – „kompot” został zepchnięty na margines, głównie przez marihuanę i amfetaminę, a także środki psychedeliczne; coraz częściej pojawiają się też opinie, według których należy rozgraniczać poszczególne środki, szczególnie marihuanę od pozostałych. Niemniej jednak „mit ćpuna” nadal wydaje się silny, a świadomość społeczeństwa na temat narkotyków – żenująco niska.¹⁰ W świetle powyższych argumentów objęcie palaczy marihuany sądami i przekonaniem dotyczącymi narkomanów wydaje mi się całkiem uzasadnione.

3. BADANIE INTERAKCYJONISTYCZNE: SOCJOLOGIA CZY ETNOGRAFIA?

Postanowiłem nie kończyć badań na odniesieniu się do ustaleń Howarda Beckera i starałem się zdobyć kilka dodatkowych informacji, aby uzyskać pełniejszą charakterystykę zarówno samych badanych, jak i kontekstu społecznego i sytuacyjnego,

w jakim odbywają się ich działania. Próbowałem więc zdobyć informacje dotyczące przede wszystkim:

- używania przez badanych alkoholu oraz innych środków psychoaktywnych (czy palenie marihuany idzie w parze z piciem alkoholu czy też jedno wyklucza drugie?, czy alkohol i marihuana stosowane są łącznie czy też traktowane są jako „zamienniki” ?, czy palacze marihuany podejmują próby z innymi środkami, a jeśli tak, to z jakimi?, jak je oceniają?);
- środowiska, w którym obraca się osoba badana (czy są to sami palacze, czy także niepalący?, czy można mówić o subkulturze – lub subkulturach – palaczy marihuany?, jeśli tak, to czy palenie marihuany jest centralną aktywnością, wokół której skupiają się te środowiska?);
- wzorów używania marihuany (w jaki sposób odbywa się palenie?, w jakich sytuacjach i okolicznościach zazwyczaj się pali?, co robi się po „przypaleniu” ?);
- legalizacji narkotyków (czy badani mają sprecyzowany pogląd na ten temat?, jeśli tak, to jaki?, jak uzasadniają swoje zdanie?).

Jak zauważa Marek Czyżewski (1990) interakcjonistyczne badania, prowadzone techniką wywiadu swobodnego, mają charakter bardziej etnograficzny niż socjologiczny; bywają nawet nazywane „etnografią życia codziennego”. Jest tak dlatego, że dokonując charakterystyki badanych układów społecznych polegamy na danych, których dostarczają nam informatorzy – a zatem opis dokonany przez badacza ma taki sam status jak opis dokonany przez uczestnika tych układów, czyli informatora. Jedyne, co może zrobić badacz, to zadbać o jak najwyższą jakość uzyskanych materiałów oraz przestrzegać zasad ich interpretacji. Jako przykład takiego badania, autor przytacza studium Beckera na temat

subkultury muzyków rozrywkowych, zamieszczone w „Outsiders” – Becker jako badacz wysuwa tu pewne tezy i przedstawia swoje wnioski, a na ich poparcie przytacza najcelniej brzmiące wypowiedzi swych informatorów. Z podobną strategią mieliśmy zresztą do czynienia w studium na temat palaczy marihuany, które streszczone zostało w rozdziale II. Postanowiłem podążać dalej tym etnograficznym tropem. Po zweryfikowaniu tez Beckera o przebiegu wyrabiania motywów dewiacyjnych u palaczy marihuany, oraz po zbadaniu, jak radzą sobie oni z różnymi rodzajami kontroli społecznej, postanowiłem pokusić się o dokonanie charakterystyki środowiska palaczy marihuany w kontekście zmian, jakie dokonały się w naszym kraju na przestrzeni ostatnich lat. Będzie to część badania znacznie bardziej etnograficzna (a w najlepszym razie – antropologiczna) niż socjologiczna. Niemniej jednak pewne wnioski mogą okazać się na tyle interesujące – także dla socjologa – że postanowiłem zaryzykować i dokonać tego eksperymentu w ramach niniejszej pracy.

4. CHARAKTERYSTYKA PRÓBY I PRZEBIEG BADAŃ

Podobnie jak Becker, swoje badania prowadziłem techniką wywiadu swobodnego.

Podobnie jak próba Beckera, także i moja nie jest w żadnym razie losowa ani reprezentatywna – z tej samej przyczyny: braku danych o całości populacji palaczy marihuany. Mogłem jedynie starać się maksymalnie zróżnicować próbę, docierając do przedstawicieli rozmaitych środowisk i zawodów, w różnym wieku i obojga płci.

Przeprowadziłem w sumie 22 wywiady z respondentami w wieku od 20 do 36 lat; wśród nich było 18 mężczyzn i 5 kobiet (wśród regularnych palaczy marihuany płeć piękna zdaje się stanowić zdecydowaną mniejszość). Jeśli chodzi o zawody lub główne zajęcia informatorów, to w próbie znaleźli się: muzycy, realizatorzy dźwięku oraz organizatorzy koncertów (z kręgów, umownie rzecz biorąc, rockowych), studenci różnych uczelni, barmani, bezrobotny, handlarz narkotykami, filozof, malarka, producentka programów telewizyjnych, lekarz, robotnik niewykwalifikowany, konserwatorka mebli antycznych, projektantka grafiki komputerowej. Wywiady prowadziłem w okresie od czerwca do października 1996 r. w trzech miastach: Poznaniu (7 wywiadów), Warszawie (8) i Krakowie (7); część badanych mieszkała wcześniej w mniejszych miastach. Być może pozwoli to

wyciągnąć jakieś wnioski na temat specyfiki środowisk palaczy marihuany w różnych miejscowościach.

Na początku wywiadu informatorzy otrzymywali zapewnienie o anonimowości i wykorzystaniu ich wypowiedzi tylko i wyłącznie dla celów niniejszych badań. Wywiady były – za zgodą respondentów – rejestrowane na taśmie magnetofonowej. Wiarygodność uzyskanych danych oceniam bardzo wysoko. Warto tu podkreślić, że wielu respondentów wyraziło duże zainteresowanie tematem i celem badań; informacji na ten temat udzielałem jednak już po zakończeniu wywiadu, obawiałem się bowiem, że znajomość tematu badań może wpłynąć zakłócająco na treść udzielanych odpowiedzi.

Badania prowadziłem z pozycji insidera – od około dziesięciu lat obracam się w środowiskach, w których palenie marihuany jest powszechne. „Insider vs. outsider” to odwieczny dylemat, przed którym staje badacz, szczególnie, jeśli stosuje jakościowe metody badawcze, jak np. obserwacja uczestnicząca czy wywiad swobodny. Choć badanie z pozycji insidera niesie z sobą spore ryzyko, to w tym konkretnym wypadku wydaje mi się bardziej obiecujące. Jest tak z trzech powodów.

Po pierwsze, środowiska palaczy marihuany mają charakter w pewnej mierze subkulturowy i w związku z tym bywają dość hermetyczne. Utrudnia to dostęp do nich osobom „z zewnątrz”, oraz, co jest jeszcze ważniejsze, utrudnia takim osobom zrozumienie występujących tam przekonań czy zachodzących zjawisk – środowiska subkulturowe mają bowiem swój odrębny język, którego znajomość jest nieodzowna przy badaniu tych środowisk; język, rozumiany tu nie tylko jako żargon czy slang, ale przede wszystkim jako specyficzny, odrębny system znaczeń. Co więcej, miałem kilkakrotnie okazję widzieć, jak uczestnicy środowisk subkulturowych udzielając informacji outsiderom (np. dziennikarzom) celowo wprowadzali ich w błąd, choćby dla żartu.

Po drugie, sytuacja prawna i społeczna powoduje, że dosyć ważna w moich badaniach była kwestia zaufania i dyskrecji, szczególnie dla respondentów, którzy nie tylko palą marihuanę, ale też sami ją uprawiają lub handlują nią. Dzięki temu, że jestem osobą z ich środowiska, a ponadto „polecaną” przez znajomych, zwiększała się gwarancja, że ich wypowiedzi nie zostaną wykorzystane przeciwko nim, a wyniki badań – przeciwko palaczom marihuany w ogólności.

Po trzecie wreszcie, palenie marihuany jest dla wielu jej użytkowników doświadczeniem o charakterze dosyć mistycznym – doznanie to niełatwo poddaje się opisowi w kategoriach myślenia dyskursywnego¹¹. Co więcej, dla części palaczy charakterystyczne jest nastawienie dosyć antyintelektualne – próba naukowego badania palenia marihuany może napotkać opór lub niechęć. Fakt, że osoba prowadząca badania „wie, o co chodzi”, może w znacznym stopniu osłabić tego rodzaju wątpliwości i ułatwić komunikację.

Za argument za prowadzeniem niniejszych badań z pozycji insidera można ponadto uznać fakt, że Becker także był insiderem – połowa z jego badanych to muzycy rozrywkowi, który to zawód Becker sam przez jakiś czas wykonywał.

Temat, którym się tu zajmujemy – marihuana, czy w ogóle narkotyki – budzi na ogół duże emocje zarówno wśród użytkowników tych środków, jak i wśród reszty społeczeństwa. Tym bardziej więc musiałem być ostrożny, by moja dotychczasowa znajomość tego zagadnienia oraz osobiste opinie i nastawienia nie rzutowały na zbieranie materiału badawczego oraz jego analizę. Uważam, że – na tyle, na ile to w ogóle możliwe – udało mi się zachować bezstronność i obiektywizm; czy to prawda – pozostawiani do rozstrzygnięcia Czytelnikowi. Oto wyniki badań.

ROZDZIAŁ V

ANALIZA WYWIADÓW

Przystąpmy więc do analizy przeprowadzonych wywiadów i porównania wyników z wnioskami Howarda Beckera. Pamiętajmy, że analiza ma charakter jakościowy – opisując poszczególne kategorie odpowiedzi badanych przytaczam co prawda liczby mówiące o częstotliwości ich występowania w wywiadach, jednak mają one charakter czysto ilustracyjny: nie mogą służyć jako podstawa do jakichkolwiek statystycznych uogólnień a jedynie obrazują pewne proporcje. Co więcej, w przyjętej tu perspektywie, pewne poglądy, opinie czy opisywane sytuacje, pojawiające się w wywiadach rzadko, nawet jedynie raz lub dwa, mogą mieć dla nas równie duże znaczenie jak te, które dominują, mówią bowiem one wiele o różnorodności omawianych zjawisk; niewykluczone jest ponadto, że gdyby dotrzeć do innych użytkowników marihuany niż tutaj przebadani, to proporcje te wyglądałyby inaczej (jak już pisałem, mimo, iż starałem się dotrzeć do przedstawicieli różnych środowisk, to próba nie jest reprezentatywna, choć starałem się, by była zróżnicowana wewnętrznie). Można powiedzieć, iż jako autor niniejszego opracowania wcieliłem się w rolę badacza, który „woli niepewną wiedzę o sprawach, które uważa za ważne, od pewnej wiedzy o sprawach, które uważa za błahe lub dostatecznie poznane” oraz „pisze raczej o tym, jak bywa, niż o tym, jak jest” (Szacki 1981).

Uwagi te dotyczą w szczególnej mierze drugiej części analizy, gdzie będę próbował wyciągać wnioski na temat norm społecznych na podstawie odczuwanej przez „dewiantów” reakcji na ich łamanie, a w jeszcze większym stopniu – następnego rozdziału, w którym zajmę się ogólną charakterystyką badanego środowiska. W części pierwszej skoncentruję się bowiem na sprawdzeniu, na ile doświadczenia badanych odpowiadają modelowi przedstawionemu przez Beckera.

Wnioski moje będę się starał często ilustrować zaczerpniętymi z wywiadów cytatami, szczególnie tam, gdzie będą pojawiać się nowe lub szczególnie interesujące informacje. We wszystkich cytatach zachowane jest oryginalne słownictwo respondentów, w którym, o czym już wspominałem, a o czym szerzej będzie jeszcze mowa, marihuana występuje także pod kilkoma innymi nazwami, z których najczęstsze to „trawa”, „trawka”, „grass” i „ganja”; „joint” oznacza skręta z marihuaną lub haszyszem. Tam, gdzie to konieczne – ze względu na użycie wyrazów slangowych lub na wyjęcie wypowiedzi z kontekstu – dodane są niezbędne uzupełnienia, ujęte w nawiasy kwadratowe. Cytaty są oznaczone tak, by możliwe było ich odnalezienie w tekście spisanych z taśmy wywiadów, w sposób następujący: inicjały osoby ankietowanej, numer strony wywiadu, numer wypowiedzi. W wypadkach, gdy w jednej wypowiedzi badany mówił o dwóch lub więcej różnych kwestiach, poszczególne fragmenty wypowiedzi zostały oznaczone małymi literami. Dla przykładu, D.G. 10.3b oznaczałoby: wywiad z D.G., strona 10, wypowiedź 3, fragment b.

1. WYRABIANIE MOTYWU DEWIACYJNEGO

Jak pamiętamy, według Beckera wyrabianie motywu dewiacyjnego zaczyna się wraz z pierwszym kontaktem z marihuaną, na ogół nieefektywnym, jeżeli chodzi o doznawanie przyjemności płynącej z palenia. Spośród 22 badanych przeze mnie osób, 18 rzeczywiście nie odczuło za pierwszym razem żadnych efektów. Jednak, co ciekawe, aż 3 z nich przypisało winę nie nieznamości techniki palenia lub nieumiejętności odczuwania efektów, lecz słabej jakości palonej marihuany. Jest to czynnik, który nie występował u Beckera, gdyż jego badani palili marihuanę znajdującą się w handlu, a więc przeważnie dobrej jakości, podczas, gdy w Polsce wielu palaczy zaczynało od konopi o znikomej zawartości THC, krajowej uprawy lub wręcz dziko rosnących. 6 badanych stwierdziło, że przyczyną była nieumiejętność odczuwania efektów (niewyrobiona wrażliwość, niewiedza o tym, czego się spodziewać), z czego 3 osoby z perspektywy czasu stwierdziły, że

marihuana zadziałała, lecz wtedy nie umiały tego jeszcze zauważyć. Z kolejnych osób, jedna jako przyczynę wskazała zbyt małą ilość marihuany, dwie nie umiały wskazać przyczyny, tylko jedna osoba wskazała nieznaną technikę palenia.

Spośród pozostałych osób, jedna nie umiała jednoznacznie stwierdzić, czy marihuana zadziałała, natomiast – uwaga! – trzy osoby zdecydowanie stwierdziły, że już za pierwszym razem upaliły się. Te „wyjątki” są dla nas najbardziej interesujące, gdyż w ich przypadku nie było konieczne stopniowe uczenie się odczuwania efektów – odczuły je od razu.

Jak twierdzi Becker, koniecznym warunkiem wyrobienia motywu dewiacyjnego jest nauka techniki palenia, umożliwiającej wchłonięcie wystarczającej ilości środka, by można było odczuć efekty jego działania. Nauka taka przebiega w kontaktach z innymi palaczami.

Rzeczywiście, 16 badanych osób było w tym zakresie instruowanych przez doświadczonych palaczy w sposób mniej lub bardziej dokładny, 2 osoby uczyły się przez obserwacje i naśladowanie innych, 4 osoby nie pamiętają, skąd wiedziały, jak palić, jednak i one swoje pierwsze doświadczenia odbywały w grupie, a nie w samotności, prawdopodobnie mogły więc wchodzić w grę instrukcje lub obserwacja.

Kolejnym opisanym przez Beckera krokiem jest nauka odczuwania efektów, a następnym – nauka definiowania ich jako przyjemne, gdyż pierwsze odczuwane efekty są, jego zdaniem, ambiwalentne lub wyraźnie negatywne.

Wyniki niniejszych badań wyraźnie temu przeczą – aż 17 badanych twierdzi bowiem, że pierwsze upalenie było przyjemne, a niektórzy z nich właśnie te pierwsze doświadczenia wspominają ze szczególnym sentymentem. Tylko 3 osoby mają tu niepozytywne wspomnienia, z czego dwie, aby odczuwać przyjemność, musiały ponawiać próby, a jedna tylko początkowo czuła się źle, ale po pewnym czasie już lepiej. Z pozostałych dwóch osób jedna czuła się źle fizycznie (mdłości, wymioty), ale dobrze psychicznie, a kolejna nie ujmowała swego stanu w kategoriach przyjemności, gdyż – jak to określiła – jej celem było się „nawalić” za pomocą marihuany mieszanej z dużymi ilościami alkoholu. O ile w poprzednim stadium trzy osoby, które już przy pierwszej próbie odczuły efekty palenia można uznać za wyjątki, to na kolejnym etapie wyniki badań prezentują się całkiem odmiennie niż wnioski Beckera: aż 17 spośród 22 badanych swe pierwsze upalenie wspomina jako przyjemne. Trzy przypadki można uznać za ambiwalentne, a tylko dwóch badanych miało wyraźnie niepozytywne przeżycia. W większości przypadków nie mamy więc wcale do czynienia z koniecznością uczenia się odczuwania przyjemności i redefiniowania doświadczeń jako przyjemnych, gdyż były one takie od samego początku.

Badanych pytałem nie tylko o ich własne doświadczenia z początków palenia, ale też o ich obserwacje dotyczące innych palaczy, mogą one bowiem być pomocne przy weryfikacji tez Beckera. Większość palaczy (15 osób) miała okazję palić w obecności nowicjuszy: niektórzy badani sami częstowali innych lub służyli za „instruktorów”, inni byli tylko obserwatorami. W badaniach zrelacjonowano kilkanaście pojedynczych przypadków, w których mniej więcej 1/3 nowicjuszy nie odczuła żadnych efektów, 1/3 miała pozytywne doznania, tyle samo – negatywne. Badani wyrażali też bardziej ogólne sądy na temat osób palących po raz pierwszy. Mają na ten temat różne opinie – są tacy, którzy twierdzą, że „negatywne odjazdy” zdarzają się dość często, a osoby, które ich doświadczyły, na ogół zrezygnowały z dalszych prób, inni utrzymują, że jest wręcz przeciwnie – pierwsze doświadczenia są zazwyczaj bardzo przyjemne a do tego niezwykle intensywne; wiele jest też relacji o osobach, na które co prawda marihuana wyraźnie działa, co jest widoczne dla obserwatorów, lecz same twierdzą, że nic nie odczuwają. Jeden z badanych stwierdził: 70% załapuje się [upala się], 20% nie, 10% łapie schizy [upala się negatywnie] (B.L. 20.5) – proporcje są więc jego zdaniem bardzo „korzystne” w sensie skuteczności pierwszego palenia – może dlatego, że zwykle częstował wysokiej jakości marihuaną lub haszyszem.

Badani bardzo różnie oceniają pierwsze doświadczenia innych osób z marihuana, a ponieważ relacje mają charakter dość przypadkowy i wyrywkowy, to nie można stad wyciągać jakichkolwiek wniosków dotyczących proporcji nowicjuszy upalających się przyjemnie, nieprzyjemnie albo wcale. Nie jest to zresztą potrzebne – wystarczy nam, że wnioski są podobne, jak z relacji o własnych doświadczeniach badanych.

Okazuje się, że wśród osób palących pierwszy raz są – zgodnie z ustaleniami Beckera – takie, które nie odczuwają efektów, ale są też takie, które upalają się od razu. Z kolei spośród pierwszych upaleń część rzeczywiście jest nieprzyjemna lub ambiwalentna, ale wiele jest wyraźnie pozytywnych. Proporcje przypadków potwierdzających i podważających model Beckera są różne na różnych szczeblach „nauki”: raz przypadki nie przystające do tego modelu są wyjątkami, innym razem stanowią część dominującą. Jak pamiętamy z rozdziału IV, Becker przyjął metodę indukcji analitycznej, która wymaga, by każdy zbadany przypadek potwierdzał hipotezę – a w niniejszym badaniu natrafiliśmy na takie, które wyraźnie jej przeczą.

Tak więc, zgodnie z moją pierwotną intuicją, ta część teorii Beckera nie wyszła z badań obronną ręką: okazuje się, że motywu dewiacyjnego wcale nie trzeba w każdym przypadku mozolnie wyrabiać, borykając się z pomocą bardziej doświadczonych „dewiantów” z różnego rodzaju barierami. Są tacy użytkownicy, którzy próbują marihuany słysząc o tym, że jest to przyjemne – i rzeczywiście okazuje się przyjemne, a jeżeli pojawiają się problemy, to jedynie „technicznej” natury.

Jeżeli więc model Beckera zachowuje w odniesieniu do palaczy jakąś wartość, to jedynie jako pewien schemat, wedle którego można opisać poszczególne przypadki, przystające do niego mniej lub bardziej i na różne sposoby. Mówiąc obrazowo, można przyjąć, że Becker trafnie naszkicował stopnie, po których krocza początkujący palacze, jednak posunął się za daleko, twierdząc, że każdy palacz idzie po nich krok po kroku. W rzeczywistości ich drogi wyglądają różnie: jedni zaczynają „od zera” i pną się powoli, inni wskakują od razu na najwyższy stopień z pominięciem pozostałych.

Jak pamiętamy, całe badanie służyło Beckerowi do zilustrowania hipotezy, że błędem jest poszukiwanie motywu leżącego u podstaw zachowań dewiacyjnych, gdyż motyw taki może na początku nie istnieć, a dopiero stopniowo się wyrabiać. Jeśli przyjąć, że rzeczywiście tak jest, to co w takim razie sprawia, że jedni nowicjusze mimo nieudanych prób ponawiają je, lub też nie zrażając się nieprzyjemnymi doświadczeniami uparcie dążą do uzyskania pozytywnych przeżyć, a inni zniechęcają się i rezygnują? Podobne pytania, tyle, że dotyczące użytkowników jakichkolwiek środków, a nie tylko marihuany, zadaje toksykolog Zbigniew Thille: „Dlaczego wśród dużej liczby ludzi, używających różnych środków uzależniających, tylko pewna część dochodzi do ekscesywnego, niekontrolowanego ich używania? Dlaczego wśród tych ludzi tylko pewna część popada w stan uzależnienia lękowego?” (Thille, Zgirski 1976). Wydaje się więc, że całkowita rezygnacja z poszukiwania wewnętrznych motywów, leżących u podstaw analizowanego zachowania, a wręcz krytyka takiego podejścia, była cokolwiek zbyt pośpieszna.

Pierwszą część analizy zakończmy więc podsumowaniem: praca Beckera broni się jako użyteczny model (oraz zbiór cennych spostrzeżeń!) służący do opisu pewnego środowiska poprzez ujęcie różnorodności indywidualnych doświadczeń w jeden wspólny schemat i położenie nacisku na duże znaczenie interakcji i transmisji wiedzy, natomiast jako ilustracja teorii wyrabiania motywu dewiacyjnego nie opiera się krytyce.

2. UŻYTKOWNICY MARIHUANY WOBEC KONTROLI SPOŁECZNEJ W POLSCE LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH

W drugiej części analizy nie będziemy sprawdzać słuszności twierdzeń Beckera, dotyczących zachowań użytkowników marihuany wobec kontroli społecznej, gdyż pozostają one w silnym związku z uwarunkowaniami społecznymi oraz prawnymi, które w przypadku niniejszych badań są tak odmienne, że trudno oczekiwać jakiegokolwiek

zgodności wyników – można jedynie doszukiwać się pewnych analogii oraz wychwycić podobieństwa i różnice, koncentrując się na tym, jak przedstawia się sytuacja „tu i teraz” – w Polsce drugiej połowy lat 90-tych.

A. POKONYWANIE PRZESZKÓD W DOSTĘPNOŚCI I UNIKANIE SANKCJI PRAWNYCH

To, że częstotliwość palenia jest funkcją dostępności, jest rzeczą oczywista – trudno przecież palić marihuanę, jeśli się jej nie posiada. Jak twierdził Becker, nawet regularny palacz, tracąc „dojście”, może się cofnąć do stadium palenia okazjonalnego lub nawet w ogóle przestać palić. Potwierdzają to badane przeze mnie osoby, które, zapytywane o swój dostęp do marihuany, odpowiadały: (...) *jak było, to paliliśmy (...). Jak nie było, to nie paliliśmy* (A.B. 7.5 – 8.1). Nie byłoby w tym oczywiście nic niezwykłego, gdyby nie to, że w wielu przypadkach zależało to nie tylko od wyrobionych lub utraconych „dojść”, lecz od... pory roku. Wynika to stąd, że jeszcze kilka lat temu (a wtedy właśnie, na przełomie lat 80-tych i 90-tych lub jeszcze wcześniej, zaczęły się kontakty większości badanych z marihuaną) w Polsce palono niemal wyłącznie marihuanę krajowej uprawy. Marihuana lub haszysz sprowadzane z Zachodu, najczęściej z Amsterdamu lub Berlina, należały do rzadkości, podobnie jak przywożone z Nepalu lub z Indii – większość badanych w początkach swych doświadczeń w ogóle się z takimi gatunkami nie zetknęła, paląc jedynie marihuanę uprawianą w Polsce. Wyhodowane w dobrych warunkach i z należyta pieczołowitością, krajowe konopie indyjskie mogą posiadać moc całkiem zadowalającą, choć niektórzy badani testowali na chybił trafił także konopie dziko rosnące. Były to najczęściej konopie siewne, które czasem rosną u nas jako chwasty, zdarzało się jednak trafić na przypadkowo – albo i nie – rozsiane konopie indyjskie: *Kiedyś znalazłam dużą kępę, przywiozłam autobusem do domu, ususzylam cichaczem gdzieś w szafie, ale w ogóle to nie czapilo [nie działało] – samosiejka. Ale kiedyś znalazłam parę roślin w okolicy mojego bloku, które byty znakomite* (N.R. 4.1).

Większość badanych – aż 16 spośród 22 osób! – same uprawiały konopie: w doniczkach na oknie, w ogródku, w dobrze nasłonecznionych miejscach „w terenie” lub też w szafie, pod lampami. Uprawy takie, mniejsze lub większe, jednym w ogóle się nie udawały, innym starczały nie tylko na własne potrzeby, ale i dla grona przyjaciół: (...) *[palenie] zaczynało się we wrześniu, w grudniu dawałam jeszcze prezenty, małą paczuszką, kolegom, którzy palili, w styczniu mówiłam, że ja już właściwie nie mam, ale miałam, tak, żeby palić, ja i ściśle grono znajomych, tak luty, marzec -końcowa* (N.R. 6.4b). Oczywiście nie znaczy to, że wiosną i latem nie paliło się w ogóle – niektórym hodowcom obfite plony starczały na cały rok, byli też palacze, którzy myśleli „przyszłościowo” i odkładali sobie zapasy na później, co czasem przybierało formy niemal rytualne: *No więc ja, a zresztą nie tylko ja, bo kupa znajomych to robiła, jak byty plony, to się to wszystko pakowało do stu pięćdziesięciu woreczków i sto pięćdziesiąt pudełeczek było chowanych w szafie, pod klepkami od podłogi, no wiesz, w tysiącu możliwych dziur w mieszkaniu, no i potem były odkrywane z radością, przez lata. Pamiętam, że jeszcze po pięciu latach, jak robiłem przeprowadzkę, odkryłem taki wielki worek marihuany gdzieś tam* (B.L. 14.1).

W razie wyczerpania się własnych zapasów, odpowiednio osadzony w środowisku palacz zawsze wiedział, do kogo się udać: *Wiadomo, kto miał; szło się do tej osoby, albo się wysyłało kogoś, kto jest w najlepszych układach, albo się improwizowało jakieś spotkanie i się zapraszało tą osobę – nie było problemu* (D.Z. 9.2). W poszukiwaniu wkładano nieraz sporo wysiłku: (...) *pamiętam nawet całe dni, gdy się jeździ i szuka, i w końcu – pudełko po filmie: aaa!, i zabawa* (B.S. 5.4), choć nie zawsze były uwieńczone powodzeniem, co w jednych kręgach powodowało ogólne niezadowolenie: (...) *niestyk był, kwach. Jak się spotyka pięć osób, z których każda ma ochotę zapalić, a nikt nie ma [marihuany], to wtedy są krzywe ryje* (B.S. 5.5b), w innych było uznawane za rzecz naturalną: *Jest taka sugestia,*

żeby wiesz, „może coś załatwimy” albo coś-tam, ale jeśli nie ma, to nie rzutuje to na imprezę – po prostu jest piwo (D.G. 15.2).

Jak widać, nie tylko od pory roku i ilości marihuany obecnej na „rynku” (cudzystów nie jest tu przypadkowy, ale specyfiką „rynku” zajmujemy się dopiero za chwile) zależała częstotliwość palenia – ważnym czynnikiem były również odpowiednie kontakty. O ile jednak u Beckera, na typowym czarnym rynku, posiadanie „dojść” oznaczało znajomość z handlarzem – dealerem, do którego można było dotrzeć jedynie z polecenia „starszych” palaczy, gdyż tylko do nich dealer miał już zaufanie, o tyle w Polsce „dojścia” te polegały na posiadaniu znajomych, którzy uprawiali konopie lub mieli kontakty z zaprzyjaźnionymi hodowcami. W praktyce oznaczało to funkcjonowanie w pewnych środowiskach, w których marihuana była obecna, jak np. młodzieżowe subkultury. Tam z marihuaną można było zetknąć się nieomal przez przypadek, w ogóle jej nie poszukując. (Kilku badanych stwierdziło, że po raz pierwszy zetknęli się z marihuaną całkiem przypadkowo – wiedzieli, że coś takiego istnieje i do czego mniej więcej służy, ale nie starali się specjalnie jej zdobyć.)

Nie tylko jednak fakt, że nie dealerzy, lecz bliżsi lub dalsi znajomi byli wówczas źródłem marihuany, stanowi o specyfice tego okresu. Znamienne jest także to, że nie było wówczas handlu marihuaną -zdecydowanie łatwiej było ją dostać, niż kupić.

Zorganizowany handel zupełnie nie istniał; co więcej, marihuany „programowo” nie kupowało się ani nie sprzedawało: „Nigdy się absolutnie nie kupowało – wręcz kupowanie to jest coś, wiesz, obraźliwego (...). Ktoś się pojawił, kto chciał kupić, a myśmy się tak na niego patrzyli: nieeee, no kupić?! Przecież to jest coś, czym się w ogóle nie handluje! To jest coś, czym się można podzielić! (E.L. 14.2b); Święte zioło można było wyhodować, znaleźć, można było dostać, ale nie kupować (T.B. 13.3); Stwierdziłem, że nie będę wspierał drug-biznesu. To jest dla mnie coś nieczystego, kupowanie marihuany (B.S. 8.6). Niechęć do handlu była częściowo związana z tym, że w subkulturze rasta, bardzo licznej w Polsce w drugiej połowie lat 80-tych, marihuanę uznawano za „święte ziele” którym nie godzi się handlować.

Propozycja kupna lub sprzedaży była jeśli nie podejrzana, to w każdym razie niemile widziana. Jedyną akceptowaną formą był „handel wymienny” na dość luźnych zasadach: *Przypomina mi się kolega z osiedla (...), lubił bardzo pić, on preferował zawsze ponad ganję alkohol, i często robił właśnie takie sytuacje, że „panowie, tutaj pudełko ganji, a kupcie mi dwa piwka”, na tej zasadzie. Najwyżej taka forma sprzedaży była (S.M. 8.2); Pamiętam, że (...) było parę takich akcji, że jak podchodził jakiś facet i mówił, że chce kupić ode mnie, to jak był bardzo nachalny, to mówię mu: „kup mi piwo, a ja ci dam, skoro musisz płacić” (N.R. 7.1).*

Dominowało jednak dawanie i częstowanie, które jako główne źródło swego zaopatrzenia podało aż 18 badanych (wielu z nich było przy tym hodowcami), dwóch podało głównie własną uprawę (która jednak wiązała się także z wymianą z innymi). Żadna z tych 20 osób w tamtym okresie, już regularnie paląc, nie kupowała marihuany, część z nich nie robi tego do dziś. Jedynie dwaj pozostali badani od początku kupowali – obaj jednak zaczęli palić dość późno, bo około połowy lat 90-tych, nie udało im się więc „załapać” na okres, gdy marihuana była tylko i wyłącznie dawana.

Sytuacja ta zaczęła się zmieniać wraz z początkiem lat 90-tych: zaczął pojawiać się handel. Początkowo handlowano marihuaną krajowej uprawy, sprzedawaną na „szuflady” lub „wagony” – w pudełkach od zapalek. Później na rynek wkroczyli Arabowie, przywożący marihuanę lub haszysz ze swoich krajów, dopiero potem pojawili się wyspecjalizowani dealerzy. Palenie marihuany stawało się przy tym coraz powszechniejsze, stopniowo tracąc dotychczasowy, środowiskowy i subkulturowy charakter: *Właśnie 91, 92, to się zetknąłem z czymś takim, co mnie zszokowało: handel. Handel trawą. Zaczynałem od czegoś takiego, że (...) trawa krążyła między ludźmi, jak rzecz, której nie można sprzedawać. (...) W takim środowisku wyrastałem. (...) Później się*

to spierdoliło. Sam muszę przyznać, że już później trudno było w ogóle trawę dostać; jeżeli się nie miało dobrych układów, bardzo dobrych, to człowiek musiał kupować (D.Z. 9.3-5); Powoli, powoli, to ten, to tamten, za kasę zaczął sprzedawać (...); na początku sprzedawali ci, co wyhodowali, potem ktoś z Holandii trochę przywiózł i odsprzedał – niewinne początki. Później zaczęli badać rynek Arabowie nagle się pojawili z testami czy to dobre, czy to w Polsce się sprzeda. A potem zaistniała typowa „dilerka” [handel], taka, jaka jest w tej chwili (R.B. 9.5).

Rodzima uprawa na użytek własny lub znajomych straciła na znaczeniu (spośród badanych tylko pięcioro nadal uprawiało własne konopie w momencie prowadzenia badań), trudniej też dostać marihuanę za darmo – nadal jest to możliwe, ale raczej w węższych, zamkniętych kręgach: (...) w obrębie środowisk bardzo nielicznych – typu, że mamy tam powiedzmy parę grup znajomych po Polsce, i możemy liczyć na prezenty w okresie żniw (R.B. 9.6). Przeważnie ma to zresztą postać bliższą wzajemnemu częstowaniu się lub dość ścisłej wymianie: W technikum (...) ktoś przyjeżdżał do mnie, mówił: „czy mógłbyś mi odstąpić ileś”, ja mówię: „spoko, jak będę w potrzebie, to ty mi dasz”. A teraz to jest tak, że np. mam kilka gram i ktoś przyjeżdża i mówi: „czy mógłbyś mi dać gram” – „no spokojnie, kiedyś mi oddasz” (R.G. 12.5).

Pojawiły się też nowe formy zaopatrywania się. Pierwszą jest przywożenie z Zachodu (samemu lub przez znajomych) niewielkich ilości marihuany lub haszyszu na własny użytek; niektórzy część następnie odsprzedają, by wyjść „na zero”. Drugą formą jest dokonywanie „składowego” zakupu, np. przed wspólnie organizowaną „ impreza”. Co ciekawe, ten ostatni sposób wymienili tylko dwaj najmłodsi „stażem” badani, którzy wyłącznie z opowiadań znają czasy, kiedy marihuana nie była na sprzedaż. Spośród pozostałych osób 6, a więc prawie 1/3 badanych, stwierdziło, że do dziś zdecydowanie nie kupuje marihuany – bądź to z przyczyn „ideologicznych”, bądź z obawy przed toksycznymi domieszkami, które, ich zdaniem, często zawiera marihuana dostępna w handlu. Wśród osób, które kupują, oczywiście funkcjonuje także częstowanie (rzadziej: dawanie) – trudno sobie zresztą wyobrazić, by mogło być inaczej, jako że palenie marihuany jest czynnością z gruntu towarzyską, a jointa lub fajkę pali się wspólnie – ale, powtórzmy, jest ono ograniczone do ściślejszych kręgów i często przybiera charakter „coś za coś”.

Awersja do kupowania wiązać się może, jak wspomniałem, z „ideologicznym” potępieniem handlu, związanym z kultem „świętego ziała”, niechęcią wspierania narkotykowego biznesu lub przywiązaniem do wspólnotowej tradycji palenia. Potępienie takie zdarza się jednak także wśród osób, które same kupują marihuanę – do handlu negatywnie odnoszą się aż 3 osoby spośród stale kupujących. Tak więc norma, iż nie powinno się handlować marihuaną, choć nadal funkcjonuje, to coraz częściej staje się wyrazem wartości wyznawanej, ale już nie realizowanej. (Uwaga: można przypuścić, że wśród ogółu dzisiejszych palaczy tacy, którzy potępiają handel stanowią o wiele mniejszy odsetek niż w niniejszych badaniach, pamiętajmy bowiem, że prawie wszystkie badane osoby zaczynały palić jeszcze w „starych” czasach.)

Na konieczności posiadania stałego „dojścia” do marihuany nie kończą się jednak problemy z jej regularną konsumpcją. Drugą przeszkodę stanowi ryzyko związane z jej kupowaniem – w warunkach, gdy środek ten jest nielegalny, może to być niebezpieczne. Tak przynajmniej było w USA lat 50-tych. Jak przedstawia się sytuacja u nas?

Spośród badanych osób ani jedna nie podejmuje środków ostrożności typu: nie noszenie marihuany przy sobie czy nie palenie w miejscach publicznych. Trzech respondentów stwierdziło, że w ogóle nie myśli w tych kategoriach, dziewięć osób nie obawia się kłopotów, gdyż wie, że w świetle obowiązującego prawa (chodzi o ustawę w 1985 r.) posiadanie marihuany nie jest karalne: jakby coś znaleźli, to mówić, że idzie się na komisariat oddać właśnie (...) – reguła każdego posiadacza (D.G. 22.3). Jeżeli podejmuje

się jakiegokolwiek środka ostrożności, to tylko przy handlu – chodzi o to, by „nie wchodzić w układy” z nieznanymi, „niepewnymi” ludźmi.

19 badanych nie miało nigdy żadnych prawnych kłopotów związanych z marihuaną, większość z nich słyszała jedynie o problemach, jakie mieli inni, ale tylko za handel lub uprawę na większą skalę. Z pozostałych badanych jeden stwierdził, że „drogówka” karała go za jazdę pod wpływem marihuany, ale pod pretekstem popełnienia wykroczeń drogowych, drugi został zadenuncjowany i miał rewizję w domu, ale bez żadnych konsekwencji prawnych, trzeci, zawodowy handlarz narkotykami, był raz aresztowany, gdyż policja znalazła u niego „towar” wart kilkadziesiąt milionów starych zł., ale i jemu udało się uniknąć konsekwencji – nie udowodniono mu handlu.

Tak więc podejmowane środki ostrożności – a raczej ich niemal całkowity brak – odzwierciedlają sytuację prawną, która stosowania takich środków w zasadzie nie wymagała, skoro posiadanie nie było karane. (Ciekawe, czy sytuacja ta zmieniła się z wejściem w życie nowego prawa – jak wspominałem, wywiady prowadzone były jeszcze w czasie obowiązywania starej ustawy.)

Prawne, formalne sankcje to jednak nie wszystko – osobny problem to uniknięcie sankcji nieformalnych ze strony niepalącego otoczenia. Dla badanych Howarda Beckera był to, jak pamiętamy, duży problem – jeśli nie chcieli zamykać się w subkulturowym getcie, lecz zachować swe dotychczasowe role społeczne, to musieli zadbać o ukrycie swego palenia przed otoczeniem. Jak zachowują się palacze we współczesnej Polsce? Zanim się przekonamy, dodajmy, że z punktu widzenia teorii reakcji społecznej jest to wyjątkowo interesująca część badań, gdyż dowiadujemy się tu o reakcjach społecznych na zachowania uznawane f przynajmniej przez prawo; za dewiacyjne, a tym samym o społecznym funkcjonowaniu pewnej normy: na ile zgodna jest z normą prawną, czy jest „silna” czy „słaba”, czy jest obwarowana sankcjami, a jeśli tak, to jakimi, i na ile jest zróżnicowana w rozmaitych środowiskach.

B. ZACHOWYWANIE TAJEMNICY I UNIKANIE SANKCJI NIEFORMALNYCH

Dla celów tej części analizy badani pytani byli o to, czy ze swym paleniem ujawniali się w środowisku, w którym funkcjonowali – w szkole (a w przypadku studentów lub absolwentów – także na uczelni), w rodzinie i w pracy.

Jeśli chodzi o środowisko uczniowskie, to tylko raz pojawiła się informacja o trzymaniu palenia w tajemnicy przed resztą klasy. Pozostałe wypowiedzi opisują bardzo różne sytuacje – od niewiedzy niepalących, lecz wynikającej raczej z ogólnego braku dobrego kontaktu z nimi, a nie z celowego ukrywania, po ostentacyjne obnoszenie się z paleniem: (...) *Ja nigdy nie robiłam z tym żadnych tajemnic – myślę, że wręcz zachowywaliśmy się raczej ostentacyjnie (...).* *Myśmy się starali być inni, dokładaliśmy wszelkich sił*” (A.K. 10.6 – 11.3). Nie wynika stąd, by badani przywiązywali szczególną wagę do ukrywania swego palenia przed rówieśnikami.

Podobnie jest na uczelniach. Ci z informatorów, którzy obecnie studiują lub skończyli wyższe uczelnie, nigdy nie mówili o zachowywaniu w tajemnicy swego zwyczaju. We wszystkich przypadkach przynajmniej część kolegów z uczelni wiedziała o paleniu; zresztą z rzadka tylko palacze byli osamotnieni – przeważnie część osób z ich roku także paliła. Na różnych uczelniach i na różnych kierunkach studiów wyglądało to w rozmaity sposób – zdarzało się, że występowały tu dość jaskrawe kontrasty. Jeden z informatorów mówił, że na jego roku większość osób to przynajmniej okazjonalni palacze, a marihuana jest przeważnie obecna na wspólnych zabawach: *Tak na imprezach to większość roku pali – na jednej imprezie to joint szedł prawie w kółko i nikt nie odmawiał* (R.F. 19.2), jeśli zaś są tam osoby, które same nie palą, to traktują palenie jako rzecz całkiem normalną. Jego kolega, studiujący na innym kierunku tego samego wydziału, jest jedynym palaczem na roku – gdy kilku znajomych ze studiów dowiedziało się o tym, że pali, skończyło się to w ten sposób, że uznawany jest przez nich za narkomana i spotyka się ze złośliwymi i niechętnymi reakcjami: *Z jednym koleśm zacząłem rozmawiać, ale doszedłem do*

wniosku, że to nie ma sensu, bo był strasznie taki zaślepiony. Uważał, że ja źle myślę: „alkohol jest dobry, ale narkotyki są złe, ja jestem głupi, zachowuję się jak dziecko, jestem na studiach a bawię się w takie rzeczy, w jakie bawią się tylko ci, co są już degeneratami”. Takie głupie teksty, jak się rozmawia: „Jak tam, ćpunek?” (...), „I co tam, przyćpałeś sobie już?” (R.G. 19.5-7).

Przytoczyłem te dwa przykłady, gdyż świadczą one o tym, jak bardzo zróżnicowany może być stosunek do palenia nawet w obrębie jednego środowiska, wśród ludzi, którzy studiują w tym samym budynku i mijają się na korytarzach: na jednym kierunku palenie jest tak powszechne, że jest niemal normą społeczną, nieodłącznym elementem studenckiej zabawy, podczas gdy na drugim jest dewiacją, która wywołuje aktywną niechęć otoczenia.

W większym stopniu, niż przed rówieśnikami, zachowywano tajemnicę przed gronem pedagogicznym, choć tu również nie było jednorodności. Jedni musieli uważać, gdyż w ich szkole zdarzały się przypadki usuwania uczniów za używanie narkotyków, inni mogli sobie pozwolić na nieco niniejsze środki ostrożności, bowiem zdemaskowanie kończyło się jedynie np. wizytą u psychologa. Informatorzy najczęściej mówili o daleko posuniętej ignorancji nauczycieli, którzy nie rozpoznawali charakterystycznego zapachu dymu i nic nie wiedzieli o objawach, więc nawet jeżeli zachowanie palaczy mogło się wydawać dziwne, to nie przypisywano go paleniu marihuany: *Nagle ja wstaję i sobie chodzę, ręce w bok i sobie macham jak skrzydłami, zaczynam sobie gwizdać, i skończyło się na tym, że walnąłem głową o kant tablicy. Wszyscy oczywiście spojrzenie na mnie. (...) Myślę, że nie wiedzieli, o co chodzi, generalnie dla nich byłem zawsze taki trochę stuknięty, wiesz (...), jakieś dziwne kolczyki, zielone włosy, co było strasznym wtedy szokiem, więc oni zawsze, że jestem pieprznięty (...). Wtedy oni nie mieli o tym [o marihuanie] jakiegokolwiek pojęcia* (S.K. 11.1-4). Łatwość ukrywania się wynikała przypuszczalnie ze stereotypu narkomana, ukształtowanego w latach 80-tych, na podstawie objawów uzależnienia od „kompotu”: (...) *ludzie nie mówili wtedy dużo o ganji. O narkomanach – tak, dużo się mówiło, ale to byli ludzie, którzy dawali sobie w żyłę, a my nie pasowaliśmy do tego wizerunku* (T.B. 9.5). Ciekawie mówi o tym inny informator: *Bycie „naćpanym” to jest trochę psychologiczne: spuszczasz głowę, masz jakieś oczy zamglone, bredzisz coś – natomiast kiedy nagle wykazujesz się elokwencją, jesteś (...) „au courant”, to w czym problem w ogóle?* (R.B. 12.5).

Oto, jak przedstawiają się stosunki badanych z rodziną, przede wszystkim z rodzicami. Niemal wszyscy informatorzy przeszli przez etap ukrywania palenia przed rodzicami – wyjątkami są dwoje, których rodzice sami mieli wcześniej styczność z marihuaną – przy czym w momencie prowadzenia wywiadów tylko trzech respondentów twierdziło, że rodzice nie wiedzą o ich paleniu, dwoje zaś nie było pewnych co do tego: podejrzewali, że rodzice mogą coś wiedzieć, lecz nigdy nie było rozmów na ten temat. Rodzice pozostałych badanych wiedzieli o ich paleniu, przy czym połowa dowiedziała się przez przypadek, na skutek „wpadki” (przeczytanie pamiętnika ze wzmiankami o marihuanie, odkrycie potajemnie przyniesionych do domu roślin itp.), a połowa badanych sama powiedziała o tym rodzicom. Początkową reakcją była przeważnie panika; informatorzy usiłowali rodziców przekonywać i tłumaczyć im, że nie ma się o co bać. W większości przypadków udało się przynajmniej w pewnym stopniu uspokoić rodziców, szczególnie, jeśli widzieli oni, że mimo palenia ich dziecko nie ma kłopotów w szkole czy na uczelni: *Była jakaś tam lekka panika, ale to się skończyło na jakichś argumentacjach, i tyle. W końcu jakoś doszliśmy do zgody. Wytłumaczyłem im, o co w tym wszystkim chodzi* (D.M. 12.6), *Nerwy były wtedy, gdy były złe stopnie, to już była afera, że trzeba tam poprawić coś. Na ogół były piątki – było w porządku* (E.L. 26.3).

Ogólnie rzecz biorąc, reakcje rodziców oscylowały od akceptacji (w kilku przypadkach zdarzyło się nawet, że rodzice dawali się namówić na spróbowanie marihuany) i zaufania, że dziecko „wie, co robi”, przez ukryty niepokój i unikanie drażliwego tematu, po jawną

niechęć i zwalczanie palenia (zabierania znalezionej marihuany itp.). Interesujący jest fakt, że wielu badanych (7 osób) zdecydowało się samemu powiedzieć o tym rodzicom, uznając, że nie ma czego kryć: *Jak zacząłem pracować, chyba w wieku 20 lat, i zacząłem stanowić o sobie – nie sądziłem, że powinienem przed nimi to ukrywać* (T.B. 7.7), lub wręcz, że trzeba samemu dawać świadectwo głoszonym poglądom: *Zmarihuaną to jest tak, że ona jest u nas kulturowo nie zaakceptowana. Bo z wódką to jest tak, że (...) jak koleś się napierdoli codziennie i bije później żonę po nocy i dzieciaki, to jest OK. Ale jeżeli ktoś sobie pali marihuanę, to do tej pory spotykam opinie, że od marihuany się można od drugiego razu uzależnić (...) i że to się wstrzykuje w żyły (...). Myślę, że trzeba tą barierę w społeczeństwie przełamać, a to trzeba dowody dawać. (...) W mojej pracy też wiedzą, że palę* (S.K. 14.2).

Przejdźmy więc do kwestii zachowywania tajemnicy w miejscu pracy. Jak wynika z badań, także i tu występuje cała różnorodność zachowań i reakcji: od całkowitego rozdzielania pracy i palenia, co wynika bądź z lęku przed zdemaskowaniem bądź z przyczyn „technicznych” (znajdowanie się pod wpływem marihuany utrudnia niektórym informatorom wykonywanie obowiązków zawodowych), przez palenie w tajemnicy przed szefostwem lub klientami, po jawne palenie w pracy, możliwe głównie w przypadkach, gdy badani pracują w „alternatywnym” środowisku (np. barmanka w młodzieżowym pubie) lub wykonują wolne zawody (np. muzyk lub realizator dźwięku): *Ja się staram zawsze pokazać, że jestem profesjonalistą, że jeżeli się za coś zabieram to w pełni wiem, o co mi chodzi (...). Jestem w stanie dobrze swoją pracę wykonać i tylko to mnie interesuje – chcąc, to niech se osądzają, i tyle* (R.B. 22.4).

Zaznaczmy, że zgodnie z tym, co ustalił Becker, nawet palacze, którzy utrzymują tajemnicę przed otoczeniem, mogą sobie spokojnie pozwolić na palenie „pod nosem” niepalących, jeśli tylko przekonają się, że ich stan nie jest widoczny. Tylko kilku informatorów ściśle przestrzegało zasady, by będąc pod wpływem marihuany nie kontaktować się z rodzicami, jeszcze mniej nigdy nie paliło w szkole. Przekonanie się o tym, że „nie widać” następowało najczęściej samorzutnie: *Przychodziłem upalony i wydawało mi się, że wszystko strasznie widać, że hałasuję w kuchni, że w rozmowach jakieś głupie teksty puszczam – wydawało mi się, że widać (...), a z ich [rodziców] reakcji nie wynikało, że oni coś widzą. No i teraz już luz: wiem, że pc prostu nie widać* (A.B. 17.3). Inny informator mówi, że w razie czego zawsze może przypisać „winę” alkoholowi: (...) *jeśli już, to piwko. Nie ukrywam przed nimi, że lubię piwo itd. Jakby wszystko idzie na karb piwa, nawet jeżeli coś nie tak jest (...). Bo kto w tym kraju nie pije piwka i nie przychodzi czasem nawiany do domu?* (D.G. 19.5 – 21.1). Niektórym informatorom stan swój było tym łatwiej ukryć, że, jak twierdzili, marihuana poprawia ich kontakt z ludźmi – z rodzicami, w szkole czy z klientami w pracy: *Bardzo często po grassie chce mi się gadać [z rodzicami], jakby nawiązuję z nimi inny kontakt, taki bardziej przyjacielski* (T.B. 10.5), *Nawet mi się lepiej rozmawia, jak jestem upalony, z osobami „drętymi” (...), z którymi nie jest mi miło rozmawiać, które wiem, że nie są w stosunku do mnie szczerze (...). Po upaleniu taki dystans do nich biorę, lepiej mi się rozmawia, bardziej jestem taki rozluźniony* (S.K. 15.5 – 16.1), *Jak trzeba było zabłysnąć jakimiś z głowy opisami przyrody, no to w ogóle po ganji rewelacja, aż za bardzo. Po ganji mam takie zdolności aktorskie, że mogę wszystko wymyślić* (R.B. 11.7). Jeżeli chodzi o ukrycie widocznego, fizycznego objawu palenia – zaczerwienionych oczu – to większość badanych liczyła tu na ignorancję otoczenia, kilka zaś osób stosowało krople do oczu, zwężające naczynia krwionośne. Podsumowując, stwierdzić można, że zgodnie z ustaleniami Beckera rzeczywiście można swobodnie kontaktować się pod wpływem marihuany z niewtajemniczonymi, gdyż mają oni małe szansę zorientować się, że ich rozmówca palił marihuanę, jeśli nie mają wystarczającej wiedzy w tej dziedzinie lub jeśli nie znają go dobrze, a nawet jeśli są to bliskie osoby (np. rodzice), to jest to dość łatwe do ukrycia. Różnica w stosunku do tego, co pisał na ten temat Becker, jest o wiele mniejsza potrzeba takiego ukrywania się.

Mówiąc językiem naszej teorii, siła normy zakazującej palenia marihuany jest dziś u nas o wiele mniejsza, do tego stopnia, że w niektórych, i to wcale nie kontrkulturowych środowiskach (np. na niektórych kierunkach studiów) palenie marihuany stanowi bardziej normę niż jej łamanie. Wciąż jednak szeroki wachlarz reakcji, z jakimi spotykają się palacze, świadczy o dość dużym zróżnicowaniu społeczeństwa względem analizowanej tu normy, przy czym podziały przebiegają nie tylko na linii starsi – młodzież, ale także wewnątrz poszczególnych środowisk. Analizując wywiady i wyciągając wnioski trzeba jednak pamiętać, że badamy tu reakcję społeczną na łamanie pewnej normy z perspektywy „kandydatów do naznaczenia”. Być może, gdyby oprzeć się na reakcji ujawnianej lub deklarowanej przez „społeczną widownię”, uzyskalibyśmy nieco inny obraz społecznego funkcjonowania tej normy, co można wywnioskować z wypowiedzi jednej z informaterek na temat sytuacji na jej uczelni: (...) *wszyscy byli dla nas bardzo mili zawsze i nie było żadnych afer, wszystko było OK. (...) To raczej potem się okazało: „ci narkomani...”* (E.L. 25.4). Dotykamy tu, nawiasem mówiąc, ciekawego problemu teoretycznego: czy, aby mówić o naznaczeniu, konieczne jest odczucie go przez „dewianta”, czy też wystarczy, że reakcja pojawi się wśród „społecznej widowni”? Czy taka „szeptana” reakcja wystarczy, by uznać, że przypięta została dewiacyjna etykieta, skoro obiekt tejże może nie mieć o tym pojęcia?

W oparciu o wyniki badań oraz o wcześniejszą wiedzę na temat specyfiki zażywania narkotyków w Polsce, omówionej w rozdziale III, można ponadto zaryzykować twierdzenie, że palacze marihuany niejako wymknęli się społecznej definicji narkomanów czy „ćpunów”, choć sama marihuana traktowana była na równi z innymi narkotykami, o czym świadczą artykuły w mass-mediach oraz część literatury naukowej. W okresie, gdy dominowało używanie przetworów maku, marihuana była co prawda przedstawiana w jednym rzędzie z nimi, lecz jako, że objawy jej palenia są całkiem odmienne od skutków wstrzykiwania „kompotu”, palacze mogli łatwo uniknąć naznaczającej etykiety, tym bardziej, że wiedza rodziców czy nauczycieli kształtowana była przez ten właśnie stereotyp: znakami rozpoznawczymi narkomana były pokłute ręce i półprzymknięte spojrzenie, natomiast objawy palenia – i tak trudne do zauważenia – nie były w ogóle znane.¹² Z kolei na przestrzeni kilku ostatnich lat palenie marihuany tak się upowszechniło, że w coraz szerszych kręgach marihuana jest umiejscawiana znacznie bliżej np. piwa, niż narkotyków, a palacz w ogóle nie jest postrzegany jako osoba łamiąca jakakolwiek normę.

C. NEUTRALIZACJA STEREOTYPOWYCH PRZEKONAŃ

Trudności z zaopatrywaniem się w nielegalny środek i konieczność zachowania tajemnicy przed niepalącym otoczeniem to nie jedyne bariery, jakie napotyka regularny palacz. Ma on bowiem poza tym do czynienia ze społecznymi stereotypami, które negatywnie charakteryzują użytkownika marihuany, a przed którymi musi on się bronić, jeśli chce zachować pozytywny obraz samego siebie i dalej palić w poczuciu wewnętrznego spokoju.

a. uzależnienie: palacz marihuany to narkoman

Pierwszym ze stereotypów, które zmuszeni są neutralizować użytkownicy marihuany, jest przekonanie, że regularny palacz to narkoman, osoba uzależniona. Z taką definicją samego siebie musieli walczyć informatorzy Beckera, lecz – jak uzasadniałem w rozdziale IV – także w Polsce stereotyp ten dotyczy palaczy.

Spośród badanych, trzy osoby przyznały, że były uzależnione od marihuany, byli to jednak użytkownicy, którzy okres częstego palenia mają już za sobą i w momencie prowadzenia badań palili jedynie okazjonalnie lub całkiem zaprzestali. Tylko jedna obecnie paląca osoba przyznała, że rzeczywiście jest uzależniona. Może to sugerować, że do bycia uzależnionym łatwiej przyznać się z perspektywy czasu, gdy jest to kwestia już rozwiązana i miniona.

O wiele częściej – w ośmiu przypadkach – pojawia się pogląd, że od marihuany nie można się uzależnić fizycznie. Niektórzy badani porównywali marihuanę do alkoholu lub papierosów, twierdząc, że od tych środków znacznie łatwiej się uzależnić, i jeśli mają z czymkolwiek problemy, to właśnie z rzuceniem palenia tytoniu lub z nadmiernym spożyciem alkoholu, a nie z marihuaną. Jeden z informatorów stwierdził, że jest uzależniony od amfetaminy i heroiny, ale nie od marihuany (był codziennym użytkownikiem każdego z tych środków).

Trzy osoby stwierdziły, że owszem, są uzależnione, ale tylko psychicznie, przy czym dwie z nich bagatelizowały to uzależnienie, twierdząc, że tak samo można się uzależnić od wielu innych rzeczy, chociażby od słodyczy, i rzecz polega raczej na tym, że „bardzo lubią”, a nie, że „muszą” zapalić. Kilka kolejnych osób negowało możliwość uzależnienia się, twierdząc na przykład, że jest to zależność, a nie uzależnienie, że można się uzależnić od zaciągania się dymem, ale nie od marihuany, lub też, o czym wspominałem przed chwilą, porównywały uzależnienie od marihuany z przyzwyczajeniem do słodyczy lub innych rzeczy, ogólnie uznawanych za niegroźne: *Myszę, że możesz się uzależnić od ganji tylko w takim stopniu, w jakim się człowiek może od czekolady uzależnić, albo od słodyczy – że jak przechodzi koło ciastkarni to on tak lubi ciastka, że nie może się oprzeć* (SM. 18.5). Na poparcie faktu nie bycia uzależnionym wielu informatorów przytacza argumenty typu „kiedy nie mam, to nie szukam” lub „nie ciągnie mnie” (8 osób), których praktycznym uzasadnieniem są przerwy w paleniu. Tzw. „robienie sobie przerw” warto jest omówienia, gdyż stanowi istotny element swoistego folkloru użytkowników marihuany. Z „przerwami” zetknął się prawdopodobnie każdy, kto miał do czynienia z regularnymi palaczami: „zrobienie sobie przerwy” jest dowodem, że nie jest się uzależnionym i nie pali się za dużo, daje poczucie panowania nad paleniem, nawet jeśli przerwa jest bardziej przypadkowa niż zamierzona (związana np. z wakacyjnym wyjazdem i brakiem dostępu). Częstokroć wystarczy nawet nie przerwa, lecz iluzoryczne przekonanie, że w każdej chwili można ją zrobić, przy czym postanowienie to bywa wielokrotnie odkładane na później. Jak mówi jeden z informatorów: *Pamiętam, że moim rekordem dotychczasowym były trzy miesiące bez jointa – chodziłem i się przechwalałem znajomym. To jest taki jakby społeczny aspekt przypalania, że po prostu wszyscy sobie robią od czasu do czasu przerwy i są z nich bardzo dumni: „stary, ja to pół roku nie przypalałem”, „a ja to rok nie przypalałem”* (B.L. 24.2).

Spośród badanych o przerwach mówiło aż czternaścioro, przy czym warto zaznaczyć, że wspominali oni o tym z własnej inicjatywy; przypuszczalnie, gdyby konkretnie zapytać o „robienie sobie przerw”, motyw ten pojawiałby się jeszcze częściej. W sześciu przypadkach były to przerwy samorzutne: *To było w czasie wakacji przeważnie, właśnie gdzieś wyjeżdżałem po prostu, nie myślałem o tym, żeby coś [do palenia] załatwić, coś w tym stylu; po prostu nie myślałem o tym* (A.D. 7.6); w pięciu -zamierzone i postanowione: *Powiedziałem, że nie będę palił, ale nie określiłem, na ile. Wytrzymałem trzy tygodnie, choć kiedy postanawiałem sobie to, to nie było dla mnie wyobrażalne, że wytrzymam tydzień bez palenia* (R.F. 14.1); w trzech przypadkach -jedynie deklarowane: *Uważam, że palenie będzie w tym momencie dla mnie nałogiem, kiedy nie będę mógł się bez tego obyć. A ja mogę sobie powiedzieć, że nie będę palił przez pół roku, i nie będę. [– A robiłeś tak?] – No, nie robiłem...* (R.G. 16.4-5).

Ciekawe jest, że badani różnie umiejscawiają „próg uzależnienia” -moment, w którym można już mówić o nałogu palenia. Może nim być np. poszukiwanie marihuany, gdy się jej nie ma, odczuwanie przymusu palenia, posiadanie zawsze przy sobie, kupowanie, palenie non-stop, przesadzanie z paleniem, palenie po to, żeby się „nawalić” (upalić niemal do nieprzytomności), lub też indywidualne odczucie, że pali się za dużo albo, że marihuana przeszkadza w życiu. Charakterystyczne jest przy tym, że badani umiejscawiają ten „próg” o stopień wyżej, niż ten, na którym sami się znajdują: *Generalnie, ja za narkomanów uważam wszystkich ludzi, którzy są uzależnieni od czegośkolwiek (...) chodzi*

mi o ludzi, którzy przesadzają, że wszystkim (...). Oni robią to [palą] tylko po to, żeby się najebać; dlatego przesadzają, że robią to tylko po to i cały czas, non-stop (A.D. 19.4); [Przesadza się] od wtedy, jak się złapiesz na tym, że nie możesz bez tego żyć. Jeśli poczujesz coś takiego: „wydaje mi się, że za dużo palę” -wtedy warto zrobić sobie przerwę (N.R. 20.7 – 21.1); Jak nie mam nic do palenia to nie jest to dla mnie problemem (A.B. 13.7); Od innych rzeczy [heroiny i amfetaminy] jestem uzależniony, ale od trawy? (...) Trawa nie przeszkadza mi w życiu (S.L. 16.1-4); Jeżeli ktoś nie jest uzależniony w ten sposób – uzależniony, mówię: uzależniony od posiadania – że np. kupuje... Tak więc, wśród technik neutralizacji dotyczących uzależnienia od marihuany, na plan pierwszy wysuwają się: całkowita negacja możliwości uzależnienia, bagatelizowanie uzależnienia przez definiowanie go jako niegroźnego przyzwyczajenia, oraz ocena swego palenia jako „bezpiecznego” względem momentu – bardzo różnie definiowanego – w którym staje się ono ryzykowne i nabiera charakteru nałogu. „Zrobienie sobie przerwy” lub choćby przekonanie o takiej możliwości utwierdza palacza w przekonaniu, że uzależnienie mu nie grozi.

b. palenie marihuany to wstęp do twardych narkotyków

Przed przejściem od marihuany do twardych narkotyków badanych Howarda Beckera chroniła, w ich subiektywnym mniemaniu, sama świadomość takiego niebezpieczeństwa. Inaczej rzecz przedstawia się wśród moich informatorów: dominuje tu raczej negacja „teorii eskalacji” w myśl której palenie marihuany jest pierwszym krokiem do używania mocniejszych środków.

Zaledwie dwie osoby zdecydowanie zgodziły się z twierdzeniem, że palenie marihuany bezpośrednio niesie ze sobą takie zagrożenie. Kilka kolejnych osób stwierdziło, że owszem, może tak być, ale przyczyna tego nie jest sama marihuana, lecz indywidualne uwarunkowania jej użytkownika, np. słabość i kompleksy lub nieusatysfakcjonowanie doznaniem, jakie daje palenie marihuany i poszukiwanie odmiennych wrażeń. Badani, którzy wyrażali taki pogląd, twierdzili, że sami nie są zagrożeni, gdyż przyczyną ich palenia nie są problemy lub kompleksy, od których chcą uciec, oraz, że marihuana daje im właśnie ten rodzaj doznań, jakiego poszukują, nie ma więc powodu, by szukali czegoś innego: *Po cholere? Nie, nie, zupełnie niepotrzebne. Nie wiem, po co mi w ogóle. Ludzie, którzy biorą wszystkie środki tego typu, począwszy od marihuany a skończywszy na „kompcie”, to traktują to ucieczkowo (...) – ale mnie to zupełnie... nie miałem takich motywacji* (D.M. 12.1-2).

Słuszność teorii eskalacji została zdecydowanie zanegowana przez siedem osób, a trzy kolejne stwierdziły, że marihuana prowadzi do twardych narkotyków w taki sam sposób, w jaki np. picie piwa prowadzi do alkoholizmu: *Bo wiesz, tak samo jak np. powiesz, że koleś, który pije piwo, za parę lat będzie pił denaturat – a tak nie jest przecież, nie?* (W.O. 11.3). Generalnie wśród badanych dominuje przekonanie, że nie można mówić o związku palenia marihuany z zażywaniem twardych środków, gdyż „trawa i ciężkie narkotyki to zupełnie różne rzeczy”.

Aby nie poprzestawać na teoretycznych deklaracjach, zapytałem badanych o ich kontakty z innymi substancjami psychoaktywnymi. Z analizy odpowiedzi na to pytanie płyną bardzo interesujące wnioski.

Aż 14 badanych miało kontakt z grzybami halucynogennymi (chodzi o rosnące na podgórskich łąkach grzyby, zawierające psylocybiny, zaliczaną do środków psychodelicznych – halucynogennych). Jeszcze więcej – 16 osób – próbowało innego psychodeliku, LSD. Łącznie, z grzybami lub z LSD miało do czynienia aż 19 osób, a więc tylko troje badanych nigdy nie eksperymentowało z tymi środkami!

Ośmioro badanych miało kontakt z amfetaminą (środek psychostymulujący): jedna osoba to nałogowy amfetaminista, a siedem pozostałych ma za sobą jednorazowe lub sporadyczne doświadczenia. Nieco mniej – sześć osób – eksperymentowało z heroiną, opium i innymi przetworami maku. Dla pięciu osób nieobce są „prochy” – środki

farmakologiczne, nadużywane w celu odurzenia się (od pospolitego aviomarinu po środki uspokajające i psychotropowe, dostępne na specjalne recepty), tyle samo próbowało wdychania rozpuszczalników lotnych (tri, butapren), a jednorazowo pojawiały się relacje z eksperymentów z innymi środkami: kokainą, ketaminą, ecstasą, bieluniem, crackiem i smart-drinkami (pobudzającymi napojami na bazie środków pochodzenia roślinnego, dostępnymi w legalnym obrocie na Zachodzie).

Wydawać się więc może, że regularni palacze marihuany masowo zażywają LSD i grzyby, chętnie próbują amfetaminy oraz przetworów maku, nie stronią od „wączania kleju” i faszerowania się psychotropami, a w miarę możliwości eksperymentują z innymi, trudniej dostępnymi substancjami. Wniosek taki byłby jednak zbyt pochopny, a nawet zafałszowany, gdyż wypływa jedynie z „wypunktowania” środków, z jakimi mieli do czynienia badani. Okazuje się, że postać rzeczy zmienia się całkowicie, jeśli uwzględnimy także wrażenia badanych z tych eksperymentów oraz dokonywaną przez nich ocenę poszczególnych substancji.

Stosunek informatorów do psychedelików – grzybów i LSD – jest niemal jednoznacznie pozytywny. Tylko w dwóch przypadkach pojawiła się negatywna ocena LSD – w pozostałych, oba środki były charakteryzowane pozytywnie, nawet wtedy, gdy przeżycia pod ich wpływem trudno było zaliczyć do przyjemnych, wynikało to bowiem, zdaniem respondentów, nie z natury tych środków, lecz z ich własnej winy (zbyt duża dawka, niewłaściwe okoliczności zażycia itp.) a ponadto wrażenia takie bywały cenne poznawczo: *Trzy razy miałem bardzo dobre doświadczenia, a raz bardzo złe, tzn. znalazłem się w szpitalu, bo znalazłem się na skraju nicości, a moje mechanizmy obronne, to ego, które walczy o śmierć i życie, o przetrwanie, bo w tym momencie znika, zaczęło produkować takie nastroje apokaliptyczne, że wraz z zanikiem mojego ośrodka kierowniczego, jakim jest ego, znikną ja sam. (...) No i znalazłem się w szpitalu, ale po nocy spędzonej w szpitalu wyszedłem bardzo zadowolony z siebie, co zadziwiło pana psychiatrę – stwierdził, że to bardzo dziwne, żeby tak człowiek się zachowywał; że powinienem być zadowolony, a ja jestem bardzo zadowolony* (D.M. 9.5 – 10.1). Mówiąc o grzybach i LSD badani używali sformułowań takich, jak np. „podchodzę do tego z szacunkiem”, „pomoc w rozwoju”, „otwierają na świętą rzecz”, „grzyby to rośliny, nie narkotyki”, „to dla mnie święto”. Trzeba tu zaznaczyć, że używanie tych środków ma inny charakter niż marihuany – o ile badane osoby marihuanę pala bardzo często, nawet codziennie, to eksperymenty z grzybami i LSD mają charakter sporadyczny – większość badanych mówiła o kilku próbach – lub co najwyżej okazjonalny, np. raz na kilka tygodni. Wiele osób deklarowało dalsze ich używanie: *Uważam, że raz w życiu to każdy powinien, a tak raz na rok albo na dwa lata to się przydaje. Ja ostatni raz chyba ze dwa lata temu jadłem, i tak planuję w te wakacje może. No bo to zawsze coś się zmienia jednak* (S.M. 20.5).

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia, kiedy mowa jest o opiatkach. Poza jednym badanym, nałogowym heroinistą, wszystkie pięć osób, które próbowały przetworów maku, oceniło swoje doświadczenia jako złe i nieprzyjemne lub jako nietwórcze, nieciekawe i bezwartościowe. Były to próby jednorazowe, a w jednym przypadku – kilkakrotne; nikt nie deklarował chęci kolejnych eksperymentów. Zarówno badani, którzy próbowali tych środków, jak i ci, którzy nigdy tego nie robili, wyrażali się o nich negatywnie: „kanał, chemia, uzależnienie”, „chemiczne, fałszywe”, „sprowadzenie siebie do poziomu ameby”, „nieproduktywne, ucieczkowe, nietwórcze”, „statyczne, bezwartościowe”; kilkoro badanych mówiło ponadto o odrazie do igły, strzykawki i „kłucia się”.

Wśród ośmiorga respondentów, którzy mieli do czynienia z amfetaminą, jest jeden amfetaminista (ten sam, który uzależniony jest od heroiny), jeden, który okazjonalnie zażywa amfetaminę dla celów „praktycznych” (nocna nauka itp.), ale, jak twierdzi, „generalnie mu nie odpowiada”. Pozostałe sześć osób dokonywało jedno- lub kilkakrotnych prób, negatywnie ocenianych i nie ponawianych. Ocena amfetaminy w

oczach badanych – zarówno tych, którzy jej próbowali, jak i tych, którzy nie chcieli tego robić – jest, podobnie jak opiatów, zdecydowanie ujemna: „chemia, toksyczne, nefajne”, „biały proszek, obrzydliwe”, „zły zjazd”, „wyżera mózg”.

Jeśli zaś chodzi o środki psychotropowe i rozpuszczalniki, to były one używane przed pierwszymi kontaktami z marihuana, a następnie całkowicie zarzucone (jedna tylko regularna palaczka deklarowała dalsze zamiłowanie do okresowego „wączania kleju”) – wydaje się więc, że można używanie takich specyfików potraktować jako wyraz młodzieńczego zainteresowania „odmiennymi stanami świadomości” w warunkach braku dostępu do innych środków.

Jeśli by pokusić się o stworzenie modelu używania środków psychoaktywnych na przestrzeni czasu w badanej grupie, to wyglądałoby następująco: eksperymenty z rozpuszczalnikiem lub psychotropami (u ok. 1/3 badanych) – próby z marihuaną – regularne palenie marihuany i eksperymenty z psychodelikami – ogólne negatywne nastawienie do twardych narkotyków, a w ok. 1/3 przypadków, negatywnie oceniane eksperymenty z nimi.

Pomocniczo i uzupełniająco można potraktować relacje badanych o innych regularnych palaczach. Większość informatorów zna jedną lub kilka osób, które przeszły od marihuany do twardych narkotyków, jednak badani często komentują to tak, że nie można mówić, iż to marihuana popchnęła ich do innych środków, lecz, że były to osoby, które od początku poszukiwały określonego rodzaju wrażeń, a marihuana była tylko etapem na tej drodze, gdyż nie o ten rodzaj doznań im chodziło: No, na pewno takich wielu jest, tylko mi się wydaje, że oni, prawdę mówiąc, nie to, że zaczynali od trawy, tylko oni szukali tego, co znaleźli na końcu, czyli szukali tego roztworu, bezpiecznego dla siebie, żeby tam zawisnąć, czy ogólnie, żeby się odizolować od tego świata (R.B. 20.1). Jak twierdzą respondenci, z reguły ich znajomi regularni palacze pozostają przy marihuanie i psychodelikach.

Podsumujmy te część rozważań. Badani palacze dokonują całkowitego rozdziału marihuany i innych środków psychodelicznych od twardych narkotyków, takich jak amfetamina czy opiaty. Rozróżnienie to dokonywane jest zarówno na płaszczyźnie doznań – wzrost wrażliwości percepcyjnej i jakościowa zmiana w odbiorze świata, typowe dla marihuany i psychodelików, przeciwstawiane są otępieniu powodowanemu przez opiaty oraz mniej lub bardziej produktywnemu, ale mało interesującemu pobudzeniu wskutek zażycia amfetaminy – jak i na płaszczyźnie natury tych środków: marihuana i psychodeliki są „naturalne” i „czyste” (kilkoro badanych stwierdziło, że nie są to w ogóle narkotyki), natomiast amfetamina i heroina – „chemiczne” i „toksyczne”. (Wrogość wobec narkotycznej chemii ujawniła się zresztą już wcześniej, gdy analizowaliśmy sposoby zaopatrywania się w marihuanę – jak pamiętamy, wielu badanych niechętnie odnosiło się do marihuany i haszyszu, sprowadzanych z zagranicy, gdyż rzekomo zawierają one szkodliwe, chemiczne domieszki. Ciekawy jest w tym świetle status LSD – mimo, że jest to środek w stu procentach syntetyczny, to oceniany jest pozytywnie i umiejscawiany w pobliżu całkowicie naturalnych grzybów, a w opozycji do amfetaminy i heroiny.)

Dominującą neutralizacją poglądu, w myśl którego używanie marihuany prowadzi do twardych narkotyków, jest wyżej scharakteryzowane rozdzielanie tych środków i przekonanie, że doznania, jakie niosą twarde narkotyki, są bezwartościowe, a one same toksyczne, szkodliwe i odrażające, więc nie warto ich używać – nie dlatego nawet, że jest to niebezpieczne, lecz dlatego, że bezsensowne. Warto tu poczynić jeszcze jedno spostrzeżenie: okazuje się, że niekoniecznie przyjemność, ale też wartościowość doznań jest kryterium oceny narkotycznych wrażeń: wspominałem już o nieprzyjemnych, a mimo to dodatnio ocenianych doświadczeniach z psychodelikami, z kolei wśród prób z heroiną były takie, które co prawda były przyjemne, ale zostały poniechane jako nic ze sobą nie niosące.

Czy można odnieść przedstawione powyżej wnioski do „teorii eskalacji”? Tak – jeśli potraktować ją jako teorię w ścisłym znaczeniu tego słowa, bowiem badani tu palacze stanowią żywy przykład tego, że wieloletnie, regularne palenie wcale nie musi prowadzić do twardych narkotyków, a wręcz może być połączone z awersją do nich. Nie – jeżeli przyjąć, że „teoria eskalacji” ma charakter bardziej statystyczny i mówi jedynie o pewnej istotnej tendencji w sposobie używania narkotyków, gdyż należy pamiętać, że badana tu próba nie jest reprezentatywna. Można za to rzec, że stanowi ona lustrzane odbicie tej grupy użytkowników narkotyków, która kończy swą „karierę” w poradniach odwykowych i ośrodkach rehabilitacyjnych. Wizja typowego użytkownika narkotyków, kreowana często w wypowiedziach pracowników tych instytucji, a zakładająca nieuchronność przejścia od marihuany do twardych środków, jest z pewnością zbyt jednostronna, wynika bowiem z postrzegania ogółu użytkowników narkotyków z perspektywy osób już uzależnionych. Podobnym, tyle, że „odwróconym” błędem, byłoby twierdzenie, że regularne palenie marihuany nie prowadzi – a jeśli już, to sporadycznie – do „twardych” narkotyków, ferowane na podstawie analizy tak niewielkiej i niereprezentatywnej próby.

Celem niniejszych badań nie jest jednak „obiektywna” weryfikacja „teorii eskalacji”, lecz jedynie spojrzenie na nią oczyma regularnych palaczy i analiza technik jej neutralizowania. Wynik dociekań – ściśle rozdzielanie dwóch grup środków psychoaktywnych i diametralnie różna ich ocena przez palaczy marihuany – jest interesujący z jeszcze innego względu. Otóż w literaturze tematu rozmaite substancje psychoaktywne najczęściej omawiane są – szczególnie w społecznym aspekcie ich używania – łącznie, po prostu jako „narkotyki” lub „środki uzależniające”. Podobnie, ich użytkownicy traktowani są jako dosyć homogeniczna grupa, dzielona co najwyżej na osoby „uzależnione” i „zagrożone uzależnieniem”. Wyniki badań można uznać za istotny argument na rzecz zmiany takiego podejścia, okazuje się bowiem, że użytkownicy różnych środków stanowią całkiem odrębne środowiska oraz mają inne oczekiwania i zapatrywania: przypuszczalnie między kulturami fajki i strzykawki jest znacznie więcej różnic i kontrastów, niż podobieństw.

c. palenie marihuany to ucieczka od rzeczywistości

Przejdźmy do ostatniego stereotypu, z którym konfrontowani byli badani: palenia marihuany jako ucieczki od rzeczywistości, a więc wyrazu niedostosowania, słabości i nie radzenia sobie w życiu. U Beckera badani neutralizowali takie przekonanie twierdząc, że ich palenie nie ma charakteru ucieczkowego. W niniejszych badaniach reakcje palaczy na taki zarzut prezentują się nieco odmiennie.

Sześć osób przyznało, że rzeczywiście pali po to, aby uciec od rzeczywistości (zagłuszyć problemy, lepiej się poczuć, znieczulić się lub „wyluzować”), natomiast siedmioro badanych stwierdziło coś wręcz przeciwnego: że niemożliwe jest uciec od rzeczywistości przez palenie marihuany, tym bardziej, że środek ten raczej wyostreza jej postrzeganie, nie pozwala więc się od niej oddalić. Jedna z palaczek twierdziła, że po marihuanie raczej wraca do rzeczywistości, niż od niej ucieka, pozostali mówili, że palą w celu pełniejszego postrzegania rzeczywistości i jej nowych, nieznanych aspektów, przeżycia czegoś nowego, co zdecydowanie nie ma charakteru ucieczkowego: *Coś ci powiem: pewnie, jest to ucieczka od rzeczywistości w momencie, kiedy czujesz się w tej rzeczywistości źle. (...) Ale jeśli się czujesz dobrze, to jest to tylko jakby podwyższenie tej dobroci całego otaczającego cię świata, nie?* (N.R. 21.4); *Palilem nie dlatego, że źle się czułem. Chciałem poznać coś nowego i dlatego palilem i brałem wszystkie drogi [narkotyki]. Dla poznania, a nie dla ucieczki* (R.F. 15.6). Dwie osoby mówiły nawet, że marihuana stanowi nie ucieczkę od problemów, lecz pomoc w ich rozwiązywaniu, przez uzyskanie lepszego wglądu lub spojrzenie z dystansu.

Dla niemal połowy badanych – dziewięciu osób – palenie jest nie ucieczką, lecz raczej odskocznią. Z pozoru nie ma może różnicy między jednym a drugim, lecz w świetle wypowiedzi informatorów jest ona zasadnicza. Z ucieczką mielibyśmy do czynienia

wtedy, gdyby palenie stanowiło wyraz nie dawania sobie rady w otaczającym świecie i stanowiłoby „zastępczą” aktywność, w cień której schodzą codzienne obowiązki.

Sytuacja przedstawia się jednak inaczej: badani twierdzą, że normalnie wykonują swoje zadania, a palenie marihuany odbywa się raczej w czasie wolnym po pracy lub szkole, choć niektóre osoby – przede wszystkim te, które zajmują się działalnością twórczą lub artystyczną – palą także przy pracy, twierdząc, że marihuana nie przeszkadza im, a nawet wpływa pozytywnie, np. przy malowaniu obrazów lub realizacji nagrań muzycznych. Nie służy ucieczce, gdyż po prostu nie ma powodu, by uciekać.

W przypadkach osób, które raczej rozdzielają obowiązki i palenie, jest ono rodzajem odpoczynku i odreagowania: (...) *kiedy zapalę jointa, to wiesz, nie zaczynam robić ulotki, tylko się śmieję i z kimś gadam. Nie podobają mi się fragmenty, gdy palę jointa i nagle ktoś przychodzi (...) i coś tam zaczyna gadać o koncertach. (...) Jointy właśnie to są taką rzeczą, która mnie rozładowuje, bo nie przychodzę wieczorem do domu i nie myślę:*

„kurwa, straciliśmy na koncercie trzy miliony, skąd ja wezmę te trzy miliony”. (...) Byłbym starym, zgorzkniałym kolesiem, gdybym cały czas myślał o swojej firmie (D.G. 25.2 – 26.1); Czasami mam takie wątpliwości (...) że to jest ucieczka, tylko tutaj można sobie zadać szereg innych pytań: czy jako człowiek nie akceptujący tej, powiedzmy, formy systemu, czy ja muszę się skazywać na bytowanie w tej rzeczywistości przez 24 godziny na dobę; czy mnie nie wolno np. połowe tego czasu spędzić z bezpiecznym dystansem do tego wszystkiego właśnie, nie? (R.B. 19.3).

Wśród informatorów, którzy tak podchodzą do palenia, są cztery osoby, które ustosunkowują się do zarzutu ucieczki od rzeczywistości w bardzo ciekawy sposób: *podważając... samą rzeczywistość i twierdząc, że nie ma powodu, by uznawać ją za bardziej realną od innych, a tym bardziej za jedyną możliwą: (...) nie wierzę w monorealizm, nie wierzę w jedną rzeczywistość, dlatego nie mogę wierzyć, że jak palę to uciekam. Po prostu jest wiele rzeczywistości... poza tym, jak wiadomo, powiedział to wielki Wittgenstein, „granice języka to granice mojego doświadczenia”. I na tyle na ile możesz sobie coś wyobrazić, na tyle możesz tego doświadczyć. Więc dlaczego fakt, że egzystuję w społeczeństwie (...) ma być czymś bardziej realnym, niż jakieś inne moje doświadczenia, nie związane z tym stadem? (D.M. 15.4). Podejście takie, choć nietypowe, jest na tyle interesujące, że warto przytoczyć jeszcze jedną wypowiedź: (...) cóż to znaczy: „ucieczka od rzeczywistości”? Rozumiesz, ta rzeczywistość jest równie nierealna, jak ta, która jest w... (...) ja cały czas funkcjonuję w tej rzeczywistości – ja muszę pewne rzeczy załatwić, zarabiam pieniądze, itd., itd., a jednocześnie wiesz, palę marihuane, bo mam taki... cały czas jest taka możliwość, że jestem tu, a jednocześnie jestem jeszcze gdzie indziej. Mam troszeczkę bardziej poszerzoną tą skalę (...) – to mi poszerza możliwości jakby, to nie jest tak, że to mi obcina coś (E.L. 23.1-2a). Można więc ująć to tak, że niektórzy regularni palacze uznają, że nie tyle uciekają od rzeczywistości, co starają się penetrować inne jej aspekty, niedostępne potocznemu oglądowi: *Tu bym się zgodził o tyle, o ile wiesz, chęć zobaczenia świata duchowego możemy nazwać ucieczką od rzeczywistości. Bo istota rzeczy polega na tym, że w każdym człowieku tkwi tęsknota do powrotu do świata duchowego (...) i na różny sposób ta tęsknota jest realizowana: jedni to realizują przez seks, inni przez jazdę szybkimi samochodami, jeszcze inni skaczą na spadochronie, a inni przez palenie marihuany (...) Tak, że to jest generalnie pewna grupa tematów – dążenie do czegoś pozazmysłowego, ponadzmysłowego (R.L. 18.4- 19. la).**

Zakończmy w tym miejscu przegląd „filozoficznych” reakcji na zarzut uciekania od rzeczywistości i podsumujmy: część badanych zgadza się, że palenie jest ucieczką, jednak większość z nich podchodzi do palenia jako do odskoczni od rzeczywistości, w której normalnie funkcjonują, a dla niektórych palenie ma także istotny aspekt poznawczy. Warto dokonać jeszcze jednego spostrzeżenia: u podstaw zarzutu „ucieczki od rzeczywistości” leży ukryte przekonanie, że „ucieczka” taka jest czymś złym, natomiast tkwienie w „rzeczywistości” – dobrym i pożądanym. Wspólny dla wielu respondentów jest

pogląd, że wcale tak nie jest – wręcz przeciwnie, sama rzeczywistość bywa definiowana jako wymagająca oderwania się dla zachowania równowagi psychicznej, zaś penetracja innych jej obszarów nie niesie zagrożenia, jeśli nie odbywa się kosztem „normalnego” funkcjonowania.

Można w tym momencie zapytać, czy badani, wyrażając tego rodzaju przekonania, nawet jeśli czynią to szczerze, nie oszukują samych siebie, „dorabiając ideologię” do palenia i przypisując dosyć wstydliwemu uciekaniu od rzeczywistości bardziej szczytne motywy duchowe czy poznawcze. Kwestią tą moglibyśmy się tu wcale nie zajmować – naszym celem jest przecież właśnie analiza neutralizacji, bez wnikania w to, czy są one „prawdziwe” w klasycznym sensie zgodności z rzeczywistym stanem. Podobnie jednak, jak bezkrytyczna wiara wszelkim wypowiedziom, błędne byłoby także programowe odrzucanie ich wiarygodności, szczególnie, że ? jak pamiętamy z rozdziału III – marihuana oraz silniejsze środki psychodeliczne rzeczywiście mają potencjał powodowania u osoby zażywającej je zwiększonego wglądu w swą psychikę i postrzegania świata w odmienny sposób, i to wzmocniony, a nie przytłumiony. Wykorzystanie tego potencjału może odbywać się na różne sposoby – jak mówi jeden z respondentów, *to jest problem człowieka a nie problem środka* (R.L. 19. Ib). Jeśli dodać do tego naukowo stwierdzony fakt, że psychodeliki, w tym marihuana, wywoływać mogą całą gamę rozmaitych reakcji, a jednym z najważniejszych czynników jest tu nastawienie i oczekiwania osoby je zażywającej, to nie jest niczym niezwykłym, że dla jednych użytkowników marihuana może stanowić ucieczkę, dla drugich – relaks i odprężenie, dla jeszcze innych – eksplorację niedostępnych potocznemu poznaniu obszarów rzeczywistości.

Przytaczając i komentując stosowane przez palaczy marihuany neutralizacje obiegowych, stereotypowych sądów na ich temat, warto na koniec zaznaczyć, że wiele z tych neutralizacji pokrywa się z tym, co wyczytać można w literaturze naukowej lub popularnonaukowej, dodajmy, częstokroć znanej palaczom. Wielu z nich interesowało się bowiem środkami psychoaktywnymi także od strony teoretycznej, wertując ukazujące się wydawnictwa. Niektórzy informatorzy swą wiedzę przewyższali może nie specjalistów w tej dziedzinie, ale z pewnością wielu lekarzy, nie mówiąc o pedagogach czy piszących o narkomanii dziennikarzach.¹³ Czy np. twierdzenie, że od marihuany nie można się uzależnić, jest tylko obroną przed kłopotliwym przyznaniem się do faktu, że samemu jest się uzależnionym, czy też raczej opinią, która znajduje potwierdzenie w naukowych badaniach i która można znaleźć w dostępnej na naszym rynku literaturze? Podobnie z groźbą przejścia od marihuany do twardych narkotyków: czy można tu mówić tylko o neutralizacji tego poglądu przez uznanie własnego działania jako względnie bezpiecznego i nie grożącego przykrymi następstwami, skoro zasadność „teorii eskalacji” podważają także specjaliści zajmujący się narkotykami, a nie tylko palacze marihuany? Z podobnym dylematem zetknęliśmy się także omawiając przed chwilą neutralizację poglądu, że palenie marihuany jest ucieczką od rzeczywistości.

Pragnę jedynie zasygnalizować ten problem i pozostać przy charakterystyce zbioru neutralizacji, jakimi posługują się badani użytkownicy marihuany, nie rozstrzygając powyższych kwestii – próbując odpowiedzieć na te pytania wdarlibyśmy się na tereny zarezerwowane dla medycyny czy psychologii, a celem niniejszego studium jest przecież próba spojrzenia na środowisko palaczy z perspektywy socjologicznej.

Na zakończenie tego rozdziału raz jeszcze porównajmy wyniki badań z ustaleniami Howarda Beckera na temat amerykańskich palaczy marihuany z początku lat 50-tych. Oprócz różnic omawianych w poszczególnych punktach analizy, wyraźnie widoczna jest jeszcze jedna rozbieżność. Czytając opracowanie Beckera można odnieść wrażenie, że badani przez niego palacze stanowili grupę, której członkowie w podobny sposób rozwijali swe motywacje dewiacyjne, a przechodząc do palenia okazjonalnego, a następnie regularnego, napotykali podobne problemy związane z zaopatrywaniem się oraz z koniecznością ukrywania swego zwyczaju przed niepalącym otoczeniem, zaś

negatywne stereotypy i przekonania na swój temat neutralizowali w jednakowy, należący do subkulturowej tradycji sposób. Jawią się więc jako grupa dosyć jednorodna. Trudno powiedzieć, jaka jest tego przyczyna: może to sam badacz w zbyt małym stopniu zróżnicował swą próbę (jak pamiętamy, połowę badanych stanowili tam muzycy rozrywkowi, sami w sobie stanowiący przecież swoista podkulturę; a może – czego też przecież nie można wykluczyć -poprzestał na tym, co wśród palaczy było typowe i powszechne, pomijając to, co rzadkie i niekonwencjonalne, przez co udało mu się uzyskać „gładką”, dobrze prezentującą się charakterystykę środowiska. Unikając posądzania Beckera o zbyt małą wnikliwość i niewystarczającą rzetelność, można przyjąć jeszcze inne wyjaśnienie: jednorodność środowiska mogła wynikać z warunków, jakie panowały w owym czasie w USA, kiedy to palenie marihuany było obłożone klątwą przez prawo i opinię społeczną, a więc, siłą rzeczy, miało „podziemny”, silnie subkulturowy charakter.

Z omawianej tu analizy polskich użytkowników marihuany wyłania się zupełnie inny ich obraz – jako środowiska silnie zróżnicowanego wewnątrz. Jak się przekonaliśmy, „nauka palenia” przebiega na różne sposoby, różne są sposoby zaopatrywania się w marihuanę i problemy z tym związane, wreszcie – co najbardziej interesujące – trudno mówić o wspólnych dla wszystkich palaczy neutralizacjach czy o jednomyślności w innych kwestiach. Być może różnorodność ta ma związek z tym, że w Polsce lat 90-tych nie mamy do czynienia z tak silną „nagonką” na palaczy marihuany, jaka miała miejsce w Stanach Zjednoczonych kilkadziesiąt lat temu; wręcz przeciwnie – toczyła się publiczna dyskusja, w której dały się słyszeć nawet głosy, domagające się jej legalizacji.

Różnorodność występujących w środowisku poglądów (w tym – neutralizacji) jest więc w pewnym stopniu odbiciem zróżnicowania całego społeczeństwa w tej dziedzinie, choćby dlatego, że różne uwarunkowania zewnętrzne, w jakich poruszają się palacze, powodują powstawanie odmiennych przekonań i zachowań.

Spróbujmy więc, na zakończenie tej pracy, pokusić się o próbę szerszej charakterystyki środowiska regularnych użytkowników marihuany w Polsce lat 90-tych.

ROZDZIAŁ VI

POLSCY UŻYTKOWNICY MARIHUANY NA TLE TRANSFORMACJI USTROJOWEJ

Dotychczasowe, przedstawione w poprzednim rozdziale wnioski mogą nieco rozczarowywać: można było przecież z dużą dozą prawdopodobieństwa przewidzieć, że w warunkach dosyć liberalnego prawa, nie karzącego za posiadanie marihuany, zbędne będzie podejmowanie środków ostrożności, albo też, że palenie będzie z większą skrupulatnością ukrywane przed rodzicami niż przed rówieśnikami, szczególnie, że – jak wiemy z cytowanych wcześniej badań ankietowych -marihuana cieszy się wśród młodzieży rosnącą popularnością. O wiele ciekawiej wypadł przegląd stosowanych przez palaczy technik neutralizacji, za pomocą których radzą sobie oni z negatywnymi przekonaniami dotyczącymi palenia oraz nich samych. Jednak najbardziej interesujące są wnioski, które pojawiły się jakby „przy okazji”, z pobocza głównego nurtu rozważań. Chodzi o spostrzeżenia dotyczące samego środowiska palaczy marihuany, niekoniecznie związane z przyjętą tu perspektywą reakcji społecznej; wnioski, rzekłbym, bardziej antropologicznej, a może skromniej: etnograficznej, niż socjologicznej natury.

Taki charakter miały uwagi na temat sposobu zdobywania marihuany i zmiany, jaka dokonała się na przestrzeni ostatnich lat: od dawania, dzielenia się i wymiany, którym towarzyszył negatywny stosunek do handlu marihuaną, po zaopatrywanie się w drodze kupna, przy jednoczesnym spadku znaczenia rodzimej uprawy. Ciekawe były także spostrzeżenia na temat odmiennego wartościowania przez palaczy marihuany dwóch grup środków psychoaktywnych: z jednej strony umiejscawiają oni właśnie marihuane oraz – wysoko cenione – środki pschedeliczne, głównie LSD i halucynogenne grzyby, z drugiej – amfetaminę, heroinę i inne „twarde” narkotyki, oceniane negatywnie. Omawiając reakcje badanych na zarzut uciekania od rzeczywistości mieliśmy okazję zetknąć się z różnymi motywacjami, jakie mogą leżeć u podstaw palenia marihuany, których różnorodność jest jednym z przejawów wewnętrznego zróżnicowania tego środowiska. Mówiąc z kolei o „robieniu sobie przerw”, mieliśmy z kolei do czynienia z elementem swego folkloru palaczy.

Niniejszy rozdział będzie próbą uzupełnienia tych spostrzeżeń innymi wnioskami, wpływającymi z przeprowadzonych wywiadów oraz rozwinięcia ich w bardziej całościową wizję. Nie będzie to, rzecz jasna, wyczerpująca, naukowa charakterystyka – opracowanie takowej w oparciu o tak skromne źródła byłoby zamierzeniem nie tylko z góry skazanym na niepowodzenie (nie można przecież wnioskować o całym środowisku na podstawie wypowiedzi małej, niereprezentatywnej grupy jego uczestników), lecz, co gorsza, dosyć niebezpiecznym, gdyż grożącym wykreowaniem zafałszowanego obrazu rzeczywistości. Ustalmy zatem na wstępie, że zawartość tego rozdziału nie pretenduje do zaszczytnego miana naukowej analizy, myślę natomiast, że nie będzie zarozumiałstwem nazwać go szkicem do portretu polskich użytkowników marihuany.

Zacznijmy od folkloru słownego, który, jako najbardziej rzucający się w oczy (a raczej w uszy), a więc dość prosty do uchwycenia, stanowić będzie dogodny punkt wypadowy do dalszej eskapady w częściowo już znany, ale wciąż pełen nieodkrytych obszarów teren. Marihuana, jak już wiemy, nie jest jedyną nazwą, używaną przez palaczy na oznaczenie suszonych liści lub kwiatostanów konopi. Inne nazwy to np.: „trawa” lub „trawka” oraz ich angielski pierwowzór „grass”, od „marihuany” pochodzą „marycha” i „maryśka”, w użyciu jest też angielski termin „stuff”, zarówno w formie oryginalnej, jak i w dosłownym tłumaczeniu „materiał”, stosowany także na określenie innych środków. Z kultury rastafariańskiej, związanej z muzyką reggae, wywodzi się „ganja”, rzadziej używane jest słowo „ziele”. Można też napotkać na „jointy” jako określenie marihuany, a nie tylko robionych z niej skrętów (np. „rosną jointy”) oraz na „palenie” odnoszące się do marihuany („masz palenie?”). „Samosiejka” to nie tylko dziko rosnące konopie, lecz także szersze określenie marihuany bardzo słabej jakości. Haszysz (lub „hasz”) także zwany jest – i kilka sposobów: „czekolada”, „gruda”, „kostka” lub „kocha” oraz „plastelina” to najczęściej spotykane. Kwiatostany konopi, z całej rośliny najwyżej cenione ze względu na największą moc, to „szczyty” lub, rzadziej, „czuby”.

Palenie marihuany to także „Jaranie” lub „przypalanie”; „chmura” lub „mach” oznacza jedno zaciągnięcie się dymem, może też służyć do umownego określenia mocy marihuany: np. „dwumachówka” to taka, której dwa „machy” wystarczą, żeby się „upalić” czy też „ujarać”. Inne słowa używane na określenie pożądanego stanu to „faza” lub „fala” („nafazowany”, „na fali”), oraz „odlot” i „odjazd”, a czasem „czapa”; marihuana nie tylko „działa”, ale też „czapi” lub „kręci”.

Ręcznie skręcane z marihuany papierosy to jointy”; marihuane pali się także w fajkach, jednak największą popularnością wydaje się cieszyć szklana cygarniczka, zwana „lufką” lub „lufą”. Jako pojemnik na marihuane często używane jest pudełeczko po filmie, zwane „biksą”, a z okresu handlu krajową marihuaną, nie, jak zachodnią, na gramy, lecz na pudełka od zapalek, pochodzą „wagonik” i „szuflada”.

Nie wszystkie slangowe wyrażenia mają jednakowy status i zasięg. Podzielić je można z grubsza na dwie grupy. Pierwszą stanowią określenia ogólnie znane wśród palaczy, takie

jak wyżej wymienione, przy czym w różnych kręgach palaczy preferowane jest odmienne nazewnictwo: o ile „grass” i „trawa” są raczej uniwersalne, o tyle np. „ganja” czy „ziele” wydają się typowe głównie dla palaczy z kręgów zbliżonych do subkultury rasta, dla których z kolei „maryska” albo „trawka” tchną zbytnim lekceważeniem lub wręcz profanacją: wtedy obowiązywało słownictwo „trawa”; „ganja” – to już było podejrzanym, jak ktoś mówił „ganja” (B.L. 14.5); ja się natknąłem na takie bardziej wyrafinowane słowa, bo akurat dużo reggae wtedy zaczynaliśmy słuchać (...) – bardziej „ganja” i „joint”; „trawka” to była niemodna, „maryska” to w ogóle się nie mówiło (...). Specjalnie żeśmy tych nazw nie używali, bo one się kojarzyły z hipisami (R.B. 21.1); mówiło się „stuff”, „grass” (...), „marihuana” – to tak się mniej mówiło w tym czasie, „ganja” to już tacy, wiesz, strasznie odjechani mówili (B.C. 5.6).

Drugą kategorię stanowią terminy tworzone na własny użytek w poszczególnych grupach palaczy i używane tylko przez nich, wymyślane zazwyczaj przypadkowo i ad hoc na zasadzie wolnych skojarzeń. Trudno mówić, by było to zjawisko typowe i wszechobecne – część informatorów w ogóle nie zajmowała się tzw. „tekszczeniem”, inni z kolei z lubością oddawali się grupowej pasji słowotwórczej, której niewątpliwie sprzyjało pobudzenie wyobraźni przez THC: Najpierw było „marihuana”, „stuff”, „grass”, „trawa”, ale później zaczęliśmy tak wymyślać jakieś miłe rzeczy, np. „leopold”, a dlatego „Leopold”, bo Leopold Staff, albo ostatnio bardzo śmiesznie wymyśliliśmy, bo kumpel mówi: „oj, głowa mnie boli, muszę iść do doktora Grassa” (S.K. 9.4a); Jesteśmy u znajomego, który po prostu „wpadł” z jointami, jego starzy na odwyk chcieli go dać, paliliśmy u niego jointy i było tak: „chcesz przeczytać stronę?”, znaczy „chcesz zapalić?” (...), albo: „przeczytam komiks – ale fajny komiks” (S.K. 23.5), Do koleżanki żeśmy wchodzili i żeśmy zamiast kwiatka mieli takiego dużego szczyta, i: „masz kwiatka”. A ona: Jaki śliczny kwiat” i tak dalej, i tak się zaczęło, że to są „kwiaty” (A.D. 15.2). Niektórzy nie poprzestawali na pojedynczych sformułowaniach i tworzyli całe grupowe systemy znaczeniowe: „Andrzejstwo” – podstawowe i nieśmiertelne, „Andrzejstwo”, czyli społeczeństwo, Rzeczpospolita Andrzejka. „Andrzej” – czyli standardowy ojciec – Polak, który, wiesz: sychta [praca], bić żonę, katolik – to był „andrzej”. (...) [Niepalący koledzy z klasy] nie byli „andrzejami”; oni mogli mieć andrzejskie zachowania (...), byli „nie z tej bajki”, jak to się mówiło, „niekumaci” – nie ten świat, nie ta bajka. (...) „Spleen” – słowo-wytrych. Spotykamy się, i tak: gadka-szmatka, „Ale spleen!” – „No, w spleenowie nie da się inaczej.” (...) „Spleenowo” to jest określenie miasta naszego, w którym panuje spleen wieczny (...) – beznadzieja, wiesz, nic się nie da zrobić. (...) „Ubufany”, „bufanie” – u nas [na paleniu] się mówiło „bufanie”: „ale się ubufaliśmy”, „ufo-bufo”. Jak była końcówka [marihuany] w lufie, to się mówiło „końcowa”: „Uważaj, końcowa!”. Pęknięta lufka to była „aidsówka” -trzeba było uważać, żeby nie zranić wargi, bo się w ten sposób mogło AIDS roznosić. A „aidsówki” to była rzecz permanentna, bo jak się szklane lufki nosiło w kieszeni, to co chwila pękały – „aidsówki”. Jak ktoś już nie mógł [palić], to mój kolega wymyślił termin... wiesz, po prostu palisz, palisz, i w pewnym momencie już masz coś takiego, że masz dosyć, przesyty, i mówisz: „kanka” – i to było słowo-wytrych, które oznaczało, że jesteś już tak najarany, że jeszcze jeden mach i w ogóle się przekreścisz (D.Z. 8.3 – 9.1).

Grupowy żargon nie jest oczywiście niczym niezwykłym – wytwarza go każde środowisko, od np. grup zawodowych po subkulturę młodzieżową; jednak w środowisku palaczy marihuany ten folklor słowny wydaje się nie tylko obfity i różnorodny, ale przy tym posiada specyficzne, nierzadko surrealistyczne zabarwienie i przybiera formę zabawy słowem, tworzenia zbitek skojarzeniowych – tzw. „tekszczenia”.

Ze zwyczajami w swym charakterze zbliżonymi do rytuału mamy do czynienia przy uprawie i paleniu marihuany. W czasach, gdy podstawą zaopatrzenia palaczy była rodzima uprawa, wielu z nich hodowało samemu marihuanę na użytek własny i przyjaciół. Uprawiano ją nie tylko z niezbędną pieczołowitością, ale nierzadko także z pewną dozą

mistycyzmu: *potem zaczęłam sama też to robić [uprawiać]. Brałam nasionka, nabierałam wprawy, dowiadywałam się różnych rzeczy, że to trzeba siać i mieć rozpuszczone włosy, przykładać do tego dużo serca... Tak faktycznie było: ta trawa rosła, a poza tym faktycznie tak jest, że mojemu życiu ona absolutnie towarzyszyła (G.J. 3.4); Generalnie, ganja jest tak zajebistą rośliną, że działanie zależy od podejścia twojego. Ja na przykład uwielbiałam hodować rośliny (...) – to, jak o nie dbałam, jak chodziłam dookoła nich, przycinałam, chuchałam, dmuchałam i podlewałam, takie miałam efekty potem. Po prostu palisz taką roślinę i widać, że tam było włożone moje serce, ona mi się odwdzięczała, rozumiesz (N.R. 19.2); To się sprawdza ta myśl, że ganja, która rosła na słońcu, ktoś się nią jeszcze opiekował, czyli dał jej swoją energię, kawałek życia w nią włożył, to po prostu czapi cię – odkrywasz nowe przestrzenie! (S.M. 13.4)*

Z zacytowanych wypowiedzi wynika coś więcej, niż tylko konieczność należytej dbałości o uprawiane konopie – przebija z nich także przeświadczenie o bliskim, może nawet magicznym związku z nimi; jak mówi inny informator, wspominając swe pierwsze zetknięcie z marihuana: *dokładnie czułem się tak, jakbym spotkał coś, czego nie spotkałem, a chciałem spotkać, i wiedziałem, że to mi będzie towarzyszyć jak tu jestem. Taki związek personalny między człowiekiem a rośliną, później tak to nazwałem (R.B. 1.4); Podchodzę do marihuany jak do naprawdę czegoś cudownego – to jest siostrzyczka, a czasem mamusia (E.C. 2.4) –* mówi inna respondentka.

Wiele wskazuje na to, że także w paleniu marihuany chodziło o coś więcej, niż tylko uzyskanie odmiennego stanu świadomości: dla wielu informatorów równie ważne było poczucie grupowej wspólnoty. „Wspólnotowość” w paleniu marihuany widoczna jest częściowo na najbardziej powierzchownym, „technicznym” poziomie, gdy jointa lub fajkę pali się wspólnie, podając w kręgu z rąk do rąk, lecz podobne znaczenie przypisywane paleniu wyczytać można także z wypowiedzi respondentów: *Potem właśnie bardzo to było mocne, silne, właśnie kontakt z innymi ludźmi po paleniu, taki rytuał wspólnoty, uwspólniania się odbywał w trakcie palenia (E.L. 3.2); sama atmosfera była zajebistą, tego palenia, w ogóle (...) siedzieliśmy w takim kręgu, paliliśmy z takiej lufki i on [kolega] miał w słoiku ten grass i ładował cały czas i paliliśmy (R.G. 2.1); Robiłem z tego rytuał, rytualne namaszczenie, że tak to nazwę; nie miało to nic wspólnego z odczuciami po zapaleniu, tylko jakby rytuał samego palenia ganji (...). Siadaliśmy w kółku, ładowaliśmy ganję do fajki, wszyscy zaciągali się po kolei, wiesz, cisza, skupienie, nikt nic nie mówił (...) – czuło się w powietrzu jakby taką rytualną wież (T.B. 3.5 – 4.1).*

Nie chciałbym stwarzać tu wrażenia, że wszyscy użytkownicy marihuany podchodzili mistycznie do jej palenia czy uprawy. Pragnę jedynie odnotować takie zachowania dlatego, że były one na tyle częste i na tyle interesujące, że uznałem je za wartę omówienia. Były one typowe przede wszystkim dla uczestników licznego swego czasu w Polsce ruchu rasta, gdzie marihuanę traktowano nie tylko rytualnie, ale wręcz kultowo i religijnie, jako „święte ziele” – dar od Boga dla ludzi. Niemniej jednak, wypowiedzi świadczące o na poły mistycznym i rytualnym używaniu marihuany pojawiły się także w wywiadach z informatorami z innych kręgów. Przypomnijmy też znaczący fakt, że dla większości respondentów marihuana była – albo i jest nadal – czymś, czego się nie sprzedaje i nie

kupuje (kwestię niechęci dużej części jej użytkowników do handlu poruszyliśmy w poprzednim rozdziale, omawiając sposoby zaopatrywania się w marihuanę).

Omówiwszy samo palenie marihuany, przejdźmy do jego efektów. Na podstawie wypowiedzi informatorów można wyróżnić kilka typów zachowań, jakie są następstwem palenia; są to jednocześnie typy oczekiwań palaczy wobec doznań uzyskiwanych dzięki marihuanie. Oczywiście należy pamiętać, że, po pierwsze, jest to tylko próba, być może nieporadna, „zaszufladkowania” oczekiwań, doznań i zachowań o dużej różnorodności, a po drugie, że są to „typy czyste”, w praktyce niemalże nie występujące w postaci dokładnie takiej, jak poniżej zarysowana.

Typ pierwszy – „towarzysko – zabawowy”: palenie marihuany jest traktowane jako element spotkania towarzyskiego i ma mniej więcej takie samo znaczenie, jak np. picie piwa. Od marihuany nie oczekuje się w zasadzie niczego poza ożywieniem towarzyskiej, „improwanej” atmosfery: *Teraz jest to dla mnie tylko i wyłącznie środek do tego, żeby się fajnie z kimś gadało, żebyśmy załapał klimat, żeby sobie gdzieś wiesz, powariować* (D.G. 5.2b). Typ drugi można nazwać „twórczym”, lub, bezpieczniej, „aktywnościowym”, chodzi tu bowiem o to, by przy okazji palenia „coś zrobić” – może to być działalność twórcza, artystyczna, jak np. malowanie lub granie, ale też np. wyprawy „krajoznawcze” w malownicza okolice lub w spowite mrokiem nocy zakamarki miasta albo praca przy własnym biurku: *jeżeli pracuję, jestem w pracowni i mogę malować, no to w pełnym luksusie wpadam, robię sobie herbatkę, jointa, potem wiesz, rozglądam się, za co by się tu chwycić* (E.L. 2.3); *Ja byłem taki energetyczny i ruchliwy (...) -namawiałem, żeby pójść do parku, pojeździć na rowerze, tak, żeby coś zawsze robić – coś oglądać, coś przemeblować, pomalować, wykombinować po prostu* (R.F. 10.9). Nieco inny charakter ma typ „wrażeniowy”, którego przedstawiciele najbardziej sobie cenią marihuanę jako środek służący wzmacnianiu i wyostrzaniu percepcji bodźców zmysłowych – przede wszystkim muzyki, ale też obrazu, filmu, piękna przyrody, seksu lub... domowej kąpiel: *Wiedziałam, że o dwudziestej ma być dobry film w telewizji, to sobie szłam do pokoju, wychylałam się przez okno, łapałam parę machów i sobie szłam do rodziców oglądać z nimi film, na fapie. Czy, na przykład, przed kąpielą: dlaczego nie? Przyjemnie, woda, dotyk taki przyjemny – trzeba se robić dobrze!* (N.R. 21.3), *(...) to takie cudowne podbicie wrażliwości, takich prostych doznań, żadnej tam kurczę metafizyki, przemysleń, Bóg wie czego. Super po prostu, wspaniałe kolory (...)* (B.C. 3.5) Typ „mistyczno – duchowy” charakteryzuje się, w przeciwieństwie do poprzedniego, koncentracją na doznaniach pozazmysłowych: pałac marihuanę, jedni poszukują – mówiąc umownie - poczucia jedności z Bogiem czy kosmosem, inni dążą do penetracji ukrytych obszarów własnej duszy albo do pogłębienia bliskiego, niewerbalnego porozumienia z drugą osobą lub z grupą: *Czuję, że dokładniej widzę (...), na przykład strasznie dużo rzeczy mnie wtedy bardziej porusza z tego, co jest naokoło. Może to tak [dziwnie] zabrzmie, ale czuję się wtedy częścią w Kosmosie. Tak bardzo* (G.J. 4.6). Kolejny typ można nazwać „terapeutycznym” – marihuana ma tu pomóc użytkownikowi w rozwiązywaniu jego problemów lub w zapomnieniu o nich, gdy zbyt doskwierają; dosyć charakterystyczne dla tego modelu jest palenie w samotności: *[Palenie] się wiązało z moim stanem psychicznym – po tym się czułem o wiele lepiej zawsze i luźniej. A miałem dużo kłopotów z moimi osobistymi rzeczami, z intymnymi, i z tego powodu zacząłem palić. (...) Po tym jesteś taki luźny i spokojny, mijają ci wszystkie nerwy, ustępują (...)* – tylko i wyłącznie dlatego palę dużo (A.D. 5.5-6). W modelu „eksperymentalnym” palenie marihuany, a także używanie innych środków, powodowane jest głównie ciekawością doznań, chęcią sprawdzenia jak to jest” i porównania, np. efektów palenia w różnych sytuacjach i okolicznościach, robienia czegoś po paleniu i „na trzeźwo”, kombinacji marihuany z innymi środkami itp.: *Ten stan mnie w pewnym sensie zafascynował. Pomyślałem sobie: „no tak, ciekawe, jak by było, jakbym tak przez trzy miesiące non-stop palił. (...) Wtedy postanowiłem, jakby z założenia, że będę palił codziennie przez te trzy miesiące* (R.L. 10.5 -11.1). Ostatni typ to model „statyczno – wegetatywny”, który można skrótowo opisać jako „palenie i nic-nie-robienie”, zazwyczaj przez palaczy oceniany jako nieciekawym i nic atrakcyjnego ze sobą nie niosącym: *Generalnie, najbardziej mnie wkurza po ganji nie robienie nic. Zabijające jest zupełnie. Pogadać z kimś? – proszę bardzo, ale czasami jest coś takiego, że ja na przykład stwierdzam, że to marnacja czasu jest w ogóle: „dlaczego tak siedzimy?!“* (N.R. 9.2). Jak już wspomniałem, są to „typy czyste”, których modelowe, „idealne” przykłady trudno byłoby wśród palaczy znaleźć. W praktyce np. palenie „aktywnościowe” często wiąże się ze wzrostem wrażliwości percepcyjnej, palenie „eksperymentalne” zawierać może silny pierwiastek „duchowo – mistyczny”, ciężko znaleźć palacza, któremu niemiły byłby

aspekt „towarzysko – zabawowy”, z kolei na „imprezach” trudno przecenić rolę muzyki, na której odbiór marihuana wpływa bardzo korzystnie, co cenią przede wszystkim palacze „wrażeniowi”, jeśli zaś nie dopisze atmosfera, spotkanie może zostać zdominowane przez klimat „statyczno -wegetatywny”. Przepuszczalnie większości z regularnych palaczy nieobcy jest żaden z tych modeli i rozmaitych wariantów ich połączeń; różnią się raczej preferencje i oczekiwania czy to poszczególnych użytkowników, czy całych grup: *Miałem w klasie koleś, którzy teraz są biznesmenami; z nimi próbowałem palić, ale oni to palili w ogóle wiesz, w innych kontekstach: upalali się i bredzili coś jak popierdoleni – no wytrzymać z nimi nie można było!* (D.Z. 7.4); (...) *bardzo lubiłam z nim przypalać, coś z tego wynikało, to było wiesz, jakieś takie twórcze, twórcze bycie, niekoniecznie od razu jakieś tam mazanie [malowanie] (...) – wspaniałe, to też jest inna forma, ale dla mnie to już jest takie (...) przeżarte, już takie świadome, przemyślane, chwycone za gardło: „co my możemy z tym zrobić”* (B.C. 8.4 – 9.1).

Dotychczasowa charakterystyka użytkowników marihuany w niniejszym rozdziale abstrahuje od zmian, jakie zachodziły w tym środowisku na przestrzeni czasu. Szkoda byłoby nie uwzględnić tego czynnika, tym bardziej, że informacje zawarte w wywiadach dotyczą dość długiego okresu – w obrębie badanej próby najmłodszy stażem użytkownicy palą marihuanę od roku 1993, natomiast „weterani” sięgają swymi doświadczeniami aż do początku lat 30-tych, a w jednym przypadku -nawet do końca 70-tych. Tak więc okres, do którego odnoszą się wywiady, rozciąga się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, a więc, co jest niezmiernie istotne, obejmuje także burzliwe lata przełomu dwóch formacji ustrojowych wraz z towarzyszącymi temu procesowi przemianami społecznymi.

Zanim jednak przejdziemy do tak szerokiej perspektywy, spójrzmy, jak przebiegają zmiany na poziomie jednostkowym – w zakresie doznań poszczególnych użytkowników. Zmiany takie mają oczywiście charakter indywidualny, a więc bardzo zróżnicowany, niemniej jednak na podstawie wywiadów można pokusić się o próbę zarysowania modelu, wedle którego przebiegają doświadczenia większości regularnych palaczy. Pierwsze stadium, to euforyczny zachwyty nad nowo odkrytym światem nieznanymi wcześniej doznaniem, nierzadko połączony z przeświadczeniem, że marihuana jest dobra dla każdego i z dążeniem do jak najszerszego jej upowszechnienia, jako środka, który ma niemalże moc zbawienia świata, jeśli by tylko każdy zdecydował się jej spróbować. Z biegiem czasu następuje przygaszenie pierwotnego zapału, szczególnie, że następuje stopniowe oswajanie się z nowymi do pewnego czasu wrażeniami, a prędzej czy później pojawiają się – czy to z przyczyny spalania zbyt dużych lub zbyt mocnych dawek, czy z powodu nieodpowiedniego nastroju lub sytuacji -tzw. „negatywne odjazdy”, a w ślad za nimi – wątpliwości, czy aby nie pali się za dużo, których konsekwencją jest zwykle „robienie sobie przerw”. Ostatnim stadium jest stabilizacja palenia na pewnym poziomie, który, rzecz jasna, może wyglądać różnie: dla jednych będzie to regularne, codzienne palenie, gdyż wątpliwości udaje się w taki czy inny sposób rozwiązać, np. za pomocą udanych postanowień o przerwie, które pozwalają utwierdzić się w przekonaniu, że palenie nie stwarza żadnego zagrożenia, czy też przez przełamanie „negatywnych odjazdów” albo nauczenie się stwarzania odpowiednich warunków do palenia i unikania okoliczności niesprzyjających. Dla innych tym ostatnim etapem będzie palenie jedynie okazjonalne, a są i tacy, którzy całkowicie z niego rezygnują, dochodząc do wniosku, że marihuana im po prostu „nie służy” i lub też uznając, że dała im już wszystko, co mogli dzięki niej osiągnąć. Ostatnie, „stabilne” stadium często łączy się z nostalgicznym wspomnianiem początkowego okresu, kiedy to marihuana zapewniała doznania o nieporównywalnie większym natężeniu.

Podkreślając znów, że nie jest to schemat bezwyjątkowo dotyczący wszystkich regularnych palaczy, a jedynie pewien model, w odniesieniu do którego można opisywać poszczególne „przypadki”, bardziej lub mniej doń przystające, przejdźmy do szerszej

perspektywy – opisu zmian, zachodzących na poziomie nie indywidualnym już, lecz społecznym.

Takich prób dokonałem już w rozdziale poprzednim, przy okazji charakterystyki sposobów zaopatrywania się w marihuanę – jak pamiętamy, w ciągu ostatnich lat dokonała się wyraźna zmiana w tym zakresie, zarówno na poziomie „technicznym” – korzystanie z rodzimych plonów zostało zastąpione przez import z zagranicy – jak i na poziomie postaw użytkowników, gdzie potępienie handlu stopniowo przechodzi w tolerancję lub akceptację. O ile dla tych, którzy zaczęli palić w latach 80-tych, zetknięcie się z handlem było nieraz prawdziwym szokiem, a wielu z tych użytkowników do dziś odżegnuje się od kupowania marihuany, polegając na własnej uprawie i na prezentach od przyjaciół – hodowców, o tyle ci, którzy z marihuaną zaznajomili się już w latach 90-tych, zaopatrują się przeważnie w drodze kupna, a niektórzy z nich czasy, kiedy marihuanę można było dostać za darmo, znają tylko z opowiadań; wymyślili za to pewne novum w tej dziedzinie: zakup składkowy, na potrzeby wspólnej „imprezy”.

Zachodzące w interesującej nas materii zmiany mieliśmy także okazję obserwować, przypatrując się funkcjonowaniu palaczy w ich otoczeniu społecznym – w szkole, rodzinie, pracy. Obserwacje te zakończyliśmy wnioskiem, że w latach 80-tych, kiedy to zainteresowanie społeczeństwa problemem narkomanii skupiało się głównie na dominującym wówczas uzależnieniu od przetworów maku, palacze marihuany wymykali się dewiacyjnej etykietce „narkomanów” – bynajmniej nie z powodu tolerancji społeczeństwa, lecz dlatego, że palenie było stosunkowo łatwe do ukrycia dzięki ogólnej nieświadomości w tej dziedzinie, a sami palacze nie przystawali do stereotypowego wizerunku „narkomana”. Z kolei w latach 90-tych marihuana zaczęła zdobywać tak dużą popularność, szczególnie wśród młodzieży licealnej i studenckiej, że dla znacznej części użytkowników dewiacyjne etykiety przestały być zagrożeniem, gdyż ich zwyczaj cieszy się, przynajmniej w środowisku rówieśniczym, daleko posuniętą tolerancją, choć wciąż nie jest to regułą.

Spróbujmy poszerzyć dotychczas poczynione obserwacje o nowe spostrzeżenia i wnioski. Jak już wspomniałem, z wielu wypowiedzi przebija nostalgia za „starymi czasami” – te wspomnienia „raju utraconego” wiążą się nie tylko z tęsknotą za bezpowrotnie minioną euforią pierwszych doznań, lecz także za czasem, kiedy marihuana nie była „towarem, jak każdy inny”, lecz można ją było jedynie dostać za darmo, i kiedy palenie nie było tylko wprowadzaniem się w odmienny stan świadomości, lecz silnie wiązało się z przebywaniem w kręgu przyjaciół i było czymś w rodzaju wspólnotowego rytuału: *Środowisko, w którym się zacznie palić, taka grupa, wytwarza taką swoistą subkulturę; taki typ porozumienia, własne hasła-klucze, wiosny humor (...). Palenie miało dla mnie wtedy wartość, kiedy po prostu tworzyła się na jego podstawie jakaś wspólnota, jakiś typ porozumienia – to było dla mnie ważne* (D.Z. 7.4).

Istotne jest tu nie tylko to, że palenie marihuany wiązało się z tworzeniem czy wzmacnianiem więzi grupowej, ale przede wszystkim, że częstokroć była to więź natury sub- czy kontrkulturowej, związana z określaniem samego siebie i swej grupy w opozycji do reszty społeczeństwa: *Myśmy się starali być inni, dokładaliśmy wszelkich sił.*

Zdecydowanie inaczej wyglądaliśmy, zdecydowanie inaczej się zachowywaliśmy (A.K. 10.6 – 11.3); *[Nauczyciele] wiedzieli, że ja i parę osób to są „inni”\’, mają coś tam... inaczej poustawiane (...). Bo ja lubiłem tak się lekko wyróżniać (...), znaczy, wiesz, nie czuje się zintegrowany ze stadem, chodzę własnymi ścieżkami* (D.M. 13.4-9); *W tym czasie był jeszcze ten posmak, tak wszyscy nie palili tej marihuany, to rzeczywiście było jakieś środowisko, wiesz, takie kółko, i nie wychodziło to poza to, i właśnie ten zakazany owoc – w tym było dużo (...). Takie [bycie] wybranym, że możesz to spróbować, że masz jakiś dostęp, i wiesz, jest super. Inni ludzie nie mieli tego, a być może też chcieli, ale po prostu nie mieli tej szansy* (B.C. 10.1-2).

Czy użytkownicy marihuany stanowili subkulturę? Nie wydaje się, by można było mówić o „subkulturze palaczy” jako takiej – marihuana była dość powszechna we wszystkich subkulturach młodzieżowych końca lat 80-tych czy początku 90-tych: jako środowiska, w których nastąpiło pierwsze zetknięcie badanych z marihuaną, w wywiadach wymieniono punków, hipisów, rastamanów, „harleyowców” (fanów motocykli), bliżej nieokreślone zlepki różnych subkultur („freaki”, „subkultura ludzi, którzy łązili po Starówce”), a także, też dość dalekich od społecznej „normalności”, awangardowych artystów. Przy dużej popularności w subkulturach, marihuana była niemal nieobecna (i nieznana) wśród „normalnej” części społeczeństwa – otoczona nimbem tajemnicy i mistycyzmu, a przy tym formalnie nielegalna, a więc mająca posmak „zakazanego owocu”, była niezwykle użyteczna w określaniu „alternatywnej” tożsamości jednostek i grup; używanie jej było jednym z wyznaczników społecznego statusu „innego”, outsidera, czy też, używając sformułowania typowego dla teorii reakcji społecznej, elementem samonaznaczenia nonkonformistycznego.

Interesująco w tym świetle przedstawia się stosunek respondentów do alkoholu – środka, który w przeciwieństwie do marihuany jest legalnie dostępny, silnie zakorzeniony w naszej kulturze i cieszy się dość dużą społeczną akceptacją. Nie będzie pewnie żadnym zaskoczeniem fakt, że większość badanych palaczy (18 osób) bardziej ceni marihuanę, niż alkohol (pozostali jednakowo lubią oba środki) – tak z powodów czysto fizycznych, gdyż nie doprowadza ona do stanów utraty świadomości ani kontroli nad ciałem oraz nie powoduje „kaca”, jak i ze względu na o wiele wyższą, zdaniem respondentów, jakość doznań. W pięciu wywiadach pojawiły się ponadto wypowiedzi wskazujące na marihuanę jako bardzo wyraźny wyróżnik kulturowej (czy subkultur owej) tożsamości: *Zawsze miałem taką świadomość, że jest to coś bardziej mistycznego od alkoholu, i tak klasyfikowałem: „a, alkohol to dla takich andrzejów, nie, my tu jaramy sobie trawę”*, wyzwolenie i coś takiego (E.F. 6.3); *Był taki koleś, który właśnie preferował etos palenia trawy – że trawa to jest coś świętego, coś takiego, że palenie trawy powinno wykluczać funkcjonowanie w tak zwanym „obrocie babilońskim”, czyli nie powinno się kupować wody, piwa, nie powinno się chlać, powinno się jeść wegetariańskie jedzenie (...) – koleś, który miał znaczny wpływ tam u nas, na ludzi, na mnie i na kilku innych, i to mi się bardzo podobało – to było spójne, logiczne, to było alternatywne wyjście* (D.Z. 17.3).

Ciekawie wypada również przegląd opinii badanych użytkowników marihuany na temat postulatu jej legalizacji w Polsce. Jak można się spodziewać, większość respondentów popierałaby takie rozwiązanie – w ich argumentacji pojawiają się przeważnie motywy znane ze streszczonej w rozdziale III społecznej debaty na temat nowej ustawy antynarkotykowej: argument wolności osobistej i odpowiedzialności za swe własne preferencje i wybory, likwidacja czarnego rynku narkotykowego, przeniesienie państwowych funduszy z mało skutecznej walki z nielegalnym handlem na profilaktykę uzależnień i działalność propagandową, niska szkodliwość marihuany w porównaniu z legalnym przecież alkoholem, powoływanie się na politykę holenderską. Są jednak, co może się wydać dziwne, wyjątki: aż siedem osób ma wątpliwości co do słuszności legalizacji. Wynikają one po części z braku pewności co do społecznych konsekwencji takiego kroku: *[Prawo] powinno chronić osoby, które jeszcze nie są odpowiedzialne za swoje życie, przed tym, żeby one się na to nie zdecydowały jako na jedyne rozwiązanie, na jakąś taką rzeczywistość zastępczą (...). No i jak ty to widzisz – że dzieciaki z podstawówki, tak jak teraz mogą iść i kupić sobie piwo, to kupują marihuanę? Przypalają sobie i w pewnym momencie wszystko im w ogóle zwisa, bo stwierdzają, że po co w ogóle czytać, uczyć się, rozwijać, skoro może być tak wspaniale przez cały czas. To jest niebezpieczne* (D.Z. 16.2). Są jednak palacze marihuany, którzy swe wątpliwości w tej sprawie uzasadniają inaczej: legalizacja byłaby, z ich punktu widzenia, niepożądana, gdyż pozbawiłaby marihuanę otoczki „zakazanego owocu”, dostępnego tylko dla wybranych – czyli cennego elementu definiowania „alternatywnej” tożsamości: *Bo dla mnie to zawsze*

by co tak, że tylko specyficzna grupa osób miała dostęp do tego. Pewnie przez taki ograniczony dostęp dostali ją ci, którzy powinni dostać; przez taką tajemnicę, czy coś, to była taka naturalna selekcja tych, którzy mieli kontakt. To byli ludzie „z klimatów” – hipisi, tacy załoganci. Kiedyś szary człowiek w ogóle nie miał o tym pojęcia, i to było dobre, bo nie było handlu, wszystko się obracało na zasadach dawania – taki model mi się podoba. (...) Była wybrana grupa osób, które, żeby palić, musiały się tym w jakiś sposób zainteresować i dążyć do tego (R.F. 24.3). Z pozoru może się wydać szokujące, że użytkownik marihuany – a wyżej cytowany nie jest wcale jedynym, który wyraża taki pogląd – może być przeciwnikiem jej legalizacji. Staje się to jednak zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę kontekst, w jakim funkcjonowała marihuana oraz znaczenie, jakie posiadała dla związanych z kontrkulturą użytkowników. Znaczenie, które – jak można wywnioskować z badań – zdaje się zanikać od momentu, w którym marihuana wyszła poza „alternatywne” środowiska i zaczęła w coraz większym stopniu stanowić element szeroko pojmowanej kultury młodzieżowej. Początek tego okresu datuje się w okolicach roku 1990, przy czym proces ten jest bardziej zaawansowany w wielkich miastach – np. informatorzy z Warszawy po raz pierwszy zetknęli się z handlem marihuaną w latach 1989 – 90, podczas, gdy dla respondentów z małych miast, którzy zaczęli palić w 1992 czy 93 roku, podstawą zaopatrzenia była wciąż jeszcze rodzima uprawa, a palenie miało „wspólnotowy” charakter: *Poznawałem różnych ludzi z różnych okolic Polski, no i oni mi mówili, szczególnie ludzie z jakichś mniejszych miast, że tam to funkcjonuje na zupełnie innych zasadach, że nie ma czegoś takiego, jak kupowanie – każdy sobie hodzi, ludzie się wymieniają, natomiast tutaj, wiesz, cała ta wielkomiastość jakby uniemożliwia to* (A.T. 15.2).

W badanej przeze mnie próbie znaleźli się przede wszystkim „starzy” palacze: większość respondentów pamięta z własnego doświadczenia czasy, które kilku „młodym” użytkownikom znane są jedynie z opowiadań. Jeśli spojrzeć na tak dobraną próbę krytycznym okiem, to niedobór użytkowników marihuany, którzy zaczęli palić dopiero w ostatnich latach jest istotnym brakiem, spowodowanym częściowo tym, że nie udało mi się do nich dotrzeć, ale w dużej mierze wynika z charakteru samego badania, które wymagało znalezienia regularnych palaczy o możliwie długim „stażu”. Niedostatek przedstawicieli najmłodszej generacji powoduje, że o postawach wobec marihuany w tej grupie użytkowników możemy jedynie spekulować na podstawie tych danych, które udało się zdobyć. Nic straconego – nie zapowiada się, aby marihuana miała w najbliższym czasie gwałtownie stracić popularność, a więc pole do dalszych badań stoi otworem; jestem przekonany, że wyniki byłyby interesujące.

Kto jednak wie, czy znaczna przewaga przedstawicieli starszej generacji nie okazała się korzystna pod innym względem: to dzięki nim mamy przecież możliwość zarejestrować zachodzącą przemianę, a w szczególności, uchwycić – czy nie zabrzmiało to zbyt patetycznie? – elementy zanikającej, a słabo poznanej kultury.

Na zakończenie pozostaje odnieść się jeszcze raz, bezpośrednio, do tytułu niniejszego rozdziału. W oparciu o przeprowadzone wywiady oraz o charakterystykę tła społecznego, dokonana w rozdziale III, a także o cytowane tam wyniki badań statystycznych, można postawić tezę – wydaje mi się, iż nie nazbyt ryzykowną – że nie tylko generalny wzrost popularności marihuany, ale też wewnętrzne przemiany w środowisku jej użytkowników, są nierozdzielnie związane ze zjawiskami społecznymi zachodzącymi na o wiele szerszą skalę. W skrócie proces ten wygląda następująco: otwarcie granic oraz relatywny spadek cen zachodnich produktów, a więc także przemycanych do Polski narkotyków, spowodowały zaistnienie i upowszechnienie na krajowym rynku importowanej marihuany, która z kolei, dzięki swej lepszej jakości, zepchnęła na margines rodzimą uprawę. Doprowadziło to do stopniowego zaniku tradycji bezinteresownego dzielenia się, a stosunkowo łatwa dostępność oraz powszechność w „nie-kontrkulturowych” kręgach młodzieżowych (i nie tylko) spowodowała zanik „etosu” marihuany jako wyznacznika

subkultur owej, „alternatywnej” tożsamości jej użytkowników – palenie marihuany przestało być bowiem elementem wyróżniającym to środowisko spośród reszty społeczeństwa.

Oczywiście nie oznacza to całkowitego zaniku „etosu” palenia marihuany, najprawdopodobniej jednak proces ten będzie postępował, i to nieodwracalnie. Oto, jak zjawiska, zachodzące na skalę makrosocjalną, odbijają się w życiu stosunkowo niewielkiego czy wręcz marginalnego środowiska, w dodatku, zdawałoby się, wyizolowanego z dominującego nurtu kultury i życia społecznego.

ZAKOŃCZENIE

Nadszedł czas, by krótko podsumować wyniki badań. Zaczniemy od tego, co wprost wynika z przyjętej perspektywy reakcji społecznej. Udało się ustalić, że na przestrzeni kilkunastu ostatnich lat, mimo, iż palenie marihuany było oficjalnie – choćby z prawnego punktu widzenia – uznawane za dewiację, to społeczne funkcjonowanie tej normy uległo znaczącym przeobrażeniom. W latach 80-tych, kiedy uwaga społeczeństwa koncentrowała się na narkomanii opiatowej i osobach uzależnionych od „kompotu”, palacze marihuany z powodzeniem wymykali się dewiacyjnej etykietce „narkomanów” – nie pasowali bowiem do stereotypowego obrazu „ćpunów”, a palenie marihuany dawało się, w warunkach nikłej świadomości społeczeństwa, dość łatwo ukryć. Z kolei wraz z upływem lat 90-tych marihuana zaczęła stawać się tak popularna, szczególnie w środowiskach młodzieżowych, że wielu jej użytkowników w ogóle nie odczuwa jakiegokolwiek reakcji społecznej, choć otoczenie wie o ich zwyczaju – można więc zadać pytanie, czy używanie marihuany można w ogóle w takich przypadkach nazywać dewiacją. Wciąż jednak nasze społeczeństwo jest mocno pod tym względem zróżnicowane – są środowiska (i to wcale nie „subkultury dewiacyjne”), w których palenie marihuany jest ogólnie akceptowane, ale są i takie, w których palacze nadal podlegają dewiacyjnemu naznaczeniu.

Sami użytkownicy marihuany także są grupą wewnątrznie zróżnicowaną, choćby ze względu na swe oczekiwania wobec niesionych przez marihuanę doznań i związanych z nimi preferencji co do modeli jej używania. Różnice widoczne są także w używanym słownictwie, związanym z kolei z przynależnością środowiskową czy grupową – okazuje się bowiem, że coś takiego, jak „subkultura palaczy marihuany” właściwie nie istnieje, choć sami palacze często są uczestnikami środowisk sub- czy kontrkulturowych. Mimo, iż między poszczególnymi środowiskami, w których pali się marihuanę, istnieje może nawet więcej różnic niż podobieństw, to wspólne dla nich jest to, że marihuana jest istotnym wyznacznikiem kontrkulturowej tożsamości tych grup, służąc ich uczestnikom do podkreślenia swego statusu „innego”. Co ciekawe, użytkownicy marihuany nie tylko określają się w opozycji do „normalnego” społeczeństwa, ale też wyraźnie oddzielają się od użytkowników „twardych” narkotyków, negatywnie oceniając takie substancje jak np. amfetamina i heroina oraz związane z nimi doznania, a z drugiej strony wysoko cenią środki psychodeliczne. Wynika stąd wniosek, by zajmując się zjawiskiem zażywania narkotyków traktować rozłącznie użytkowników poszczególnych środków – opisywanie ich jako jednorodnej grupy prowadzić może zbyt pochopnych uogólnień. Z taką sytuacją mamy zresztą do czynienia w znacznej części polskiego piśmiennictwa na ten temat, gdzie charakterystyka narkomanii opiatowej rozciągana jest na wszystkich użytkowników środków psychoaktywnych.

Wiele wskazuje na to, że przypisując marihuanie wyżej wspomnianą funkcję określania statusu jej użytkownika, powinniśmy używać raczej czasu przeszłego, niż teraźniejszego. Wydaje się bowiem, że specyficzny, subkulturowy „etos” palenia marihuany był typowy przede wszystkim dla lat 80-tych, kiedy to używanie jej było ograniczone do kręgów

„alternatywnej” młodzieży. Z nadejściem lat 90-tych rozpoczyna się szybki wzrost popularności marihuany także w środowiskach nie związanych z kontrkulturą, a jej rola w definiowaniu statusu użytkowników wyraźnie maleje. Dzieje się tak głównie z tego powodu, że jej używanie nie jest już zachowaniem wyróżniającym kontrkulturę spośród reszty młodzieży czy społeczeństwa. W skrócie charakteryzując ten proces, można powiedzieć, że „kontrkulturowość” marihuany przeszła w powszechność jej używania, bezinteresowne dzielenie się zostało zastąpione przez handel, a spontaniczna uprawa – przez zorganizowany przemyt z zagranicy. „Święte ziele” stało się „towarem jak każdy inny”; zanika wspólnotowe, rytualne podejście do palenia, a coraz częściej marihuana traktowana jest jak zwykła, towarzyska używka. Przedstawienie tego złożonego, rozciągniętego w czasie i przebiegającego z różną intensywnością procesu jako serii kontrastów razi oczywiście zbytnim uproszczeniem, jednak dość dobrze oddaje istotę zjawiska.

W poddanej badaniu próbie przeważali użytkownicy starszej generacji – ci, którzy pamiętają z własnego doświadczenia wspomniany „etos” palenia marihuany. Z jednej strony, taki skład próby umożliwił zdobycie cennych informacji na temat przemijającego już modelu palenia i towarzyszącego mu, specyficznego folkloru; z drugiej – utrudnił wyciąganie wniosków na temat sytuacji obecnej. Dlatego bardzo ciekawe byłoby przeprowadzenie podobnych badań wśród młodszej generacji palaczy i odniesienie ich wyników do tutaj prezentowanych wniosków; z pewnością interesująco wypadłoby także porównanie palaczy marihuany z regularnymi użytkownikami innych narkotyków.

Aby nie poprzestawać na poziomie socjologicznej czy antropologicznej ciekawostki, wskazane byłoby rozpatrywanie wyników takich badań w kontekście intensywnie toczącej się w naszym kraju dyskusji na temat legalizacji marihuany. Od strony prawnej kwestia ta została co prawda uregulowana – jesienią 1997 r. zaczęła obowiązywać nowa ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii – jednak można się spodziewać, że problem pozostanie wciąż aktualny, a ponieważ specyfika zażywania narkotyków ciągle się zmienia, to za kilka lub kilkanaście lat być może ponownie stanimy przed koniecznością udoskonalenia przepisów w tej dziedzinie. Prawdopodobnie dyskusja znów obracać się będzie wokół dylematu: czy utrzymywać, lub nawet zaostrzać prohibicje, czy raczej tworzyć kulturowe wzory używania marihuany, na podobieństwo kształtowania „kultury picia” jako elementu polityki przeciwdziałania alkoholizmowi.

Aby była to dyskusja konstruktywna i rzeczowa, a nie zdominowana przez emocje, uprzedzenia i myślenie życzeniowe – jak to dotąd bywało, i to po obu stronach barykady – należałoby poszerzać wiedzę w tej dziedzinie, a w tym celu trzeba docierać także do środowisk użytkowników poszczególnych środków, tu bowiem tkwi istotne źródło wiedzy o społecznym obliczu używania substancji psychoaktywnych. Zaniechanie takiej perspektywy grozi ślizganiem się jedynie po powierzchni badanych zjawisk, lub, co gorsza, tworzeniem zafałszowanego ich obrazu.

PRZYPISY

¹ Praca Andrzeja Siemaszko. jako jedyna w polskim piśmiennictwie pozycja, omawiająca socjologiczne teorie dewiacji społecznej w sposób tak obszerny i całościowy, posłużyła mi za główne źródło informacji do napisania niniejszego rozdziału, w szczególności jego pierwszej części. Także podziału teorii dewiacji dokonuję w ślad za tym autorem.

Wszystkie cytaty w niniejszym rozdziale, za wyjątkiem tych, przy których zostało podane inne źródło, pochodzą z tej właśnie pozycji. **wrót**

² Proces wprowadzania nowej normy społecznej i narzucenia jej społeczności jako ogólnie obowiązującej i obwarowanej sankcjami Becker opisuje w „Outsiders” na przykładzie doprowadzenia do uchwalenia w USA w 1937 r. Marihuana Tax Act, czyli delegalizacji marihuany na szczeblu federalnym. **wrót**

³ Tak polscy palacze marihuany przeważnie określają stan, jaki osiągają. W dalszej części pracy pozostaniemy przy tym nazewnictwie, gdyż oryginalne „on high” jest nieprzetłumaczalne, a postaci spolszczonej – „na haju” -w odniesieniu do efektów palenia marihuany nie jest w zasadzie używane. **wrót**

⁴ Wszystkie cytaty w niniejszym rozdziale pochodzą ze studium Howarda S. Beckera (1963) **wrót**

⁵ Pierwsze wydanie „Outsiders” Howarda S. Beckera ukazało się w 1963 r., jednak zawarte w tej książce studium palaczy marihuany pochodzi z roku 1953. **wrót**

⁶ „Psychedeliczny” (ang. psychedelic) to oryginalny termin, utworzony w 1956 r. przez Aldousa Huxleya i Humphry Osmonda na oznaczenie tych środków lub stanów dzięki nim osiągniętych, od greckich słów psyche -dusza, i deloun – ujawniać, objawiać, czynić widocznym i Stafford 1983). Termin „psychodeliczny” jest więc zniekształconym, choć powszechnie używanym, spolszczeniem angielskiego pierwowzoru – w języku angielskim słowo psychodelic w ogóle nie występuje. **wrót**

⁷ Na początku lat 90-tych eksperci Parlamentu Europejskiego opracowali następującą klasyfikację: środki ultralekkie (herbata, kawa, czekolada), średnie (haszysz, tytoń, alkohol), średniotwarde (LSD, amfetamina, kokaina), twarde (heroina, crack) („Tolerancja po holendersku”. Gazeta Wyborcza i 993.01.29). **wrót**

⁸ Dokładne omówienie problematyki legalizacji narkotyków wraz z prezentacją argumentów stron sporu znajdzie Czytelnik w: Krajewski 1997, Bockenheimer 1990 i 1991. W sprawie poszczególnych głosów w toczącej się w Polsce dyskusji patrz np.: „Miękkie uderzenie trawy” (Gazeta Wyborcza z dn. 1993.11.16). „Legalne narkotyki” (G. W. 1993.12.13), „Nielegalne jest opłacalne” (G. W. 1994.11.04), „Szlachetne złudzenia” (G.W. 1994.11.04), „Karamie ich nam nie pomoże” (G.W. 1996.06.21). **wrót**

⁹ Mit ten jest tak silny, że nawet Andrzej Kojder, specjalista w dziedzinie dewiacji społecznej i teorii naznaczania, pisząc o badaniach Beckera używa sformułowania „studium o notorycznych narkomanach” (Kojder 1980). **wrót**

¹⁰ Dobitnie świadczy o tym „narkomania”, jaka wybuchła na początku 1994 r. w Warszawie. Po stolicy, a wkrótce także po innych miastach, rozniosła się plotka, że pod szkołami rozdawane narkotykiem, kiry rzekomo przedostaje się do organizmu przez skórę palca i błyskawicznie uzależnia (Gazeta Wyborcza, 1994.01.29-30 i 1994.02.05-06) **wrót**

¹¹ „Niewystawialność” (ang. ineffablity) to jedno z kryteriów stosowanych przez psychologów w badaniu i opisie takich doświadczeń (Doblin 1991). **wrót**

¹² W latach 80-tych na Górnym Śląsku, gdzie narkomania była silnie rozpowszechniona, milicyjne patrole, legitymując „podejrzenie” wyglądających uczestników młodzieżowych subkultur na ulicach i dworcach, dokonywały także rutynowej kontroli przegubów rąk pod kątem śladów po igle. W takiej sytuacji nawet jednorazowy eksperyment z „kompotem” mógł spowodować zarejestrowanie delikwenta jako narkomana, podczas, gdy regularni palacze marihuany mogli się czuć bezpiecznie. **wrót**

¹³ Pozwolę sobie tu przytoczyć anegdotyczną, ale prawdziwą historię: jeden z psychodelicznych eksperymentatorów spożył zbyt dużą dawkę bielunia, po czym został zabrany przez matkę na pogotowie. Skonsternowani lekarze nie za bardzo wiedzieli, co robić w takim przypadku, więc pacjent resztkami przytomności sam wyjaśnił im, jakie alkaloidy zawiera ta roślina i co podaje się jako odtrutkę. **wrót**

WYKAZ CYTOWANYCH ŹRÓDEŁ

E. Aronson, Człowiek – istota społeczna, Warszawa 1994

H. S. Becker, Outsiders. Studies in the Sociology of Deviance, New York, 1963

H. S. Becker, Labelling Theory Reconsidered, w: Outsiders. Studies in the Sociology of Deviance, New York, 1973

A. Bielewicz, Narkomania w XX-leciu międzywojennym, w: Alkoholizm i Narkomania, zima 1988

W. Bockenheim, Przez żyłę do serca, w: bruLion, 1991, Nr 16 Brać albo być. Magazyn Monar '85, Warszawa, 1985

T.K. Chruściel, Ł. Korozs, Zapobieganie narkomanii w świetle polskiego prawa. Przepisy i objaśnienia. Warszawa, 1988

J. M. Corry, P. Oimboic, Drugs. Facts, Alternatiues, Decisions, Belmont, California, 1985

M. Czyzewski, Interakcjonizm i analiza konwersacyjna, w: J. Wiodarek, M. Ziółkowski (red.), Metody biograficzne w socjologii, Warszawa – Poznań. 1990

T. Dimoff, S. Carper, Jak rozpoznać czy dziecko sięga po narkotyki, Warszawa, 1993 R.

Dobiin, Pahnke's „Good Friday Experiment”: a Long-Term Follow-up and Methodological Critique, w: The Journal of Transpersonal Psychology, 1991, No.1

E. Durkheim, Zasady metody socjologicznej. Warszawa, 1968

M. Gossop, Narkomania. Mity i rzeczywistość. Warszawa, 1993

R. Hamowy (ed.), Dealing with Drugs. Consequences of Government Control, San Francisco, 1987

K Krajewski, Problematyka narkotyków i narkomanii w ustawodawstwie polskim, w: P. Robson, Narkotyki, Kraków 1997

A. Kojder, Co to jest teoria naznaczania społecznego, w: Studia Socjologiczne, 1980, t. 3

J. Kwaśniewski, A. Kojder, Reakcja społeczna na zachowania dewiacyjne, w: Studia Socjologiczne, 1974, t. 2

M. Latoszek, P. Ochman, I. Kozioł – Bielska, Socjologiczne aspekty narkomanii, w: Studia Socjologiczne, 1981, t. 3

Lignowska, Młodzieżowy Ruch na rzecz Przeciwdziałania Narkomanii „Monar”jako przykład demedykalizacji problemu narkomanii w Polsce, w: Studia Socjologiczne, 1987, t. 3 – 4

M. Łoś, Teorie społeczeństwa a koncepcje dewiacji, w: A. Podgórecki, Zagadnienia patologii społecznej, Warszawa, 1976

R. K. Merton, Teoria socjologiczna i struktura społeczna. Warszawa, 1982

J. Mucha, Radykalizm w socjologii XX wieku, w: Studia Socjologiczne, 1983, t. 1

K Ostaszewski, A. Borucka, Używanie przez młodzież różnych substancji uzależniających – porównanie wyników badań ankietowych z 1984 i 1988 r., w: Alkoholizm i Narkomania, zima 1990

J. Pawłowska, Relatywność pojęcia dewiacji w teorii etykietkowania, w: Kultura i Społeczeństwo, 1985, t. 3

S. P. Petrovic, Narkotyki i człowiek, Warszawa, 1988

P. Robson, Narkotyki, Kraków, 1997

J. Siczek, Narkonauci. Od uzależnienia do dobrego życia, Warszawa, 1994

A. Siemaszko, Granice tolerancji. O teoriach zachowań dewiacyjnych, Warszawa, 1993

J. Sierosławski, Narkomania w Warszawie – wielowskaźnikowa ocena epidemiologiczna, w: Alkoholizm i Narkomania, 1996, Nr 2

P. Stafford, Psychedelics Encyclopedia, Los Angeles, 1983

J. Szacki, Słowo wstępne w: E. Goffman, Człowiek w teatrze życia codziennego, Warszawa, 1981

Z Thille, L. Zgirski, Toksykomanie. Zagadnienia społeczne i kliniczne. Warszawa, 1976

J. Tittenbrun, O etnometodologicznej koncepcji rzeczywistości społecznej, w: Studia Socjologiczne, 1981, t. 4

S. H. Traub, C. B. Little (ed.), Theories of Deviance, Itasca, Illinois, 1975

Ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii, Dz. U. z dn. 14 lipca 1997, Nr 75

Z. Welcz, Powstanie i rozwój teorii naznaczania społecznego, w: Studia Socjologiczne 1985, t. I

J. Zamecka, Kontrola społeczna i dewiacja jako zjawiska współzależne, w: Studia Socjologiczne, 1987, t. 3 – 4

A. Zieliński, Badania rozprzestrzenienia środków psychoaktywnych w szkołach ponadpodstawowych Ochoty i Śródmieścia, w: Alkoholizm i Narkomania, wiosna 1992

A. Zieliński, Studenci a środki psychoaktywne. Próba zmiany zachowań i postaw przez program edukacyjny, w: Alkoholizm i Narkomania, 1996, Nr 3 M. Ziółkowski, Znaczenie – interpretacja – rozumienie, Warszawa, 1981

Autor: Grzegorz Kmita – Patyczak

ŹRÓDŁO:

HYPERREAL